Amadeusz Putzlacher

Marzenie Jurka Nowaka

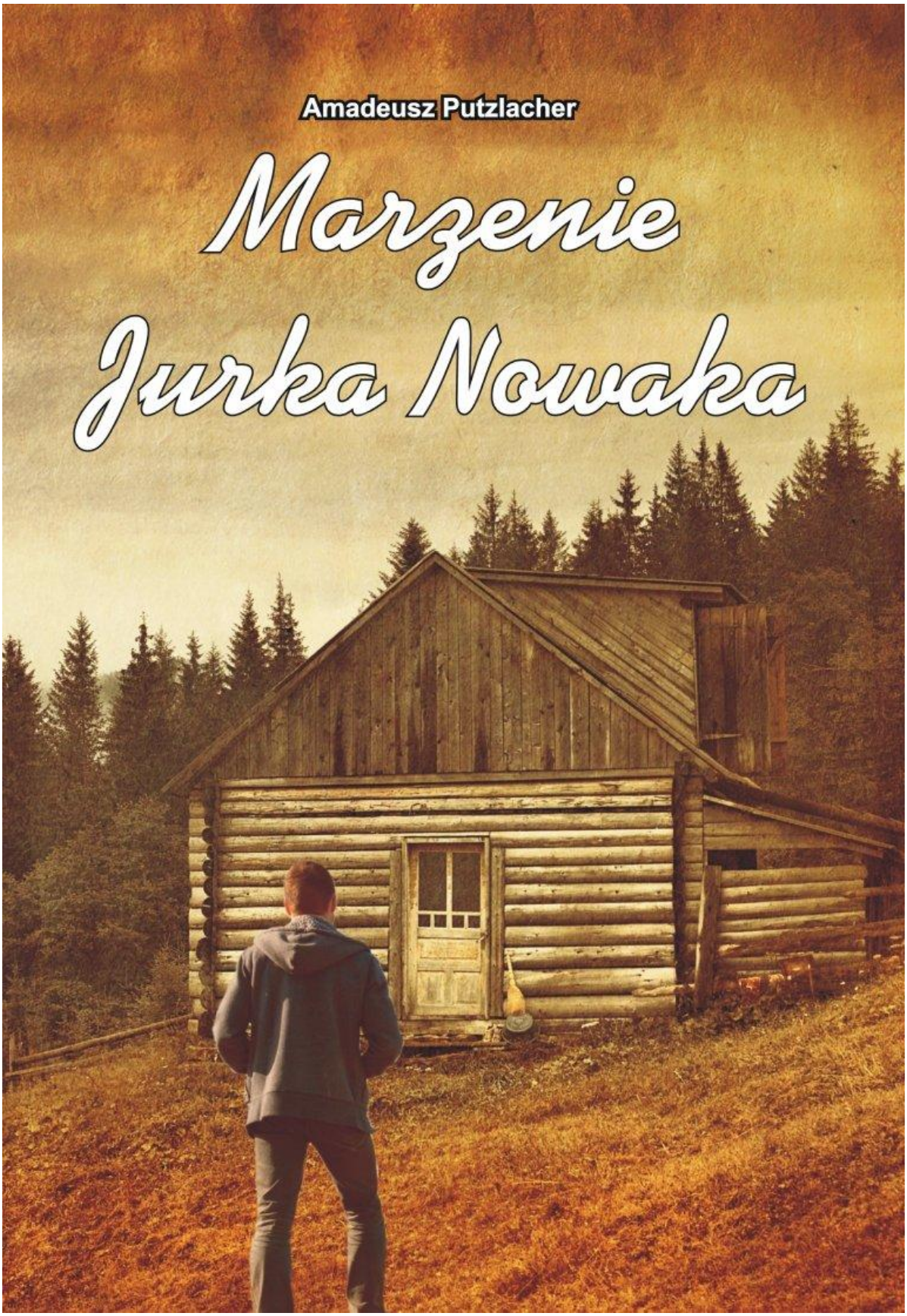

Putzlacher Amadeusz

Marzenie Jurka Nowaka

I

„Rozstania, rozstania i powroty”

Krople spadały z nieba. Widziałem, jak tworzą na szybie strumienie i przesłaniają mi widok na i tak brzydkie drzewa pozbawione liści. Listopad nigdy nie był dla mnie uroczy. Ani na Wyspach, ani u nas nad Odrą. Z czego mam się niby cieszyć kiedy pada, robi się zimno, a dni są coraz krótsze? W szkole uczą o skarbach jesieni, ale nauczyciele sami się oszukują wmawiając nam, że to piękna pora roku. Jedyny pożytek z tej jesiennej edukacji to wiedza, że kasztany rosną na kasztanowcu i spadają z drzew. No właśnie. Spadają. Można powiedzieć, że tym spadaniem się zajmuję. Nazywam się Jurek Nowak i jestem fizykiem. Dlaczego nim zostałem? Na razie zdradzę tylko, że wiąże się to z moją matką. Wrócę jednak do miejsca, w którym zacząłem. Do tego z mokrą szybą. Był to budynek uniwersytetu, na którym pracowałem od niedawna. Dopiero co skończyłem studia, ale udało mi się zostać jako członek kadry. Pracownik akademicki to robota marzeń. Niewiele godzin. Praca z ludźmi, którym zależy, bo chcą się czegoś nauczyć. Godziwe zarobki. Właściwie brak powodów do narzekania. Jednak ta sielanka miała się skończyć już za parę chwil. Wiedziałem o tym, odkąd doktor Kapoor chciał ze mną porozmawiać. Nasze badania nie miały ze sobą nic wspólnego. On zajmował się algebrą i przestrzeniami, a ja światłem. Nawet, jeżeli te dziedziny wystarczająco się zazębiały, to nigdy nie pracowaliśmy razem, a właściwie to nigdy nawet nie rozmawialiśmy ze sobą dłużej niż minutę. Dlaczego więc mnie wezwał? Interesuje was to, prawda? Spodziewacie się czegoś niecodziennego, co zacznie

wciągającą historię? Ja wiem, co chciał mi powiedzieć, bo już mi to powiedział, ale jeszcze patrząc na mokrą szybę w korytarzu domyślałem się. Cała sprawa może nie była tak spektakularna jak na przykład niezwykły wynalazek nad którym miałbym pracować, ale dla mnie naprawdę ważna. Nie zmieniła, co prawda, mojego wielkiego marzenia, ale zaburzyła zwyczajną przyszłość, którą zaplanowałem. Macie już pewnie dosyć tego całego niejasnego sygnalizowania nadchodzących zdarzeń. Wrócę więc do głównej historii.

Te kilka zdań o miejscu, w którym pracowałem niewiele o nim powiedziały. Zdradzę więc, że stałem kilka metrów od drzwi do gabinetu doktora Kapoora. Zegarek przekazał mi informację, że wybiła dziesiąta pięć. Doktor chciał mnie widzieć o dziesiątej, ale nie miał mi do powiedzenia nic miłego, więc uznałem, że może poczekać. W końcu wszedłem do jego pokoju. Mogłem jeszcze bardziej się spóźnić, ale marnowałbym również swój czas.

Za biurkiem siedział, jak się spodziewacie, sam doktor, niski i wąsaty, muszę przyznać, że miał sympatyczną twarz. Ale poza nim widziałem też głupawo uśmiechniętego Halisbury'ego. Kim jest James Halisbury? To asystent Kapoora. Miał trzydzieści lat, czy trochę mniej. Nie lubiliśmy się odkąd się poznaliśmy, ale później pojawiła się sprawa, która poróżniła nas już nieodwołalnie. Powiedziałbym, o co chodzi, ale dam poruszyć temat najstarszemu z obecnych. Doktor odezwał się parę sekund po moim wejściu i „dzień dobry".

– Umówiliśmy się na dziesiątą, panie Nowak – nie mógł sobie darować urzędowej uwagi. Muszę jednak przyznać, że moje nazwisko wymówił bardzo poprawnie.

– Przepraszam. Te autobusy… – musiałem rzucić pierwszym usprawiedliwieniem, jakie przyszło mi do głowy.

– Doszły mnie niepokojące wieści. Mam nadzieję, że nie są prawdziwe. W innym wypadku muszę powiadomić dziekana – zgodzicie się, że doktorek powinien zakomunikować mi, co to za wieści?

– Proszę mówić jaśniej – powiedziałem tak, jakby przed chwilą mnie obrażał.

– Czy to prawda, że jest pan związany ze studentką naszej uczelni? – Kapoor przeszedł bezpośrednio do rzeczy. Myślałem, że będzie się motał, zanim złoży zręczne pytanie. A tu proszę.

– Oczywiście, że to prawda. Chyba nie sądzi pan, że Halisbury donosiłby panu o czymś, co wymyślił – tak, to była prawda i nie widziałem sensu się wypierać. A nawet jeśli nie miałem racji i był w tym sens, to podjęcie błędnej decyzji było warte zdjęcia uśmieszku z gęby Halisbury'ego. I tak, to dziewczyna nas poróżniła.

– Nie widzi pan w tym nic niewłaściwego? – Kapoor najwidoczniej nie był przyzwyczajony do takich odpowiedzi jak moja i tonu jakim jej udzieliłem.

– Zdecydowanie nic. Dziewczyna studiuje na innym wydziale. Byliśmy razem kiedy jeszcze byłem studentem. Teraz tu pracuję. Dlatego mam z nią zerwać? – sytuacja była absurdalna i tak ją przedstawiłem.

– Mógł pan podjąć inną pracę. Zna pan zasady. Dzwonię do dziekana. Zostanie pan zwolniony dyscyplinarnie – doktor machnął ręką na moje słowa i sięgnął po słuchawkę.

– Nie trzeba – uśmiechnąłem się i pokazałem mu kartkę, którą wyjąłem z kieszeni. – Ja już tu nie pracuję. Wczoraj dziekan otrzymał takie samo wymówienie – zaśmiałem się.

– Skoro pan tu nie pracuje, to proszę opuścić mój gabinet. Zmarnował pan mój czas – Kapoor był zdenerwowany. Wskazał mi dłonią drzwi.

– Przepraszam. Do widzenia, doktorze – wstałem i pożegnałem się. – James – spojrzałem na Halisbury'ego – pierdol się – dodałem tym samym tonem, którym przeprosiłem Kapoora. Halisbury'ego zatkało. Kroczyłem do drzwi jako zwycięzca. Już miałem wyjść, ale drzwi otworzono z drugiej strony. Do pokoju wszedł dziekan.

– Dzień dobry – powitałem go. – Ja już tu nie pracuję, więc sobie pójdę. – dodałem z uśmiechem i chciałem wyjść.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi. Dlaczego miałby pan tu nie pracować? – dziekan zaśmiał się z moich słów.

– Nie dostał pan mojego wymówienia? – zapytałem z przestrachem.

– Jestem pewien, że nie – tymi słowami mnie zmartwił, ale następne były dla mnie gorsze, a dokładnie to, do czego pośrednio doprowadziły – Co pan robi u doktora Kapoora?

Zawahałem się, więc doktor sam odpowiedział.

– Przed chwilą pan Nowak przyznał się do związku ze studentką. Powinien pan o tym wiedzieć. – Kapoor powiedział tonem służbowym. Spojrzałem na niego. To nie było nic osobistego. On wierzył, że powinien to powiedzieć. Jednak twarz Halisbury'ego wyrażała satysfakcję. To on był zwycięzcą. Miał w ręku moje wymówienie i to nie kopię, którą pokazałem Kapoorowi, bo ta wciąż leżała na biurku. Zrozumiałem jak głupio postąpiłem nie oddając wymówienia do rąk własnych. Przecież każdy tutaj wiedział, że obiektem westchnień sekretarki dziekana jest James Halisbury. I każdy wiedział, że Halisbury wie.

– Rzeczywiście już pan tu nie pracuje. Zwalniam pana dyscyplinarnie – usłyszałem od dziekana.

Wściekłem się, ale spostrzegłem też, że zwolnienie dyscyplinarne daje mi również pewne możliwości. To

spostrzeżenie kosztowało Halisbury'ego dwa zęby. A mnie?

To również nie było przyjemne. Patrząc w wielką szybę za niemiłym rozmówcą, zdałem sobie sprawę, że zwolnienie dyscyplinarne nie upoważnia do przemocy. Ale z drugiej strony: co mogli mi zrobić? Nie byłem notowany. Od razu do wszystkiego się przyznałem i wyraziłem skruchę. Nie za bardzo miałem wybór. Kto z was zrobiłby inaczej? Pogarszanie swojej sytuacji nie kręciło mnie. Może gdyby James stracił zęby w jakimś ciemnym zaułku? Wtedy mógłbym udawać idiotę. Jednak świadectwo dwóch innych, szanowanych intelektualistów zmusiło mnie do jak najłatwiejszego i najszybszego poddania się karze. I tak mogłem już zapomnieć o tym, że będę kiedykolwiek pracował naukowo. Realizacja mojego marzenia przestawała stać pod bardzo wyraźnym znakiem zapytania, ono zaczynało być przekreślane. Mogłem już tylko walczyć o jak najlżejsze konsekwencje prawego sierpowego w miejscu pracy.

– No dobrze. Proszę nie opuszczać kraju do czasu rozprawy, panie Nałak – powiedział uprzejmiejszy policjant, który najpewniej wcześniej podsłuchiwał moje przesłuchanie, a teraz stanął za stołem. Niestety nie był aż tak uprzejmy, żeby poprawnie wymówić nazwisko polskiego imigranta.

– Jasne. Kiedy to będzie? – rzuciłem niby to beztrosko.

– Zostanie pan poinformowany Królewską Pocztą w ciągu tygodnia – odparł urzędowo. Na każdym kroku starał się widocznie zatrzeć złe wrażenie, jakie mógł wywrzeć na mnie jego kolega z pracy. Ten drugi byłby pewnie skuteczniejszy podczas zamieszek kilka miesięcy temu. Ten był z kolei typowym, sympatycznym, brytyjskim stróżem prawa, który chętnie pomoże, a bez zagrożenia życia nie użyje nawet pałki.

– No tak, Królewska Poczta – zaśmiałem się. Nie żebym wyśmiewał jakość firmy. Po prostu bawiło mnie to „królewskie” przy wszystkim. – Jestem wolny? – spróbowałem wstać.

– Protokół – zatrzymał mnie ten niesympatyczny i podsunął mi papier do podpisania. Nie miałem zamiaru dać się zrobić w balona, więc rozsiadłem się z powrotem i dokładnie przeczytałem każde słowo.

– Dokładnie mnie zacytowaliście. Brawo – uśmiechnąłem się ironicznie i podpisałem się pod protokołem.

– Teraz jest pan wolny – oświadczył miły glina, więc bez wahania sobie poszedłem, życząc im milszego dnia od mojego. W korytarzu zobaczyłem Halisbury’ego, który zaniepokoił się wyraźnie widząc na mojej twarzy uśmiech. Jeszcze chyba nigdy nie robiłem tak dosłownie dobrej miny do złej gry.

Ciągle padało. Czułem na sobie kolejne, spore krople deszczu, kiedy wyszedłem na ulice tego smutnego miasta. Zawsze wydawało mi się jednolite i nieciekawe. Nikomu nie zdawało się to przeszkadzać. Jakby każdy liczył, że jest tu czasowo, nie u siebie i dlatego nikt nie dbał o to, by budynki lepiej wyglądały z zewnątrz. Wszędzie czerwona cegła, takie same wejścia. Gdzieniegdzie ściany wymazane przed kilku laty białą farbą na okoliczność niezwykłych upałów. Ale i tak nie rzucały na kolana. Polacy też, a było ich wielu, nawet jeżeli czuli się tu u siebie, to po prostu w końcu zakładali rodzinę i próbowali stwarzać sobie lepsze warunki, większe mieszkania albo nawet zmieniali dzielnicę na bardziej prestiżową. Taką z domkami jednorodzinnymi i przyjemnymi ogródkami. Tylko oni byli u siebie. A reszta? Reszta próbowała spokojnie żyć w jako-takich warunkach, pocieszając się, że w Polsce mieliby jeszcze gorzej. Prowadzą swoją szarą egzystencję, pracując w magazynach, ewentualnie parząc kawę przy autostradzie.

Mieszkają w dzielnicy na zachodzie miasta zaludnionej głównie przez imigrantów z dawnych brytyjskich kolonii afrykańskich oraz Pakistanu, Indii i paru innych państw południowej Azji. Nic mi to nie przeszkadzało, że co kawałek jakiś Pakistańczyk prowadzi swój sklepik, jedzenie w międzynarodowych fast foodach serwuje specjalne mięso dla Muzułmanów. Nic mnie to nie obchodziło. Dlaczego miałoby mi to przeszkadzać? Ma swój urok. Choćby taki, że te sklepy są czynne do dwudziestej trzeciej i wiele z nich ma polskie pieczywo i piwo. Idealne dla mało ambitnych polskich imigrantów, którzy sami nie wiedzą, czy mają po co wracać do ojczyzny. Nie myślą. Pewnie czasem tęsknią za domem, ale z drugiej strony nie potrafią zostawić tej bezpiecznej wyspy, na której, mimo tego, że wiele im się nie podoba, dają sobie radę bez strasznych wysiłków. Tylko ile tak można? Pracować ciągle na zmywaku, bo w Polsce nie zarobią tyle jako nauczyciel, a nawet jako policjant. Nie będę oceniał czy to słuszny wybór, ta cała emigracja zarobkowa. Nie miałem problemów, które mogłyby mnie do czegoś takiego skłonić. Zawsze miałem zapewniony byt. Nawet mogłem sobie pozwolić na studia tutaj. Ale dlaczego to zrobiłem? Co mnie skłoniło do wyjazdu tutaj na studia? Wątpliwe jest, czy więcej się nauczę niż na jakiejś polskiej uczelni. Pewne, że to wykształcenie będzie bardziej cenione na świecie. Ale nie dlatego wybrałem te studia. Chociaż uznanie mogło się przydać i płynące z tego kontakty. Mnie jednak chodziło o pieniądze, którymi uczelnie dysponują. Później dokładniej to wyjaśnię.

Nie minęło dziesięć minut jak usiadłem sobie w salonie. Szyby w tym pokoju były równie mokre, jak ta z korytarza na uniwersytecie. Cały dzień był beznadziejny. Jedyna osoba, która mogła mnie pocieszyć, miała wrócić za pół godziny. Tylko jak zareaguje na wydarzenia mojego burzliwego przedpołudnia. Nie

będzie zadowolona. Nie pochwali sposobu w jaki rozstałem się z pracą. Ja sam stałem na rozdrożu. Powinienem zatrudnić się przez agencję w jakimś magazynie. Ale nie po to przyjechałem. To sprawi, że sam skreślę swoje marzenie. Moją obsesję każdego dnia. Dobić tę już i tak umierającą nadzieję. Dla niej chyba mogę. Dlaczego nie byłem pewien? Czyżbym nie był w niej tak zakochany jak mi się wydawało jeszcze tydzień wcześniej? Nie mogłem tego zrozumieć, ale czułem się, jakbym nie potrafił się cieszyć swoim związkiem, jakbym już wtedy żył tylko myślą o jednym i to nie o kobiecie, którą myślałem, że kocham.

Usłyszałem ją po jakimś czasie. Przygotowałem już obiad z jakiejś mrożonki i czekałem jak wejdzie. Zobaczyłem w końcu oczy, zęby. Poczułem wargi i usłyszałem:

– I jak dzisiaj w pracy?

– Krótko i treściwie – przyznałem zrezygnowanym tonem.

– Czyli? Zwolniłeś się? Dostaniesz pracę na uniwersytecie z drugiej strony miasta – uśmiechała się. Sally chyba nie potrafiła inaczej. Za chwilę miałem się przekonać, że niekoniecznie.

– Wyrzucili mnie. Ktoś na mnie doniósł – wyznałem.

Przestała się uśmiechać.

– Mówiłam ci, żebyś nie brał tej pracy. Tak nie wolno. Przecież wiedziałeś – zdenerwowała mnie tonem „a nie mówiłam”.

– Trzeba było zmienić szkołę, jak ci to tak przeszkadzało. To w ogóle bez sensu. Nie zasłużyłem na zwolnienie. Co za paranoja – wstałem i poszedłem nałożyć jej i sobie obiad. Używałem naczyń z niepotrzebnie dużą siłą.

– Uspokój się. Jutro zmienię szkołę i pogadam z Jamesem,

żeby pomógł ci zostać – zaproponowała.

– Kurwa mać! – krzyknąłem, nie panując nad sobą i to po polsku, czego dawno nie robiłem. – To ten sukinsyn na mnie doniósł. Twój były, James – dodałem nadal z uniesionym głosem. – Ale ma za swoje – uśmiechnąłem się.

– Co zrobiłeś? – lekko się wystraszyła. Nie mam pojęcia dlaczego. Nie dość, że gość mnie zadenuncjował, to jeszcze ona zdawała się być po jego stronie.

– Uderzyłem go. Chyba brakuje mu teraz jakiejś trójki i czwórki – pochwaliłem się z niepokojem obserwując jej wyraz twarzy.

– Ty kretynie! Po co? Naprawdę musiałeś go bić? – zbeształa mnie.

– Wiesz co? Musiałem. Żeby nie myślał, że można donosić z zazdrości bez żadnych konsekwencji. Bo jak byłaś z nim to sam na siebie nie doniósł. Dlatego musiałem – nie sądziłem, że to może być kwestia, która pozytywnie wpłynie na dalszą rozmowę, ale tak właśnie czułem.

– Jesteś osłem. Jeżeli wszyscy Polacy tak się zachowują, to nic dziwnego, że musicie do nas przyjeżdżać do pracy – nie wierzyłem, że wyjechała z czymś takim. Nie pozostałem jej dłużny.

– Jeżeli wszyscy Anglicy są tacy jak Halisbury to myślę, że już nie chcę wśród nich mieszkać – zapadła krótka cisza. Odezwała się spokojnie po paru sekundach.

– Więc ja nie chcę z tobą mieszkać. I w ogóle cię widywać – zdecydowała.

– Dobra. Lepiej związać się z Halisburym – zakpiłem.

– Jest wart dziesięciu takich jak ty! – warknęła ze łzami w oczach.

– Więc może donieść na siebie dziesięć razy – znów rzuciłem

złośliwością. – Spakuję się i idę. Możesz zjeść moją porcję – ze spokojem wyszedłem z kuchni i zabrałem się do niedbałego zapełniania torby i plecaka.

– To… cześć – powiedziałem bez przekonania o tym, czy powinienem się odzywać i wyszedłem. Minęło ledwo dziesięć minut od końca kłótni. Jej twarz, gdy wychodziłem, była mokra jak szyba na uniwersytecie. Ja nie umiałem płakać.

Tak się to zatem skończyło. Kłótnia o idiotę, narodowościowe wycieczki, niezjedzony obiad. Dwa lata straciły znaczenie w parę minut. Wydawało się, że jednego dnia straciłem wszystko. To prawda. Jednak po tym rozstaniu nie czułem się gorzej. Zupełnie jakby to nie miało znaczenia. Jakby jedyne co się liczy to to, co mogę osiągnąć dzięki badaniom, które mogłem przeprowadzić jedynie w doskonale wyposażonej pracowni fizycznej. Nie wiem, czy nie powinno się tego leczyć. Ludzie są zdolni skakać z mostu po takim rozstaniu (to też powinno się leczyć). Ja jednak nie czułem się zraniony, pusty, czy pozbawiony jakiegoś sensu. Nawet kiedy już zauważyłem jej łzy jeszcze się odgryzłem. Straciłem chyba wszelką wrażliwość. A powinienem już zapomnieć o moim dziwacznym marzeniu i zacząć żyć jak przeciętny człowiek. Myślałem, że potrafię. Przez chwilę próbowałem, ale później zaczęły się dziać niespodziewane rzeczy, które dały mi nadzieję na spełnienie obsesyjnego marzenia. Ale o tym później.

Wtedy stałem na chodniku z ciężkim bagażem i tylko jednym miejscem w mieście, gdzie mogłem się udać.

Rozważyłem wszystko jeszcze raz. Nie było innej możliwości. Chyba, że hotel. Ale nie. Musiałem iść tam, gdzie postanowiłem. Zahaczyłem jeszcze o sklep i przeszedłem prawie dwa kilometry, słuchając kółek swojej walizki.

– Cześć. Mogę wejść? – spytałem kolegę, który zdziwił się na

mój widok.

– Jasne. Chociaż myślałem, że już się nie znamy – powiedział ponuro, ale wpuścił mnie do środka. – Zostaw to obok szafki – pokazał na walizkę. Zrobiłem tak.

– Co cię sprowadza? Chyba nie brakuje ci pieniędzy? – zaczął złośliwie.

– Weź nie zaczynaj. Mam pieniądze, żeby ci oddać – wyciągnąłem kopertę.

– W takim razie, czego się napijesz? – uśmiechnął się.

– Na to też się przygotowałem – ułożyłem usta w banana i wyciągnąłem szklaną butelkę 0,7 litra.

– Chyba nie masz więcej? – spytał, chociaż nie rozumiałem dlaczego.

– Nie. Nie sądziłem, że będziesz miał dzisiaj nastrój do picia – pokręciłem głową.

– Nie o to chodzi. Rano mam samolot. To lepiej, że masz tylko jedną. I dobrze się złożyło, że trafiłeś tu dzisiaj, żeby mnie pożegnać – klepnął mnie po plecach.

– Dobrze się złożyło, bo też wracam. Nic mnie tu nie trzyma – zdecydowałem w tym momencie.

– A co z tą dziewczyną? Pożyczyłeś ode mnie na pierścionek w zeszłym roku – cofnął głowę w geście zdziwienia.

– Zerwaliśmy przed jakąś godziną. Po tym jak wyrzucili mnie z pracy – powiedziałem beznamiętnie.

– Wyrzucili cię z kawiarni? Wynosiłeś coś, czy jak? – zażartował ze mnie.

– Bardzo zabawne – obruszyłem się. – Pracowałem na uniwersytecie. Jakieś dwa miesiące i mnie wyrzucili.

– Szkoda. Tam miałeś już pewnie konkretne pieniądze – powiedział empatycznie i poprawił swoją pozycję w fotelu.

– Miałem. Podobało mi się tam – potwierdziłem.

–To co zrobiłeś, że wyleciałeś? – dociekał mój kumpel.

– Nic. Moja dziewczyna studiuje na tej samej uczelni, co ja pracowałem. Twierdzą, że to nieetyczne – zakpiłem z władz uczelni, która mi płaciła.

– Myślą, że mogłeś wpływać na jej oceny. Kto wie? Nie muszą wierzyć, że będziesz uczciwy – próbował ich wytłumaczyć.

– Nic nie mogłem. Ona jest na innym wydziale. Dlatego w ogóle nie rozumiem, w czym problem – wyjaśniłem absurd sytuacji.

– Formaliści – kolega pokręcił głową i machnął ręką.

– A Ty dlaczego wracasz? – zmieniłem temat ciekawskim tonem.

– Uzbierałem tyle, że postawię dom. Po co mam tu dłużej siedzieć. Szkoda, że wrócę sam. Miałem zbierać na dom i na ślub, ale trudno. Nie wyszło. Gośka nie była taka, jak myślałem w Polsce. Zresztą miałeś to samo. Co będę ci gadał – kumpel się trochę zasmucił.

– Taa… To miasto zabiło nasze miłości. Ala szybko mnie zostawiła – kiwnąłem głową. Zabawne, że to wspomnienie wydało mi się bardziej bolesne niż zerwanie z Sally tego samego dnia, którego prowadziłem tę rozmowę.

– Myślę, że ten nagły skok w dorosłość nas przerósł. Łatwo było o wszystkim mówić, ale rzeczywistość nas przygniotła – powiedział wyszukanymi frazami. To ja skończyłem studia, a on ładniej mówił. To też zabawne.

– Może tak. Tylko myślę, Damian, że z tym miastem jest coś nie tak – stwierdziłem.

– Co jest nie tak? Miasto jak miasto – wyśmiał mój pomysł.

– Nie. To miasto jest inne. Jest niczyje – wyraziłem werbalnie swoje przemyślenia.

– Niczyje miasto? Co ty pieprzysz? – widocznie nie traktował poważnie moich słów.

– A czyje jest? Kto tu mieszka? Polacy, Pakistańczycy, Murzyni, Azjaci, spoza Pakistanu, Litwini, Rosjanie i Anglicy. A wiesz jacy Anglicy? Leniwi Anglicy. Tacy, którzy pracują razem z Polakami i Pakistańczykami albo ich niezbyt rozgarnięci szefowie. Jeżeli ktoś jest ambitny, to marzy o Londynie i jak się uda, to tam trafia. Tutaj każdy jest tymczasowo. Nikt nie troszczy się o rozwój miasta. Nikt nie wyobraża sobie siebie tutaj za dwadzieścia lat albo wszystko jest mu obojętne. Tu nie ma żadnych inicjatyw. To miasto nie żyje tak jak powinno. Ono jest, ale nikt nie jest dumny, że tu mieszka. Nie jest małe i spokojne, ale nie ma też perspektyw dużego miasta. Ono zabija swoją nijakością kreatywność tych nielicznych, którzy chcieliby je zmienić – rozgadałem się, ale nienawidziłem tego miasta. Tu nic nikogo nie obchodziło.

– Wracajmy na naszą wioskę, Jurek. Musisz zapomnieć o tej dziewczynie – pokręcił głową. Nie rozumiał mnie. Nie mógł, bo ja sam się temu dziwiłem. Tu nie chodziło o dziewczynę. Nie chodziło też o miasto. Chociaż czułem tak, jak chwilę wcześniej powiedziałem – Zarezerwuję ci bilet na ten sam lot, co? – zasugerował.

– Jak chcesz – machnąłem obojętnie ręką, chociaż to był dobry pomysł.

Polałem po kieliszku, jak już jakieś znalazłem. Damian to zauważył i wzniósł jeden.

– Za lotnictwo! Nie zniósłbym doby w autobusie – wygłosił pierwszy toast tego dnia.

Silny wiatr. To zawsze towarzyszy przejściu z budynku lotniska do samego samolotu. Było jeszcze ciemno mimo zmiany czasu na zimowy. Uszy zdążyły mi zmarznąć zanim

znalazłem się na pokładzie. Wchodząc odwzajemniłem zawodowy uśmiech stewardessy. Nie robię często takich rzeczy, ale w jakiś sposób ucieszyło mnie to, że opuszczam kraj, który zbliżył mnie do spełnienia marzeń, a następnie zabrał mi tę iluzję. Szukałem miejsca z dala od skrzydła. Nie chciałem patrzeć z góry na część maszyny, którą lecę, tylko na to, co na ziemi. Usiadłem więc przy oknie prawie na końcu. Czekałem na start. Damian usiadł koło mnie i od razu zasnął. Miał dobry pomysł, bo nie wyspaliśmy się przed wyjazdem. Ja jednak czekałem. Chciałem być świadom początku lotu i zobaczyć interesujące krajobrazy.

Lądowanie przyniosło mi jakąś radość z pojawienia się w dawno nie widzianej ojczyźnie. Nie bardzo miałem się z czego cieszyć, ale widocznie przywiązałem się do Polski przez dziewiętnaście lat na tyle, że cieszyła sama świadomość bycia u siebie.

– Witam w domu – powiedział brat Damiana, który odebrał nas spod lotniska. – Jak lot?

– Nieciekawy. Tak, jak powinno być – Damian się uśmiechnął i uściskał brata.

–Jurek? Nie wiedziałem, że wracasz – zdziwił się na mój widok i z miną wyrażającą to, podał mi dłoń.

– Ja wiem od wczoraj – przyznałem w wesołym tonie.

– Wsiadajcie. Nie mogę tu za długo stać – zmienił temat. Nasze walizki wylądowały w bagażniku, a my na miejscach pasażerów. Zaraz ruszyliśmy w drogę. Zajęła ponad dwie godziny, chociaż w linii prostej nasza wioska leży może ze trzydzieści kilometrów od lotniska. Niestety, od lat „powstaje” przeprawa przez zalew, która mogłaby znacznie skrócić tę drogę. Efektów żadnych nie widać. Koszta ciągle okazują się większe. Jak nie ekolodzy, to nie można postawić mostu, a na

tunel nikt nie chce dać pieniędzy. Każdy wyjazd w obrębie kraju oznacza przejazd przez miasto wojewódzkie pozbawione obwodnicy. I tak tkwimy w odciętym skrawku Polski, przez który nikt nie ma powodu nawet przejeżdżać.

Ale to nasz skrawek. Ludzie się z nim identyfikują. Czują się tutejsi. Działają jakieś organizacje. Każdy tu chociaż przez chwilę był harcerzem albo zuchem. Ludzie się znają, a jeszcze jest cicho. Zdecydowanie wolę naszą prowincję niż nijakie angielskie miasto. Tutaj życie toczy się trochę wolniej. Brakuje chętnych, żeby się tu przeprowadzić, więc nie ma obcych.

– Wysadzimy cię na przystanku, bo trochę się spieszę do roboty, a tam łatwo zawrócić. Dobra? – spytał kierowca, patrząc we wsteczne lusterko, gdyż siedziałem z tyłu.

– Jasne. Mam szczęście, że mnie w ogóle wziąłeś – odparłem wyrwany z myśli o naszej gminie.

– Nie przesadzaj. Przecież się znamy i to dobrze. A poza tym, to Twój ojciec jest przecież w radzie gminy – zażartował sobie.

– Ciągle się w to bawi – przytaknąłem.

– I dobrze. Jest na właściwym miejscu. To energiczny facet – stwierdził Damian, odwracając się do mnie.

Właśnie. Mój ojciec był radnym. Rok wcześniej przestał być burmistrzem. Właściwie, to sam był sobie winien. Miał spore szanse na reelekcję, ale pokłócił się z proboszczem. To, że jesteśmy na zachodzie kraju wcale nie oznacza, że takie akcje podnoszą popularność. Mimo, że w ojciec miał sporo racji w tym co mówił, to jednak ludzie wszystko uogólnili i wyszło, że walczy z Kościołem. Nie wiem, czy ksiądz im to podsunął. Chyba nie, ale nie powiem na pewno, bo nie chodzę do kościoła. W każdym razie, partia sama zdecydowała wtedy, że kto inny wystartuje na burmistrza. Wyszło tak, że wygrał jeszcze ktoś inny.

– Wracasz do niego do domu? – spytał Damian po chwili.

– Nie mam wyboru – nie cieszyłem się, gdy sobie to uświadomiłem. Mój ojciec był naprawdę energicznym, zorganizowanym człowiekiem, który jednak uważał, że inni sami nie dadzą sobie rady. Kiedy był burmistrzem zwiększył zasiłki socjalne i postawił na nogi urząd pracy. Pozwolił mi jechać do Anglii, ale opłacił mi studia, chociaż nie było takiej potrzeby zgodnie z tamtejszym prawem. Wiedziałem, że przyjmie mnie bez szemrania, ale ja nie chciałem z nim mieszkać. Nie czułem z nim szczególnej więzi mimo, że sam mnie wychowywał i zadbał o moją przyszłość. Nie chciałem też konfrontacji, a musiałem mu przecież powiedzieć, że jego ciężko zarobione pieniądze nie dały żadnego pożytku poza wykształceniem.

– To na razie – usłyszałem i wyrwałem się z zamyślenia. Byliśmy na miejscu.

– Na razie – wysiadłem i zabrałem bagaż. Odjechali. Ja zaś ciągnąłem swoją walizkę po drodze wysypanej żółtymi i brązowymi liśćmi, oznakami jesieni. Po kilku minutach stanąłem pod swoim domem.

Całe szczęście, że ojciec ciągle trzymał klucz w doniczce nad drzwiami. Dzięki temu wróciłem do siebie.

II

„Stare śmieci zaskakują”

Mój pokój nie przypominał w ogóle swojego stanu sprzed mojego wyjazdu. Niewiele jednak musiałem zrobić, żeby go odtworzyć. Prześcieradła wylądowały na podłodze, następnie złożone zniknęły w pralce. Znowu wszystko było po staremu. Położyłem się w swoim dawnym łóżku i zasnąłem, chociaż nie od razu. Nie miałem koszmarów. Nie zasnąłem też później, rozważając swoje zachowanie, które doprowadziło do utraty pracy i dziewczyny. Po prostu byłem trochę ożywiony i dlatego nie od razu zapadłem w sen. Nie trwał on też długo. Mimo, że ojciec prawdopodobnie wrócił wcześniej niż się obudziłem, to jednak obudził mnie dopiero dzwonek do drzwi. Usłyszałem żywą rozmowę na dole (bo spałem na piętrze) i postanowiłem zaskoczyć wszystkich, schodząc na dół i włączając się do dyskusji zanim zostanę zauważony. W połowie drogi na dół zacząłem słyszeć, czego dotyczyła rozmowa i domyślać się między kim się toczyła.

– W czym w takim razie problem? Nie ukradłem w życiu złotówki. Dlaczego w ogóle mnie pouczasz? – ten głos należał do proboszcza. Doskonale go pamiętałem. Myślałem jednak, że w ciągu pięciu lat może pojawić się nowy. Widocznie nie znałem się najlepiej na zwyczajach kadrowych w diecezji.

– Ale ludziom to mącisz w głowach. Każesz im ciągle na coś dawać, a sobie kupujesz nowy samochód. Jak w ogóle możesz być taki obłudny. Pieniądze nie są ważne. Czasem trzeba poświęcić coś. A jak przyjdzie co do czego to sam się nie podzielisz – mój ojciec atakował go wyraźnie. Trochę kpił,

a trochę się unosił.

– Nie każę im dawać tyle, żeby biednieli. To by było bez sensu. Zresztą wiesz, że na wioskach samochód jest mi niezbędny – proboszcz również się uniósł.

– Niekoniecznie taki – zadrwił mój ojciec.

– Taki mi się podobał. Oszczędzałem i sobie kupiłem. Nic ci do tego – ksiądz odbijał piłkę. Ja byłem już tylko z pięć metrów od miejsca rozmowy.

– A z czego oszczędzałeś? Z pieniędzy ludzi, bo ci dali za gadanie, żeby byli dobrzy i się dzielili i że jak będą tak robić to pójdą do nieba. Nic pożytecznego nie robisz tylko im wciskasz jakieś bzdury – ojciec wydawał się z głosu coraz bardziej wkręcony w dyskusję.

– Dobra, ojciec. Nie bądź taki. Ksiądz wierzy w to, co mówi, więc nie jest hochsztaplerem. A poza tym nie ślubował ubóstwa. Dałbym sobie spokój z taką bezcelową debatą – wtrąciłem się widząc, że i tak nikt nikogo do niczego nie przekona.

– No właśnie. Dziękuję. Szkoda, że nie wierzysz w Boga, ale dobrze, że masz swój rozum i nie powtarzasz głupot bez zastanowienia – pochwalił mnie proboszcz.

– Mój rozum rzeczywiście nie narzeka na brak pracy. A co do Boga, to rzeczywiście w niego nie wierzę. Nie mam jednak zamiaru tego udowadniać. Jakby się udało to wierzący i tak będą wierzyć, ale pewnie się nie uda i też stracę czas – uśmiechnąłem się.

– Kiedy wróciłeś? – mój ojciec dopiero teraz się odezwał po moim „objawieniu się”.

– Może z godzinę temu. Położyłem się, ale mnie obudziliście. Ksiądz i radny, a nie potrafią spokojnie porozmawiać. Ale taki już mamy poziom debaty publicznej – pokręciłem głową, żartując z nich i śmiejąc się jednocześnie z polskich polityków

namiętnie powtarzających, że potrzebne jest ucywilizowanie debaty publicznej, by w innym programie przerywać sobie co chwila i mieszać się z błotem.

– Gdybym wiedział nie unosiłbym się tak. Idź do siebie. Musimy dokończyć rozmowę w cztery oczy – ojciec próbował mnie przekonać do opuszczenia pokoju.

– Przecież ta rozmowa jest o niczym. Mogę zostać i się pośmiać – usiadłem w fotelu.

– Jurek, wyjdź! Nie mam zamiaru słuchać twoich idiotycznych uwag. Mam ważną kwestię do omówienia i nie będziesz jej słuchał, bo to nie jest twoja sprawa – wskazał mi drzwi. Był naprawdę stanowczy. Wiedziałem, że byłoby głupotą upierać się przy pozostaniu na miejscu.

– No tak. Życzę księdzu miłego dnia – wróciłem do siebie. Nie czekałem na odpowiedź proboszcza. Nie interesowało mnie też, co mieli omówić. To nie mogło mnie dotyczyć. Chociaż okazało się, że się myliłem.

Ojciec zawsze jeździł na obiad do miasteczka obok. Nie sądziłem, że to się zmieniło podczas mojej nieobecności. Nie miałem zamiaru z nim iść. Nie chciałem jeść wspólnie posiłku i udawać dobrą komitywę. Pewnie rozmawialibyśmy jak obcy ludzie. Powiedziałbym parę banałów o Anglii jaką poznałem i jakieś dwie anegdotki. Ojciec powiedziałby, że wszystko po staremu i tyle by przyszło z tego obiadu.

Postanowiłem sam sobie coś ugotować. Sprawdziłem lodówkę, ale nie było w niej nic poza wędliną i masłem. Nie mogłem nawet zrobić sobie jajecznicy. Musiałem wybrać się do sklepu. Nie chciałem tam iść. Sklepikarka miała w zwyczaju dużo pytać, a ja dawno nic jej nie mówiłem. Nie miałem jednak specjalnego wyboru. Bar z ojcem albo ploty z panią Marysią. Sklepikarka była jednak bardziej sympatyczna. I mogłem jej

powiedzieć cokolwiek, a i tak byłaby zachwycona wiadomościami zza granicy.

– Dzień dobry! – zacząłem standardowo po wejściu do sklepu.

– O proszę! Jurek! To też wróciłeś? – zareagowała bardzo żywo.

– Jak widać – przyznałem.

– Widać, że cię nie było długo, bo zmężniałeś – zaczęła się gadka kochanej cioci, ale musiałem się z tym liczyć.

– Czy ja wiem? – odparłem z powątpiewaniem, żeby mogła mnie upewnić.

– No pewnie. Jak tam było? – zapytała z wyraźnym zainteresowaniem.

– Brudno i nieciekawie. Ale były też plusy. Ludzie są nawet sympatyczni i nie traktują człowieka jak potencjalnego złodzieja i oszusta – ta krótka synteza kraju nad Tamizą była wszystkim, co chciałem jej powiedzieć. Robiłem się głodny, a ona widocznie bardziej ceniła rozmowę niż zysk, albo po prostu lubiła gadać, a po rozmowie i tak coś sprzeda.

– Aha. Czyli tak sobie? Lepiej niż tutaj – spodziewała się widocznie konkretnej oceny.

– No. Chyba gorzej – stwierdziłem krótko. – Nie mają dobrego jedzenia. Jak ten schab, poproszę – przeszedłem zgrabnie do zakupów.

– Cały? – zapytała.

– Pewnie – zgodziłem się. Nie chciałem wracać następnego dnia, bo wyliczyłem mięso na jeden obiad.

– Coś jeszcze? – mięso było już skasowane i zapakowane.

– Ze dwa kilo ziemniaków – też zamówiłem na zapas.

Chwilę zajęło nim je nałożyła, zważyła i nabiła na kasę. Jednak nie odzywała się w trakcie tych czynności.

– Jeszcze coś? – zapytała, podnosząc wzrok znad kasy.

– Ma pani jakąś gotową surówkę w słoiku? – odparłem pytaniem na pytaniem.

– Mam sałatkę szwedzką, ogórki kiszone, jakąś sałatkę z różnych warzyw, buraki, kiełki selera… – nie skończyła wymieniać, ale już się zdecydowałem i przerwałem jej.

– To tę wielowarzywną i buraki – zamówiłem.

– Wszystko? – zasugerowała.

– Tak… Chociaż nie. Da pani chleb – pewnie w domu brak.

Podała mi jakąś cenę. Wydało mi się mało bo i tak przeliczyłem to na funty.

– Do widzenia, pani Marysiu – pożegnałem się, biorąc zakupy.

– Do widzenia . A gdzie teraz mieszkasz? – zapytała, zaskakując mnie.

– Jak to gdzie? U ojca – zaśmiałem się z tego pytania.

– Naprawdę? Widocznie coś źle usłyszałam – była trochę zmieszana.

– Co pani usłyszała? – zapytałem zdecydowanie. Ktoś coś mówił, a ja nic nie wiedziałem.

– Nie chcę plotkować. Mogłam się pomylić. Proszę spytać ojca. Tak będzie najlepiej – nie miała ochoty mówić. Może rzeczywiście dobrze. Jeszcze by jakieś bzdury mi powiedziała.

– Tak zrobię. Pogadam z nim – odpowiedziałem i wyszedłem. Chyba będę musiał z nim porozmawiać. Dlaczego miałbym niby nie mieszkać w domu? Te wiejskie baby…

W domu znowu przywitała mnie pustka. Widocznie ojciec pojechał już na swój obiad i zostałem sam.

Zająłem się najpierw mięsem. Znalazłem z trudem nóż i to coś do tłuczenia kotletów. Niestety z przypraw musiały mi wystarczyć pieprz i sól, co w sumie nie dało złego efektu. Zacząłem obierać ziemniaki zaraz po wstawieniu mięsa do piekarnika. Ciekawe czy w ogóle był używany odkąd

wyjechałem. W liceum często coś piekłem, bo ojciec w ogóle nic nie umiał w kuchni. Zanim więc ja zacząłem zajmować się obiadami, chadzaliśmy do baru. Po moim wyjeździe ojciec naturalnie powrócił do tego zwyczaju i kontynuował go w dniu mojego powrotu z wyspy.

Tego dnia zjawił się z powrotem kiedy kończyłem już jeść swoje, całkiem udane, danie.

– Cześć! – przywitałem go – Byłeś na obiedzie?

– Tak. A co? – zapytał zaraz.

– To dobrze, bo zrobiłem obiad tylko dla siebie. I już nie ma – wyjawiłem mu banalny powód pytania.

– No i dobrze – przyznał.

– Pani Marysia ze sklepu się pytała gdzie mieszkam. Po wsi chodzą jakieś dziwne plotki, czy co? – poruszyłem temat, który zasugerowała mi sklepikarka.

– Słuchaj. Jutro przyjeżdża parę osób i wynajmą tu pokoje. W tym twój – powiedział spokojnie, ale to w ogóle nie grało mi z treścią.

– Jak to: w tym mój? – zadałem pytanie, które musiałem w takim przypadku zadać.

– No, wszystkie oprócz mojego. Nie wiedziałem, że wracasz. Jest okazja, żeby zarobić. Jutro możesz się przespać w salonie albo u mnie na materacu. Przyjeżdżają na dwie noce. Podzielę się z tobą pieniędzmi – mówił to, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz w świecie.

– Żartujesz sobie ze mnie? Kiedy chciałeś mi o tym powiedzieć? Ja musiałem cię o to zapytać? Kto to w ogóle przyjeżdża? – zacząłem krzyczeć.

– Znajomi księdza. Ma imieniny w Dzień Niepodległości i zaprosił tyle osób na weekend, że się u niego nie mieszczą – ojciec zachowywał stoicki spokój mimo mojej agresywnej

retoryki.

– Wyzywałeś go od oszustów i wynajmujesz pokoje jego znajomym. I on na to poszedł? – byłem zarówno zdenerwowany jak i zdziwiony.

– Nie słyszałeś wszystkiego dzisiaj. Chciał się targować, żebym dał mu jakiś rabat. Przypomniałem mu, że nie jest biedny i się zaczęło – wyjaśnił nawet z lekkim uśmiechem.

– Nawet z nim lepiej ci się chyba rozmawia niż ze mną, bo nie mogłeś mnie przecież uprzedzić. Nie mogłem zostać w pokoju i się dowiedzieć o tym interesie chociaż dotyczył mojego pokoju, tak? – przedstawiłem swój punkt widzenia bez krzyków, ale obrażonym tonem.

– Twój pokój. Nie przesadzaj już. Ja utrzymuje ten dom i opłaciłem ci studia. Mogę chyba czasem zarobić na własnym domu. Nie uprzedziłeś mnie zresztą, że wracasz – odciął się.

– Ale mogłeś mi o tym powiedzieć, a nie pozwoliłeś mi myśleć, że prowadzicie tylko jakąś głupią kłótnię. A teraz wszedłeś do domu i nic nie mówiłeś, dopóki się nie odezwałem. Może i mnie utrzymujesz, ale mógłbyś mnie traktować jak człowieka – byłem naprawdę zdenerwowany. Ojciec nie uważał, że powinien mnie uprzedzać.

– A ile wcześniej musiałeś to wiedzieć, żeby się przygotować? – zakpił.

– Dobra. Jak tak ma to wyglądać, to ja nie chcę tu mieszkać. Cześć, tato – wstałem i poszedłem do siebie. Zabrałem wszystko i minąłem ojca bez słowa. Wyszedłem. Robiłem coś idiotycznego, ale było już za późno na zmianę decyzji. Pozwoliłbym mu na takie traktowanie gdybym się wrócił. Tylko dokąd teraz?

Nie byłem przygotowany na taką sytuację. Wynajmowanie całego domku letniskowego nie wchodziło w grę. To nie mogło

mi się opłacać. Tylko, że nie wiedziałem, czy znajdzie się inne miejsce. Musiałbym prosić Damiana o pomoc. Mógłby mnie przenocować. Albo pojechałbym te pięćdziesiąt kilometrów na południe do miasta wojewódzkiego i spróbowałbym tam szczęścia. Może nawet załapałbym się na jakąś pracę w zawodzie. Wydawało mi się to jednak na tyle mało prawdopodobne, że postanowiłem zostać w swojej gminie. Stwierdziłem, że w barze mogę znaleźć kogoś, kto mnie przenocuje, żebym nie musiał prosić o przysługę Damiana. Pewnie witali go w domu. Nie chciałem im psuć pierwszego wieczoru.

Ta decyzja miała się odbić na reszcie mojego życia. Pójście do baru rozpoczęło coś, czego się absolutnie nie spodziewałem i co zmieniło całe moje dalsze życie.

Jednak, żeby dostać się do baru w naszym jedynym mieście w gminie, musiałem przebyć kilka kilometrów. Nie było to zadanie, które można było szybko wykonać, zwłaszcza z walizką o masie prawie dwudziestu kilogramów. Ciągnąłem ją na kółkach za sobą, ale i tak mnie spowalniała. Na szczęście u nas, chociaż samochody nie jeżdżą często, to można jednak liczyć na życzliwość kierowców, którzy łatwo biorą autostopowiczów. W końcu wszyscy się znają. Ja trafiłem na naszego jedynego bibliotekarza, pana Czesława.

– Co to, Jurek? Gdzie się ciągniesz z tą walizą? Chyba nie zamierzasz tak dojść do lotniska? – zażartował, jadąc powoli koło mnie.

– Zdecydowanie nie. Wybieram się do naszego baru – wysiliłem się, żeby się uśmiechnąć.

– To i tak bez sensu na mój gust. Ale akurat też jadę w tamte okolice. Pakuj bagaż i siadaj – zaproponował mi podwiezienie. Skorzystałem z okazji i zabrałem się z panem Czesiem do

miasteczka.

– To pewnie nie moja sprawa, ale znowu wyjeżdżasz, czy co? – zapytał gdy jechaliśmy już na trzecim biegu.

– Nie. Dopiero co wróciłem. Tylko wyniosłem się z domu – rzuciłem bez wahania. I tak zaraz wszyscy będą wiedzieć, jak zacznę szukać pokoju.

– I dokąd teraz idziesz, jeśli wolno spytać? – drążył mój chwilowy kierowca, ale był to człowiek, który miał jeszcze jakieś opory względem wścibstwa, które wielu innym w ogóle nie przeszkadzało.

– Jeszcze nie wiem. Coś się znajdzie. Myślę, że w barze ktoś coś zaoferuje jak zacznę pytać. – stwierdziłem.

– Może. Ja niestety nie pomogę – odparł sympatycznie, ale cały czas patrzył na drogę.

– Wiem. Nawet nie pytam. W końcu ma pan sporo dzieci u siebie – uśmiechnąłem się.

– No właśnie. Więc sam rozumiesz – zauważył. – Mamy teraz więcej książek Lema w bibliotece. Możesz przyjść jutro albo po weekendzie – zmienił temat, nie zmieniając tonu ani kierunku patrzenia.

– No dobra. Może wpadnę któregoś dnia – zgodziłem się.

Chwila milczenia zapadła po tym stwierdzeniu. Pan Czesław przerwał ją słowami:

– Co masz teraz zamiar robić? Szukasz pracy czy jeszcze się będziesz uczył?

– Pójdę do pracy. Nie mam zresztą wyjścia – kwaśno się uśmiechnąłem dostrzegając tę perspektywę, którą miałem przed sobą.

– Szukają kogoś u mechanika. Zaraz za granicą gminy. Pogadaj z Igorem. Powinien cię wesprzeć. Mówił, że sam nie wyrabia się za szybko. Poleciłby cię szefowi. Bo znasz się na

samochodach? – wysunął propozycję pracy i pierwszy raz od początku jazdy spojrzał na mnie.

– Tak. To nie była moja specjalizacja, ale wiem ile trzeba. Zresztą wcześniej trochę z nim grzebałem przy silnikach. A myślę, że na tych nowych nawet lepiej się znam od niego, bo więcej tej elektroniki widziałem – przyznałem z zadowoleniem. Może mechanik samochodowy to nie praca marzeń, ale to i tak dużo lepsze niż jakiś kasjer czy magazynier, gdzie zresztą musiałbym jeździć jeszcze dalej do pracy.

– No to się zgłoś do niego. Masz jego numer. Mieszka teraz gdzie indziej, ale przecież bez problemu go znajdziesz – powiedział zadowolony bibliotekarz. Cieszył się, że mi pomógł. Taki już był.

– Dziękuję, panie Czesławie. Za podwózkę i za informację o robocie – odpowiedziałem, podając mu rękę, gdyż zatrzymał się pod barem i mogłem już wysiąść.

– Nie ma sprawy. Do zobaczenia – odparł wesoło.

Ja ponownie otworzyłem bagażnik, wziąłem walizkę z plecakiem. I odszedłem, machając odjeżdżającemu bibliotekarzowi, który bezinteresownie mi pomógł. Pierwszy raz stare śmieci zaskoczyły mnie pozytywnie odkąd na nie wróciłem.

III

„Zaczyna być naprawdę dobrze”

Gdybym opisywał dokładnie bar, do którego wszedłem, padłoby sporo pozytywnych określeń. Zmieniło się wiele od mojego wyjazdu za granicę. Lokal zyskał ciekawy klimat. Czułem się tam swojsko. Podszedłem do baru, za którym niezmiennie stał pan Mietek. Był to człowiek o niezwykłej pogodzie ducha, stanowczy jednak, kiedy zachodziła potrzeba.

– Witamy z powrotem – zaczął, widząc mnie jeszcze w odległości jakichś trzech metrów od baru.

– Dzień dobry. Widzę, że sporo pan tu pozmieniał – pokiwałem głową z aprobatą.

– Mówili mi, żebym nie marnował pieniędzy, bo i tak nie zyskam nowych klientów. Ale trochę więcej ludzi teraz przychodzi, jak nie wygląda to już na melinę. Nawet w tygodniu. Co podać? – był zadowolony ze swojej decyzji.

– Może kielicha – zadecydowałem po zastanowieniu.

– Proszę bardzo – rzucił wesoło pan Mietek i polał mi czystej.

– Pańskie zdrowie, panie Mietku! – powiedziałem, wznosząc kieliszek, po czym przechyliłem go, wlewając w gardło zawartość.

– Może przechowam walizkę zanim pójdziesz, co? Chyba, że wpadłeś tutaj na krótko… – zaproponował, patrząc na mój bagaż.

– Niezły pomysł – zgodziłem się. Pan Mietek otworzył drzwiczki i zabrał moją walizkę oraz plecak.

– Nie napiję się pan z nami, kierowniku? – usłyszałem za plecami głos miejscowego pijaczka, Pawlickiego.

– Mogę się napić – stwierdziłem i spojrzałem na stolik jego kompanów. Łącznie było ich czterech.

– W takim razie zapraszamy – wskazał mi stolik ze swoimi kolegami.

– Panie Mietku, poproszę resztę tej połówki, co ją zacząłem – złożyłem zamówienie ku radości Pawlickiego.

– Dziękuję, panie kierowniku. Naprawdę nie trzeba było – powiedział pijaczek z wdzięcznością. Od początku miał nadzieję, że będę sponsorował mu jakiś napitek.

Zasiadłem ze stałymi bywalcami baru do stołu, przynosząc im wodę ognistą.

– Zdrowie pana kierownika! – zaproponował Pawlicki, gdy napełniłem każdemu szkło. Wypiliśmy bez ociągania.

– Naprawdę się cieszę, że pan kierownik się z nami napił – słodził Pawlicki przy wtórze pozostałych.

– Panie Pawlicki, czy pan w ogóle wie jak się nazywam? – zapytałem otwarcie.

– Co za pytanie? Miałbym nie wiedzieć jak się pan kierownik nazywa? Toż to byłby skandal nie pamiętać nazwiska syna naszego burmistrza, panie Nowak – powiedział kurtuazyjnie Pawlicki. Miałem wrażenie, że będzie tak kręcił, żebym zapomniał o co pytałem. A jednak wiedział.

– W takim razie przepraszam – powiedziałem, podnosząc ręce do góry – Tym razem pańskie zdrowie. Oby pamięć dalej doskonale panu służyła! – wygłosiłem toast do następnej kolejki. Następna opróżniła już butelkę. Zamówiłem więc następną. Zapłaciłem od razu, żeby potem nie kombinować, jak będę już pijany. Jednak zamawiałem kolejne butelki. Skończyło się na pięciu i sporo mnie to kosztowało, ale przy trzeciej w barze pojawił się Igor, który sam podszedł do stolika, przy którym siedziałem. Nie miał jednak sprawy do mnie.

– Panie Pawlicki, nie przesadźcie. Jutro widzę was o siódmej na budowie i macie robić. Rozumiemy się? – zwrócił się poważnie do pijaczka.

– Oczywiście, panie dyrektorze. Czy kiedyś nie przyszliśmy do pracy? – Pawlicki zdawał się być urażony, ale na wesoło.

– U mnie jeszcze nie, ale pracujecie dopiero od trzech dni – zauważył Igor.

– Niech się pan nie martwi. Wszystko będzie jak trzeba – zapewniał go mój towarzysz kieliszka.

– Jurek? Kiedy wróciłeś? Pijesz z nimi? – zdawało się, że Igor dopiero mnie zauważył.

– Tak. Dzisiaj. Tak – odparłem kolejno – Słyszałem, że szukasz mechanika. Chciałbym się zaoferować – zgłosiłem się do pracy.

– No dobra. Jutro o ósmej zaczynasz. Chociaż miałeś być wielkim fizykiem. Masz zamiar u mnie pracować? – zakpił z mojego wykształcenia.

– Już nie bądź taki złośliwy. Przecież nigdy nie powiedziałem nic takiego, że nie będę robił fizycznie – broniłem się.

– Ale przecież nie chcesz. Po to były te studia. A tu proszę. Ja po technikum mam ci załatwić pracę na stanowisku mojego pomocnika. Kto się teraz śmieje, co? – zaśmiał się.

– Ja się nie śmieję. Ale przestań. Nie poszedłem na studia, żeby się mądrzyć. Wiesz, po co się tam wybrałem. Mówiłem ci. Wtedy się nie śmiałeś, chociaż bym się nie zdziwił – powiedziałem z pełną powagą.

– Dobra. Poniosło mnie. Po prostu czułem, że to się tak skończy. Załatwię ci tę pracę. To żaden problem – stwierdził spokojnie.

– Panie dyrektorze, napije się pan z nami i z panem kierownikiem? – zaproponował Igorowi Pawlicki.

– Nie dzisiaj – wskazał kluczyki – Miłego wieczoru. I bądźcie rano w robocie – polecił i poszedł w stronę pana Mietka. My zaś piliśmy dalej w mocnym tempie.

– Panowie, mam sprawę. Może jesteście w stanie mi pomóc – zacząłem na początku czwartej butelki.

– Zamieniamy się w słuch, panie kierowniku – odpowiedział najbardziej gorliwy, Pawlicki.

– Muszę znaleźć jakieś miejsce do spania. Możecie coś polecić? Najlepiej od dzisiaj – nie sądziłem, że coś mogą zaoferować, ale mogli coś wiedzieć.

– Niestety, panie kierowniku, nie mogę pana przyjąć do siebie. Będę miał szczęście, jak sam wejdę do domu – powiedział żartobliwie Pawlicki, pozostali też stwierdzili, że nie mogą pomóc.

– Szkoda. Będę pytał dalej. Dopiero dwudziesta – stwierdziłem z niezadowoleniem.

– Ale jest jedno takie miejsce – przypomniał sobie Pawlicki. – Nie nadaje się dla normalnych ludzi na długo, ale może pan tam parę nocy przetrzymać. Może nawet zostało tam jeszcze trochę węgla do pieca. Kiedyś musiałem się tam przechować, jak w zeszłym roku mnie małżonka do domu nie wpuściła i pan Mietek dał mi trochę węgla. Pana zdrowie, panie Mietku! – krzyknął po tym, jak zaczął opowiadać o jakimś schronieniu. Bałem się, że może się już na tyle upił, że niełatwo wróci do porzuconego tematu i nie będzie w stanie wytłumaczyć mi jak mam tam dotrzeć. Nie doceniałem jednak głowy pana Pawlickiego, który wypił w życiu tyle wódki, że był na nią nieźle uodporniony.

– Co z tym miejscem? – próbowałem przekonać go, by dokończył.

– Niewiele tam jest, ale wystarczająco ciepło – stwierdził

obojętnie Pawlicki.

– Ale gdzie to jest? – ciągnąłem niecierpliwie.

– Idzie pan do krzyżówki i wzdłuż cmentarza w las. Potem jakiś kilometr i trzeba odbić w… lewo, nie, przecież w prawo. No, na południe bardziej – Pawlicki się zakręcił.

– To by znaczyło, że jednak w prawo – stwierdziłem z dystansem.

– No tak. W każdym razie na południe – stwierdził, kiwając głową.

– I łatwo to znaleźć? – spytałem nieufnie.

– No tak. Potem już jest blisko. Dom będzie po… lewej. Tak. Po lewej – powiedział pewnie po zawahaniu.

– Cieszę się, że napiłem się z wami, panowie – powiedziałem wesoło po otrzymaniu informacji, która mnie ucieszyła.

– Wypijmy za to – podsunął Pawlicki i kieliszki poszły w górę, a zaraz potem ich zawartość w przełyki.

Jakiś czas później zauważyłem, że ludzie, z którymi piję, są po prostu zadowoleni i weseli. Ja jednak byłem już porządnie pijany. Uświadomiłem sobie, że niepopijanie wódki nie kończy się dobrze w moim wypadku. Niestety moi towarzysze w ogóle nie pomyśleli o czymś tak, ich zdaniem, niepotrzebnym. Około dwudziestej drugiej stwierdziłem, że jestem w stanie sobie pójść.

– Żegnam, panowie. Było miło, ale muszę się oddalić – rzuciłem towarzyszom na pożegnanie.

– Dziękujemy za towarzystwo, panie kierowniku – powiedział Pawlicki, do którego przyłączyli się pozostali.

– Panie Mietku – zwróciłem się do barmana, choć mogłem brzmieć mniej wyraźnie. – Zostawię u pana swoje rzeczy do jutra. Może być? – zapytałem.

– Jasne. Nie chcesz, żeby ktoś Cię odwiózł? – zaproponował

życzliwie.

– Nie trzeba – odparłem beztrosko i chyba niesłusznie, patrząc z perspektywy czasu. – Pożyczyłbym tylko jakąś latarkę – dodałem.

– Akurat jakąś mam – przyznał barman i zaraz wręczył mi świecący sprzęt.

– Dziękuję i dobranoc w takim razie – pożegnałem się.

– Dobranoc, Jurek – odparł pan Mietek. Opuściłem lokal i natknąłem się zaraz na jakąś bandę zakapturzonych nastolatków.

– Ej, ziomek. Co się wozisz? Wiesz, kto tu rządzi? – usłyszałem zaraz od jednego z nich.

Chwilę zajęło mi ogarnięcie sytuacji, ale zauważyłem zaraz, że mam do czynienia z wyszczekanymi gimnazjalistami, których wystarczy trochę postraszyć.

– Wam się chyba coś popierdoliło, dzieciaki. Ja lepiej wiem, kto tu rządzi niż wy – odpowiedziałem więc ostro.

– No tak, tak – zaśmiali się. – Na pewno.

– Nie chcę wyjść na zgreda, ale powinniście iść spać, bo jutro są lekcje – zabrzmiałem pewnie protekcjonalnie, ale tak miało to zabrzmieć.

– Chyba musimy cię nauczyć, że nie warto pyskować ekipie – stwierdził znów ten sam, co wcześniej.

– Powiem wam tak. Możemy to załatwić na trzy sposoby. Pierwszy: idziecie spać i ja idę do siebie – przerwali mi śmiechem. – Drugi: wołam pijaków z baru i spuszczamy wam wpierdol. Trzeci: Jeden z was dostaje ode mnie w ryja, a reszta spierdala w popłochu – przedstawiłem swoje propozycje, chcąc ich wystraszyć i żeby wybrali pierwszy sposób. Niestety stwierdzili, że jest ich na tyle dużo, że sobie poradzą. Pierwszy z nich wyskoczył i chciał mnie uderzyć. Chociaż byłem pijany,

zdołałem zablokować cios i naprowadzić swoją pięść na jego twarz. Doprowadziło to do tego, że wylądował na ziemi, a reszta uciekła. Wybrali więc sposób trzeci.

– Podnieście go, pajace. I żebym was więcej o tej porze nie widział! – krzyknąłem za uciekającymi i poszedłem dalej.

Pamiętam, że szedłem drogą aż do krzyżówki i że trafiłem w pobliże cmentarza. Wtedy zaczęły mnie ogarniać wątpliwości. Czy idąc lasem zdam sobie sprawę, że przeszedłem kilometr. Byłem mocno pijany i mogłem iść dużo wolniej. Nie mogłem po czasie określić ile przeszedłem. A w ciemności nie mogłem też tego stwierdzić na oko. Nagle poczułem się bardzo źle i zacząłem wymiotować. Nie wiem, ile to trwało. Pewnie dłużej się zastanawiałem, czy chce mi się podnieść niż samo wymiotowanie. W końcu zwalczyłem słabość i ruszyłem dalej. Jednak po jakimś czasie ogarnęła mnie nieodparta myśl o tym, że muszę iść spać i, jak ostatni debil, położyłem się „na chwilę" pod jakimś drzewem. Obudziłem się jednak w jakimś łóżku, w pomieszczeniu i nie umiałem tego wytłumaczyć. Jedno było pewne: sam tam nie dotarłem. Z trudem podniosłem się z łóżka i zobaczyłem, że było ciągle ciemno. Spojrzałem więc na zegarek, który wciąż miałem na ręce. Dochodziła szósta. Co za szczęście, że się obudziłem wtedy, a nie dwie godziny później. Miałbym bowiem problem z utrzymaniem posady, którą dopiero co sobie załatwiłem. Postanowiłem przejść się do pracy, żeby dojść w tym czasie do siebie. Nie najlepszy był to bowiem pomysł pić z Pawlickim i jego kumplami na ich sposób. Opuściłem pomieszczenie, w którym szczęśliwie się znalazłem w ciągu nocy i ruszyłem w drogę. Rozejrzałem się i stwierdziłem, że wylądowałem w miejscu, które polecił mi Pawlicki. Nie miałem jednak najmniejszych wątpliwości, że ktoś pomógł mi się tam dostać. Nikogo jednak nie pamiętałem

i nie widziałem. Cały dom zresztą wydawał mi się zbyt czysty i zorganizowany, żeby był tylko awaryjną meliną. Coś więcej mi zresztą nie pasowało.

Odłożyłem jednak dociekania na później i poszedłem w stronę drogi, gdzie po piętnastu minutach się znalazłem. Wydawało się wątpliwe, że dotrę do pracy na czas, jeżeli będę szedł pieszo. Liczyłem jednak, że prędzej czy później ktoś mnie zabierze samochodem. Miałem rację. Po godzinie marszu znalazł się życzliwy kierowca, który zabrał mnie, dokąd chciałem. Dostałem się do pracy zbyt szybko i długie minuty do otwarcia warsztatu poświęciłem rozważaniu nad tym, co się wydarzyło. Skoro nie ulegało wątpliwości, że ktoś zaniósł mnie do tego domu, to musiał to zrobić dosyć wcześnie, bo nie czułem się źle. A byłoby tak, gdybym przeleżał kilka godzin na mrozie. Może nawet nie wyszedłbym z tego cało. Można więc stwierdzić, że miałem niebywałe szczęście. Kto je jednak uosabiał? Jeżeli byłby to Pawlicki, miałoby to jakiś sens. Zaniósłby mnie do domu i wyszedł, zanim się obudziłem do swojej pracy. Tylko, żeby tak się stało, musiałby nie zostać wpuszczony do domu, a twierdził, że już od roku to się nie zdarzało. Poza tym nie był w jakimś stanie, który usprawiedliwiałby nie wpuszczenie go do własnego mieszkania. Ale kto, jeżeli nie Pawlicki? Może barman, pan Mietek. Tylko, że nie mówiłem mu dokąd idę. Może Pawlicki mu powiedział, a barman się tak przejął, że sprawdził, czy tam dotarłem. To było jeszcze bardziej naciągane. A może uratował mnie mój własny ojciec. Mógł się dowiedzieć w jakim stanie wyszedłem i dokąd miałem się udać. Ale musiałby zatem odwiedzić bar po moim wyjściu. A może pan Mietek zadzwonił do niego widząc, że zostawiam bagaż i biorę latarkę. Możliwe, ale dlaczego zaniósłby mnie tutaj, a nie wziął do samochodu i do domu? To wydawało się dziwne. Poza

tym ta cała czystość domu, w którym się obudziłem i coś jeszcze, co mnie gryzło przekonywało mnie, że dom może być zamieszkany. W takim wypadku najrozsądniejszym wnioskiem byłoby uznanie, że zaniósł mnie tam mieszkaniec domu. Tylko kim mógł być? I dlaczego Pawlicki nie wiedział, że ktoś tam mieszka? To oczywiste, że dawno tam nie był, ale wydaje się, że w ciągu roku odkąd Pawlicki tam nocował, ktoś zajął się doprowadzaniem miejsca do porządku. Ktoś, o kim w okolicy najwidoczniej nie słyszano. Nie było to takie pozbawione sensu, skoro o istnieniu domu nie wspomnieli nawet towarzysze Pawlickiego. Może tylko on przypadkiem kiedyś tam trafił? Wszystko wskazywało jednak na to, że ktoś trafił tam też później i się urządzał. Sytuacja nie była codzienna. Skoro ktoś dba o ten dom, to powinno być coś o nim wiedzieć. Jeżeli zaś nic nie wiadomo, to bardziej pasowałby ktoś, kto tylko próbuje przetrwać w opuszczonej chacie.

Nie potrafiłem wymyślić nic sensownego i w kółko rozmyślałem nad tym samym. Jednak po jakimś czasie przerwał mi Igor, który stawił się do pracy.

– Cześć – powiedział i podaliśmy sobie ręce. – Miałem wątpliwości czy przyjdziesz po piciu z naszymi najwytrwalszymi amatorami wody ognistej – zażartował.

– Mało brakowało – przyznałem. – Nie wiesz, czy w okolicy pojawił się ktoś nowy? – zapytałem, chociaż był to strzał z daleka.

– Nie. Nie powiedziałbym. To znaczy parę osób się buduje w okolicy, ale prawie nikt nowy. Praktycznie sami starzy, którzy wynoszą się od rodziców. Chyba, żeby liczyć żonę Adama. Ona jest nowa – stwierdził Igor.

– Myślałem o kimś, kto się tu pojawił. Niekoniecznie musisz wiedzieć gdzie mieszka – sprecyzowałem, ale nie liczyłem na

to, że Igor może podsunąć mi konkretną osobę.

– Jak ktoś by się pojawił, to wszyscy by wiedzieli gdzie. Tak już u nas jest. Nie rozumiem, co ty wymyśliłeś – spojrzał na mnie wzrokiem połączonego zdziwienia i politowania.

– Słyszałeś o domu w lesie? Jakiś kilometr za cmentarzem. W sumie ciężko tam trafić. Samochodem się nie dojedzie. Tylko kawałek – próbowałem z innej strony.

– Pierwsze słyszę – tego się właśnie spodziewałem.

– Bo jest taki stary dom tam. I wygląda na to, że ktoś zaczął go remontować i urządzać – wyjaśniłem.

– I co z tego? Może to nie jest legalne, ale nie wiem do czego zmierzasz – Igor nie za bardzo miał ochotę tego słuchać.

– Bo ja tam dzisiaj spałem. Ktoś mnie tam zaniósł, bo zasnąłem po drodze. I w środku wyglądało to nieźle. Ktoś się tam urządza. Nie wiesz, kto to może być? – zapytałem, w końcu ujawniając wszystkie fakty.

– Nie wiem, ale zaczyna mnie to nawet interesować. Twierdzisz, że ktoś cię tam zaniósł, ale nie wiesz kto? – powiedział Igor z lekkim zainteresowaniem.

– Tak właśnie musiało być – przyznałem.

– Kto by robił coś tak dziwnego? Nie kupić domu i go odnawiać, to niecodzienne – kolega zastanawiał się i otworzył bramę.

– W sumie to nie wiem, czy nikt go nie kupił. Może jednak. Ale to i tak ktoś kogo nie kojarzysz? – upewniałem się.

– Na pewno. Nie znam tu nikogo, do kogo bym nie trafił – potwierdził.

– W takim razie mógłbym przejrzeć księgi wieczyste – zauważyłem. – Chociaż pewnie nie znajdę nic ciekawego. Jeżeli ktoś by kupił ten dom ostatnimi czasy, ktoś by o tym wiedział, czyli wszyscy by wiedzieli – powątpiewałem w sens działania,

o którym dopiero co wspomniałem.

Zaraz pojawił się szef i nie było już mowy o rozmowach, jeżeli miałyby zastąpić robotę. Na początek mieliśmy zająć się dwudziestoletnim peugeotem 405. Trzeba było wymienić klocki hamulcowe i opony na zimowe. To było proste nawet dla mnie. Później jednak zajęliśmy się nowszym modelem audi, prawdę mówiąc, dwuletnim. Cała elektronika, która była w tym samochodzie odpowiedzialna za o wiele więcej aspektów niż w przypadku poprzedniego samochodu. Na szczęście po dłuższym namyśle i dostosowaniu znajomości teorii do praktycznych problemów, osobiście doprowadziłem pojazd do właściwego stanu.

– Dobra robota – stwierdził szef, a było już po czwartej. – Myślałem, że będziemy tu siedzieć do nocy albo skończymy jutro. Te nowe modele zawsze były problematyczne. Myślę, że podaruję ci okres próbny. Miałem cię sprawdzać tydzień, ale witam już teraz – pochwalił mnie, machnąwszy ręką w trakcie mówienia o tygodniu próby.

– Dzięki, szefie – powiedziałem zwyczajnie, chociaż czułem się doceniony. Ta praca mogła być naprawdę w porządku. Ta drobna satysfakcja pozwoliła mi zapomnieć o niedawnych niepowodzeniach i o swojej obsesji, której i tak prawdopodobnie nie udałoby się zrealizować. To po prostu nie było możliwe.

– Zwijamy się – zarządził przełożony. – Nikt się już nie pojawi, bo od jutra długi weekend – stwierdził.

Ucieszyło to nas obu z Igorem.

– Podwieźć cię? – spytał mnie Igor po wyjściu z warsztatu.

– Czemu nie. Zawieź mnie do krzyżówki – zgodziłem się.

– Dlaczego tam? Mogę te dwa kilometry odbić i zawieźć Cię do domu – zaoferował się ze zdziwieniem na moje słowa.

– Nie mieszkam teraz w domu – wyjawiłem. – I chcę

sprawdzić, co z tym domem w lesie – dodałem zdecydowanie.

– I myślisz, że co tam znajdziesz? Ja bym się tam nie pchał. Ktoś może tam mieszkać, ale wygląda na to, że nie chce, żeby o tym wiedziano. Uczciwy człowiek się tak nie ukrywa – Igor odradzał mi ponowne zajście do domu w lesie.

– Może nie jest uczciwy, ale chyba nie jest niebezpieczny. Uratował mnie bądź co bądź – zauważyłem. – Gdyby to był jakiś zbieg, raczej zostawiłby mnie na mrozie – wątpiłem, że powrót może być niebezpieczny.

– Kto wie? To może być ktokolwiek. W najlepszym razie już się stamtąd wyniósł, bo pomyślał, że ktoś wie o tym miejscu. Mówię Ci, że to nie jest ktoś, z kim warto się zadawać – Igor był coraz bardziej stanowczy.

– Na mój gust to może być jakiś ważny świadek. Dlatego to wszystko jest takie tajemnicze, a ktoś wydał na to pieniądze – podsunąłem.

– To i tak nie jest dobry pomysł. Jeżeli to świadek, to albo i tak się nie przyzna, czyli nie będziesz wiedział, czy tak jest. Albo ci powie i będziesz musiał siedzieć cicho. Pójście tam nic ci nie da. Nawet, jeśli to jest bezpieczne – wiedział, że i tak mnie nie powstrzyma. Tak samo jak przed studiami fizycznymi. Doradzał mi wtedy coś bardziej praktycznego. Nie wierzył, że odkryję to, co może spełnić moje marzenie.

– Dobra. Wysadź mnie na krzyżówce. Pójdę tam albo nie – powiedziałem dyplomatycznie.

Wsiedliśmy do samochodu i po piętnastu minutach jazdy wysiadłem.

– Wiem, że tam pójdziesz – powiedział Igor, kręcąc głową. – I mówię ci ostatni raz, że to bez sensu.

– Chodź ze mną. Będziesz mnie pilnował – zaproponowałem, śmiejąc się.

– Nie ma mowy. Ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie jestem łowcą przygód. I mam małe dziecko. Nie mam zamiaru oglądać domów jakichś szemranych typów – tak, jak się spodziewałem, nie dał się złapać na odwołanie się do jego rozsądku.

– Jak chcesz – powiedziałem na koniec. Igor miał rację. Nie było sensu się tam pchać. Ale wypadało pójść i podziękować. Poza tym byłem naprawdę ciekaw, kto mógł tam mieszkać. Sam nie sądziłem, że moje odkrycie okaże się tak niezwykłe. Dopuszczałem prędzej możliwość, że uratował mnie zbiegły morderca niż ten, kogo tam spotkałem. Żeby jednak nie uprzedzać wypadków, nie wspomnę teraz kim był ów tajemniczy mieszkaniec leśnego domu i wrócę do momentu, gdy Igor odjechał, a ja sam skierowałem się w stronę miejsca, w którym poprzedniej nocy się znalazłem.

Zaczynało się robić ciemno, naprawdę ciemno. Nie ciemniej niż w dzień tylko z szarego niebo robiło się czarne. Kroczyłem z początku drogą, która nadawała się dla pojedynczego samochodu, ale po jakimś kilometrze odbiłem w prawo. Zupełnie tak, jak mówił Pawlicki. Było teraz łatwiej, gdyż przebyłem drogę rano w przeciwnym kierunku. Miałem więc jakieś odniesienie, gdzie dokładnie powinienem zejść z drogi. Przebyłem jeszcze jakieś czterysta metrów i stanąłem w pobliżu domu. Chociaż było już ciemno, obejrzałem go przy pomocy latarki pożyczonej od pana Mietka. Mimo tego, że wokół chaty rosły wysokie sosny, nie dostrzegłem skutków wilgoci, które powinienem był znaleźć. To przesądzało sprawę. Ktoś doprowadził ten dom do porządku w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Nie oglądałem już nic na zewnątrz. Wstąpiłem do środka. Nie było zamknięte. Nie było też zapalonego światła, chociaż była taka możliwość. Postanowiłem czekać na mieszkańca w ciemności, aby nie spłoszyć go z daleka.

Czekałem tak dłuższy czas. Minęła siedemnasta, osiemnasta i dziewiętnasta. Doskwierał mi już głód, ale trzymałem się dalej w ciszy i ciemności. Upływały kolejne godziny. O północy miałem już wątpliwości. Przecież poprzedniej nocy ktoś mnie znalazł. Wychodził albo wracał do domu. Ja zaś już robiłem się senny i dochodziłem do wniosku, że może ten ktoś uciekł, widząc, że się tu kręciłem. Z drugiej strony zaczynałem się też bać, że może tutejszy bywalec pojechał na jakiś napad i może wrócić o każdej porze. Tym razem mógł nie darować mi życia. O drugiej zdecydowałem wyjść, żeby nie zasnąć. Las brzmiał swoimi odgłosami. Wiatr szumiał dosyć głośno. Zdałem sobie jednak sprawę, że słyszę coś więcej niż szum lasu. To coś nieźle się w niego wtapiało, ale brzmiało inaczej. Gdyby wiało słabiej, mógłbym mieć pewność. Obszedłem dom wokół i zlokalizowałem źródło dźwięku. Budynek był klimatyzowany. Ale nie dostrzegłem klimatyzacji tam, gdzie się rano obudziłem i po powrocie z pracy czuwałem. Parter nie był klimatyzowany. Więc jeżeli ktoś jeszcze przebywał w domu, musiał przebywać pod ziemią.

Ten jedyny możliwy wniosek chciałem potwierdzić naprawdę prostym sposobem. Nie zawahałem się. Po wejściu do środka zapaliłem światło i zacząłem szukać wejścia na dół. Nie widziałem nic, co mogłoby tym być. Chciałem sprawdzić pod dywanem, ale był przyklejony do podłogi. Przyjrzałem się całej podłodze, ale nie spostrzegłem potencjalnego zejścia. Jednak klimatyzacja działała i musiało być pomieszczenie pod ziemią. Czyżby nie dało się tam trafić z parteru? To wydawało się absurdalne. Złapałem za dywan. Był przyklejony na pewno, ale nie cały. Zrozumiałem dopiero po chwili. Dywan był przyklejony do klapy. Mógłbym ją podnieść, unosząc nieprzyklejoną część i używając jakiegoś łomu. Nie widziałem

niestety nic, co mogłoby posłużyć za łom. Nasunęło mi to myśl, że ktoś musi być pod ziemią i ma ze sobą przedmiot, który ułatwia zejście na dół, gdy wejście na górę jest bezproblemowe. Mogło być też tak, że po prostu nie mogłem znaleźć nic, co pomogłoby mi tam wejść, bo źle szukałem albo ktoś, kogo szukałem, miał to ze sobą. Najbardziej prawdopodobne wydało mi się jednak moje pierwsze przypuszczenie. Jeżeli chciałem się zatem spotkać z mieszkańcem, musiałem cierpliwie czekać, znaleźć sposób, by zejść na dół albo znaleźć sposób, by sprowadzić go na górę. Tylko, czy naprawdę chciałem go zobaczyć? Na dole mogło się znajdować laboratorium pełne kokainy, porwani ludzie albo w najlepszym wypadku hodowla marihuany. „Zdecydowałem się już". Tak sobie wtedy pomyślałem i postanowiłem ściągnąć człowieka na górę. Pomyślałem, że zrobię to, powodując łatwą do usunięcia awarię klimatyzacji. Wyszedłem na zewnątrz i zwyczajnie zablokowałem wiatrak grubym kijem. Miałem nadzieję, że nie wyskoczy zbyt szybko i ktoś pojawi się, żeby sprawdzić, co nie gra.

Usłyszałem, że ktoś wchodzi na górę i wychodzi z domu. Teraz dopiero zacząłem się zastanawiać czy powinienem się ujawniać. Po walce z samym sobą zdobyłem się na to. Gdy zobaczyłem człowieka, zaświeciłem mu w twarz. Odruchowo się zasłonił, a ja zapytałem:

– Co tu się dzieje w ogóle?

– Nie świeć w oczy! – krzyknął. Wydawało mi się, że kiedyś słyszałem ten głos. Przeniosłem światło na jego szyję. Dostrzegłem twarz, gdy przestał ją zasłaniać.

– Profesor Poraziński? – zapytałem z prawdziwym, wielkim zaskoczeniem w głosie.

Wtedy człowiek odetchnął z ulgą.

– Zgadza się. To pan uszkodził klimatyzator? – potwierdził i spokojnie zadał pytanie.

– Ja – wyciągnąłem kij i wszystko zaraz zaczęło prawidłowo pracować – Dlaczego uspokoił się pan na moje pytanie? – zapytałem, podchodząc do niego.

– Cóż… Nie szukał mnie pan tu. Zaskoczyła pana moja obecność tutaj. – wyjaśnił, chociaż nic nie rozumiałem.

– I co z tego? Dlaczego miałbym się tu pana spodziewać? – okazałem swoje niezadowolenie z jego wyjaśnień.

– Ja też nie rozumiem. Rozpoznał pan we mnie profesora Porazińskiego, choć nie jestem znany przeciętnemu człowiekowi, a nie rozumie pan dlaczego się cieszę, że był pan zaskoczony – profesor wręcz zaśmiał się.

– No tak. Przecież jest pan poszukiwany w całej Unii Europejskiej. Ukradł pan naprawdę drogi sprzęt. Mieli na nim ostatecznie stwierdzić jaka jest natura światła – przypomniałem sobie, choć z głowy mi wypadło, co to było.

– Właśnie. Już się martwiłem, że Interpol mnie namierzył – wyznał, widząc, że zaczynam rozumieć jego reakcję.

– Ale po co pan to ukradł? – zdziwiłem się.

– Oni nie potrafili skorzystać z tego urządzenia, a mój pomysł odrzucili. Chciałem sam zbudować sobie takie samo urządzenie, ale nie umiałem go skonstruować bez materiałów, których nie jestem w stanie zdobyć. Musiałem pożyczyć sobie najdroższą część. Oddam ją chętnie jak skończę eksperyment – opowiedział. – No, chyba, że zaraz i tak będę więźniem – dodał pesymistycznie.

– Powinienem pana wystawić, ale wydaje mi się, że wczoraj zaniósł mnie pan do domu i dlatego nie zamarzłem. Chyba jestem panu coś winien – zdecydowałem się pozwolić mu dalej działać

– Dziękuję. To rzeczywiście byłem ja – przyznał profesor.

– Ale mam jeden warunek – zmieniłem ton na stanowczy. – Chcę brać udział w eksperymencie – oświadczyłem.

– Nie mam wyjścia, co? – zażartował – Niech będzie. Tylko czy pan coś z tego zrozumie? – zgodził się, ale powątpiewał w moje możliwości intelektualne. W jego głosie wyczułem politowanie.

– Niech pana o to głowa nie boli, profesorze. Jestem magistrem fizyki, a pański eksperyment jest czymś, co mnie w niej najbardziej interesuje – odparłem pewnie. – I mam zamiar tu mieszkać jeszcze przez jakiś czas – dodałem odnośnie warunków.

– Już mówiłem, że nie mam wyjścia. Myślę, że mogę pana jutro wtajemniczyć w swoją pracę. Tymczasem życzę dobrej nocy – powiedział spokojnie i wrócił do „piwnicy”. Ja zaś poszedłem w końcu spać, chociaż ponad godzinę myślałem nad tym, jak wszystko zaczyna przybierać zupełnie inny obrót. Nie mogłem uwierzyć, że trafiłem akurat na tego człowieka. To było nie do pojęcia.

IV

„Trochę o profesorze”

Obudziłem się dość późno. W końcu nie miałem powodu wstawać wcześnie w święto narodowe. Zastanawiałem się nad tym, jak zdobyć jedzenie w dzień świąteczny, ale zaraz zobaczyłem na stoliku chleb, konserwę i nóż. Poraziński nie był zatem złym gospodarzem. Zastanawiałem się tylko gdzie spał, bo nie zauważyłem żadnego innego łóżka na parterze. Czyżby miał jeszcze jedno w podziemiu? Niewykluczone. Przecież do tego czasu nie zajrzałem jeszcze w to miejsce. Nie myśląc nad tym dłużej, przygotowałem sobie śniadanie i nawet udało mi się znaleźć czajnik i herbatę. Niczego mi nie brakowało. Właściwie całość była przyzwoitym mieszkaniem. Zastanawia was pewnie, kim właściwie był profesor Poraziński. Z naszej przytoczonej rozmowy można wywnioskować, że miał powody, aby się ukrywać, gdyż ukradł istotne urządzenie dzięki, któremu można odpowiedzieć na ważne naukowe pytanie. Zatem przytoczę, co wiem o karierze tego człowieka. Profesor Poraziński był jednym z najwybitniejszych polskich fizyków. Zajmował się fizyką kwantową, ale też astronomią. W latach dziewięćdziesiątych wstrząsnął świat swoją naukową pracą na temat światła i uzasadnioną sceptyczną opinią na temat dotychczasowych wniosków. Z jednej strony profesor zaczął być popularny wśród zwykłych ludzi, którzy chętnie zagłębiali się w jego popularnonaukowych esejach. Wykładał w nich przejrzyście wszystkie teorie fizyczne, komentował ich braki i możliwe błędy. Chociaż żadnego z dalszych wniosków nie mógł poprzeć naukowymi metodami, to jednak przekonywał, że nie wyklucza

odkrycia w przyszłości sposobu podróżowania z prędkością światła bądź nawet szybciej, wynalezienia wehikułu czasu czy mikstury na niewidzialność. Wszystkie te fantazje traktował jako możliwe, choć nie twierdził tego na pewno. Wiedział jednak, że nauka osiągnie kiedyś taki poziom, by stworzyć te dziwactwa lub kategorycznie zaprzeczyć możliwości ich powstania. Jako gimnazjalista sięgnąłem po raz pierwszy po jego książkę i od tej pory związałem się na poważnie z fizyką, która miała mnie kiedyś uszczęśliwić. Nie sądziłem jednak w najśmielszych marzeniach, że będę mógł pracować z profesorem, który rozbudził całe moje zafascynowanie. Wrócę jednak do jego historii.

Mimo popularności wśród mas, naukowiec stracił w oczach swoich kolegów po fachu, którzy zaczęli z politowaniem komentować jego teorie o przyszłym postępie jak z bajki. Poraziński nie był jednak typem człowieka, który z tego powodu zniknąłby ze świata nauki. Przeciwnie. Wtedy najchętniej wykładał gościnnie na całym świecie, w tym na prestiżowym Massachusets Insitute of Technology. Jego poważne wykłady przywróciły mu częściowo dawną reputację, a ważne odkrycie dotyczące komety Halleya, co prawda nie przyniosło mu Nobla, ale postawiło go w czołówce światowej astronomii i fizyki. Dzięki temu został jednym z kilku badaczy, którzy mieli zbadać na niezwykle zaawansowanym sprzęcie naturę światła w odniesieniu do teorii korpuskularno-falowej. Cały świat oczekiwał w napięciu na wyniki eksperymentu. Najbardziej zainteresowani byli tym Brytyjczycy, u których prowadzono badania. Najwybitniejsze postaci europejskiej fizyki z Oxfordu, Cambridge, Sorbony zwrócili swój wzrok na laboratorium nad rzeką Avon, gdzie miało w końcu dojść do odkrycia. Jakieś sześć miesięcy badań nie dało żadnych efektów. Pewnego dnia

profesor zniknął, a sprzęt okazał się niekompletny. Jasne było, że zagubiona część była przy nim. Mimo pościgu, udało mu się zaszyć właśnie w tym domu, wyremontować go i najwyraźniej urządzić w nim laboratorium. Nie rozumiałem, jak niepostrzeżenie tego dokonał. Musiał przecież zdobyć materiały i je tu dostarczyć, a przecież nie można było dostać się tam samochodem. Jakkolwiek nie próbowałem tego wytłumaczyć, profesor musiał włożyć w to sporo wysiłku. Nie wyjaśniało to jednak kolejnej kwestii. Jeżeli istniało rzeczywiście podziemne laboratorium, w którym Poraziński miał odtworzyć niezwykle zaawansowane urządzenie i miał działającą klimatyzację oraz najzwyklejsze domowe urządzenia na górze, musiałby mieć dostęp do prądu i to w nieprzeciętnej ilości. Zastanawiałem się zatem, jak to się stało, że nikt nie zauważył tego zużycia energii. Przecież w elektrowni ktoś powinien się domyślić. Chyba, że profesor dopiero zaczął swoją badawczą działalność i jeszcze nie zauważono nagłego wzrostu zużycia energii. Może właśnie tak było. W końcu trochę musiało zająć remontowanie i urządzanie tego miejsca. Nie tłumaczyło to jednak pewnego innego bardzo prawdopodobnego zdarzenia. Mianowicie badanie czegoś, z czym nie poradziły sobie dotychczas wielkie europejskie mózgi, musiało zająć profesorowi dłuższy czas. Dlatego nie rozumiałem całego wysiłku, który włożył w tę kryjówkę, skoro po dwóch – trzech miesiącach musiałby zniknąć z powodu dochodzenia w elektrowni. Profesor mógłby się tu ukrywać jedynie gdyby nie zużywał dużej ilości prądu, a to było konieczne do jego pracy. Nie był w stanie wytworzyć sobie takiej ilości prądu za pomocą generatora Van der Graafa. Był skazany na oficjalne źródło. Czyżby profesor zmieniał miejsce pobytu co jakiś kwartał? Ktoś musiałby mu w tym pomagać, a poza tym dbałość wykazana przy remoncie

sugerowała chęć dłuższego pozostania w jednym miejscu. Nie potrafiłem zrozumieć zachowania profesora. Jego działania były skazane na porażkę. Postanowiłem go o tym poinformować. Sądziłem bowiem, że może nie przewidział wpadki z prądem i nie chciałem, żeby został złapany. Zależało mi bowiem na eksperymencie, który przeprowadzał.

Zaraz po zjedzeniu tego, co miałem do dyspozycji, postanowiłem dostać się na dół i porozmawiać z gospodarzem. Nie miałem jednak pojęcia jak powiadomić go o tym, że chcę go odwiedzić w laboratorium. Wydawało mi się, że mogę zastukać czymś w podłogę. Użyłem do tego celu miotły. Jednak chociaż stukałem ponad minutę, nie było żadnego odzewu. Profesor nie wchodził na górę. To znaczyło, że śpi, pracuje i nie słyszy. Jednak w drugim wypadku oznaczałoby to, że pomieszczenie na dole jest dźwiękoszczelne. Dopuszczałem zresztą wcześniej taką możliwość. Dlatego niełatwo było w jakikolwiek sposób napotkać profesora. Nie widziałem jednak problemu w tej okoliczności. Po prostu zrobiłem to samo, co nocą. Zablokowałem klimatyzację. Poraziński wyszedł na górę.

– Nie miałem pojęcia jak pana powiadomić, że chcę zejść – zacząłem.

– No tak. Też o tym nie pomyślałem. Ja nie mam specjalnej potrzeby wchodzić na górę – rzucił lekko.

– Po co w takim razie to odnowione wnętrze? – byłem zaskoczony.

– Mieszkałem sobie na górze, ale w końcu zacząłem więcej pracować i zniosłem sobie na dół drugie łóżko. W ten sposób nie ma szans, żeby ktokolwiek mnie spotkał – powiedział zadowolony z siebie. Wyszedłem przywrócić klimatyzację do właściwego stanu i zszedłem za profesorem na dół.

– A propos. Przecież był pan na zewnątrz dwie noce temu –

zauważyłem.

– W nocy to co innego. Czasem trzeba odetchnąć – powiedział spokojnie, nachylając się nad swoim komputerem.

– No fakt. Ale jeśli mogę spytać, jak długo zamierza pan tu zostać? – zapytałem nieśmiało patrząc mu na plecy.

– Ile będzie trzeba. Aż skończę pracę nad tym albo aż umrę. Kto wie? – nie miał więc zamiaru zmieniać miejsca niedługo.

– Obawiam się, że w elektrowni ktoś zacznie pytać, gdzie znika tyle prądu i ktoś w końcu tutaj trafi. Nie trzeba być geniuszem, żeby pana w końcu złapać. Chyba nie wziął pan tego pod uwagę – powiedziałem, starając się nie brzmieć zarozumiale.

W odpowiedzi usłyszałem jedynie szczery, wesoły śmiech naukowca.

– Widzę, że myśli pan o wszystkim. Jak pan się nazywa? – zapytał, nie odpowiadając na moje uwagi i nie wyjaśniając swojego śmiechu.

– Nowak. Jerzy Nowak – przedstawiłem się, chociaż chciałem, by kontynuował temat elektryczności.

– Nowak. Ciekawe. Jest was cała rzesza, a znam tylko dwóch – pokręcił głową z wesołością.

– A co do prądu. Przemyślał to pan jednak? – próbowałem naprowadzić go z powrotem na temat zużycia energii.

– No pewnie. Jestem fizykiem. Myślałem nad prądem. Te wszystkie wolty, ampery. Sporo kiedyś nad tym myślałem, ale nigdy mnie to nie urzekło na tyle, żebym się w tym specjalizował – powiedział profesor ogólnie, co nie miało zresztą związku z tym, o co pytałem.

– Mam na myśli ten prąd, którego pan teraz używa. Elektrownia w końcu zacznie to sprawdzać – czułem się jak w obecności ramola, który nie rozumie, co się do niego mówi.

A jednak ten człowiek miał niezwykły umysł. Dowiódł tego w czasie swojej długiej kariery. Czy był tak roztrzepany jak stereotypowy naukowiec? Jeżeli tak, to dlaczego umiał tak dobrze się ukrywać?

– A tak. Jest pan bardzo troskliwy. Jednak nie ma powodu do obaw – powiedział ze swoim spokojem i spojrzał uważnie w ekran monitora.

– Właśnie są – nie rozumiałem jego beztroski. – Może pan przez to wpaść.

– Dlaczego tak się pan martwi moim losem? – zapytał, z kolei odwracając się do mnie.

– Jestem fanem pana działalności – odparłem, ujawniając część prawdy.

– Świetnie. Liczy pan na jakieś wyjaśnienia? Dlaczego nie martwię się elektrownią? Nie ma powodów. Niech się pan uspokoi – znów próbował mnie zbyć.

– Płaci pan tam komuś, czy co? Zna pan kogoś z elektrowni – zgadywałem.

– Równie dobrze mógłbym płacić za prąd. Widzę, że jest pan ciekawski, panie… – zaciął się.

– Nowak – przypomniałem.

– No tak. Wiedziałem, że łatwe nazwisko. Bardziej nietypowe prędzej bym zapamiętał – pokiwał głową.

– Więc dlaczego nie martwi się pan elektrownią? Chyba to, co mówię ma sens? – naciskałem, by w końcu powiedział, dlaczego jest spokojny.

– Nie mam nic wspólnego z elektrownią. Dlatego nie martwię się nimi – powiedział otwarcie, ale to ciągnęło za sobą kolejne pytania.

– Więc jak pan to robi? Te urządzenia potrzebują dużo prądu. Tutaj go pan nie wytworzy – zaskoczył mnie swoją odpowiedzią

tak bardzo, że czułem, że bez rozwiązania tej zagadki nie będę mógł zasnąć.

– Widzę panie… – znów się zaciął, a ja znów przypomniałem swoje nazwisko. – Właśnie. Widzę, że nie da mi pan pracować jeżeli nie odsłonię przed panem tego sekretu i będzie pan ciągle pytał – spojrzał na mnie z nad okularów.

– Dobrze pan to ujął – przyznałem mu rację zadowolony, że zaczyna rozumieć, że liczę na pełne wyjaśnienia.

– Niech pan zatem słucha. Jak pan zapewne się domyśla przez jakiś czas pewni ludzie pomagali mi się tutaj urządzić. Gdybym sam miał to wszystko zrobić, nie zacząłbym jeszcze badań. Niech pan nie próbuje się dowiedzieć kim są, bo nie widzę powodu, żeby aż tyle panu mówić – zaczął poważnie.

– Doskonale rozumiem. Zresztą Ci ludzie w ogóle mnie nie interesują – powiedziałem z uśmiechem.

– No i bardzo dobrze – skwitował to profesor. Przestał się odzywać. Po jakiejś minucie przerwałem ciszę.

– Przepraszam. Wyjaśniał pan skąd bierze prąd – przypomniałem mu.

– Fakt. Zamyśliłem się – powiedział jakby nieobecnie. – Zbudowaliśmy tutaj coś, co mógł pan widzieć w Niemczech tylko, że lepsze – powiedział, ale nie zrozumiałem go.

– W Niemczech? – zdziwiłem się.

– Nigdy nie jeździł pan do Berlina? To blisko stąd – naprowadzał mnie.

– Elektrownia wiatrowa – dotarło do mnie, co zbudował. – To genialne. Tutaj zawsze jest wiatr – przyznałem.

– Właśnie. Tutaj zawsze wieje – potwierdził uczony.

– Ale jak to się stało, że nikt tego nie zauważył? Przecież te wiatraki są wielkie – było dla mnie niepojęte w jaki sposób profesor ukrył źródło swojej energii.

– Pracowałem nad tym jakiś czas, żeby dostosować się do warunków, ale nie było to niewykonalne. Postawiłem kilkadziesiąt mniejszych wiatraków – powiedział, jakby to było rozwiązanie wszelkich problemów.

– Przecież to nic nie zmienia. Wiatraki zawsze stoją na polach. Mniejsze też widać – zauważyłem.

– I tutaj istniał większy problem. Nasze wiatraki stoją w lesie. Na pierwszy rzut oka wyglądają jak drzewa. Właściwie ich konstrukcją są drzewa. Usunęliśmy wyższe gałęzie. Z dołu bardzo ciężko zauważyć, że to nie drzewa. Poza tym część lasu z wiatrakami jest niezwykle rzadko odwiedzana. Reszta była prosta. Akumulator i podłączenia. Można powiedzieć, że zapewniłem sobie bezpieczeństwo energetyczne – opowiedział dokładnie o sprytnym sposobie, w jaki zbudował „niewidzialną" elektrownię. To doprawdy był geniusz. Czułem się przez chwilę jak bohater powieści Juliusza Verne'a. Nie mogłem wyjść z podziwu, jak prosto ten człowiek ukrywał się w środku Europy i stworzył sobie doskonałe warunki do pracy, których nikt nie zrujnuje, bo nikt nie będzie o tym wiedział.

– Nie żartuje pan sobie ze mnie? – zapytałem, bo nie sądziłem, że ktoś aranżowałby coś takiego, ale samo tłumaczenie miało sens. Urządzenia działały, a przecież stosując wszelkie środki ostrożności, nie mógł jednocześnie narazić się na przyłapanie na kradzieży prądu. Mimo to zapytałem, bo cała historia brzmiała nieprawdopodobnie.

– Nie żartuję. Mogę tam pana zaprowadzić. Jak się przyjrzeć to zobaczy się te wiatraki, zwłaszcza po opadnięciu liści – powiedział, czerpiąc satysfakcję z tego, że jego dzieło wydało się tak niebywałe.

– Chętnie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem – zgodziłem się na propozycję profesora.

Poszliśmy jeszcze głębiej w las. Dotarliśmy po kilku minutach do miejsca porośniętego rzadziej, ale tak odległego od jakiejkolwiek ścieżki, że nie było powodu martwić się, że ktoś tam trafi.

– Teraz proszę spojrzeć w górę – usłyszałem, stojąc pod wysoką brzozą. Spojrzałem. Wiedziałem, że na tym drzewie musi być zamontowany wiatrak, ale zajęło mi dobre pół minuty dostrzeżenie go. Rzucany przez skrzydła cień nie wydawał się nienaturalny przy kiwających się drzewach i trzeba było chyba wiedzieć czego się szuka, żeby to znaleźć.

– Doskonale schowane – pochwaliłem.

– Możemy wracać? Skoro już pan wszystko wie, zajmijmy się głównym zadaniem – rzucił i ruszył w drogę powrotną. Dogoniłem go po chwili zwłoki.

– Zajmiemy się tym badaniem na temat natury światła? – spytałem dla pewności.

– Po coś pożyczyłem tamtą część – kiwnął głową.

– Fakt. Tylko myli się pan mówiąc, że wiem już wszystko – zmieniłem temat. – Chciałbym wiedzieć coś jeszcze.

– Słucham, panie Nowak. Nie mówię, że odpowiem – odparł, patrząc gdzieś w dal.

– Nie mam pojęcia, jak się pan tutaj znalazł. Z miejscowych wiedział o tym miejscu tylko jeden pijak, który spędził tu kilka nocy zanim się pan pojawił. Skąd pan wiedział o tym domu? – próbowałem nawiązać kontakt wzrokowy, ale nieprzerwanie wpatrywał się w jakiś odległy punkt.

– Po co to panu? – zapytał otwarcie.

– To zwykła ciekawość – wzruszyłem ramionami, choć na mnie nie patrzył.

– Powiem tak. Nie zniknąłem z Anglii z dnia na dzień. Doskonale wiedziałem, dokąd mam się udać, zanim

wyjechałem. Ludzie, którzy pracowali nad remontem i „elektrownią” przygotowali wszystko zanim się pojawiłem – powiedział, nie odpowiadając.

– Ale skąd pan wiedział o tym domu? – musiałem ciągnąć go za język.

– Panie Nowak – pokręcił głową i spojrzał na mnie. – Pracowałem w różnych miejscach. Zajmowałem się astronomią. Znalazłem ten dom dzięki satelicie, kiedy zdecydowałem się zaszyć razem z częścią, której potrzebowałem – wyjaśnił w końcu.

– Ale ci ludzie – próbowałem zapytać, bo nadal sytuacja wydawała się dziwna.

– Nic więcej o nich nie powiem – spojrzał mi w oczy i wiedziałem, że nic więcej z niego nie wyciągnę. Wystraszył mnie wręcz tymi słowami. Zdało mi się, że ci ludzie, o których wspominał, nie mogą zostać narażeni na powiązanie z Porazińskim. To rozumiałem. Ale to im powinno na tym zależeć w razie wpadki. Dlaczego profesor tak kategorycznie ucina jakąkolwiek dyskusję o nich? Wydawać by się mogło, że jego celem nie jest naukowe odkrycie, ale przyczynienie się przez nie jakiejś idei. Nie wiedziałem, czy powinienem mu pozwolić na dalsze badania. Może istniała tajna organizacja, która przygotowała mu to miejsce, żeby jego odkrycie pomogło im coś osiągnąć. Czy miałoby to być osiągnięcie władzy nad światem? A może zapobiegnięcie temu? To wszystko wydawało się niezwykle nieprawdopodobne. Nie potrafiłem jednak wyjaśnić zachowania profesora po moim pytaniu. Może przesadzałem, ale jak miałem się upewnić?

– Panie Nowak. Nie wiem, dlaczego jest pan taki ciekawy tych ludzi. Musi pan zrozumieć, że jestem właściwie pańskim zakładnikiem. Jeżeli zdecyduje się pan z jakichś względów

oddać mnie w ręce policji, mógłby pan wpakować więcej osób do więzienia – powiedział uspokajająco. Nie przekonał mnie do siebie jednak. Nie potrafiłem już bezgranicznie zaufać profesorowi. Postanowiłem obserwować go podczas badań nad naturą światła. To był mój obowiązek. Tylko ja mogłem zaradzić ewentualnej tragedii jeśli czarny scenariusz miałby się sprawdzić.

– Chyba za dużo tego dzisiaj dla mnie. I tak nie skupię się, myśląc o tych wiatrakach. Pójdę sobie – wykręciłem się od badań. Musiałem pokazać się Igorowi. Myślałem, że dobrze byłoby też odebrać bagaż z baru, o ile był otwarty. Minęły w końcu już dwa dni. Ktoś mógł zacząć się niepokoić. Zwłaszcza Igor mógł stwierdzić, że coś się stało i mógł zebrać jakąś grupę, żeby sprawdzić ten dom. Lepiej, żeby tego nie robił.

– Ja nie nalegałem. Pan chciał mi pomagać, więc proszę bardzo. Mam nadzieję, że nie idzie pan na policję. Zresztą i tak nic bym nie mógł na to poradzić – powiedział, z lekka żartując.

Pożegnaliśmy się pod domem. Pomyślałem przez chwilę, czy profesor odważyłby się mnie zabić, żeby zachować sekret. Chyba nie. Nie wiedział zresztą czy nie powiedziałem już komuś o tym. A jeżeli nie, to teraz miał ostatnią okazję. Dotarłem do Igora bez szwanku. Więc profesor nie skorzystał z okazji. Może zabrzmi to zabawnie, ale odetchnąłem wtedy z ulgą.

V

„Jeszcze lepiej”

Postanowiłem wykorzystać Dzień Niepodległości, aby przekonać społeczność, że nic mi nie jest. Musiałem się więc pokazać Igorowi i sprzedać mu jakąś historię i dać znak życia panu Mietkowi, a najlepiej odzyskać bagaże, bo od dwóch dni nie zmieniłem żadnej części swojej garderoby. Miałem nadzieję, że Igor będzie w domu, a nie na jakimś obiedzie u teściów, czy coś. Miałem szczęście. On sam otworzył mi drzwi.

– Już myślałem, że ktoś cię sprzątnął – powiedział pół żartem. – Nie, no, serio trochę się martwiłem. To było głupie tam iść – jeszcze raz wypowiedział swoje zdanie.

– Nie będę ci tego tłumaczył w drzwiach – powiedziałem aż nadto sugestywnie. I tak by mnie wpuścił, ale zrobił to szybciej, kiedy już uświadomiłem mu ten nietakt.

– Siadaj – pokazał mi krzesło przy stole. Widziałem, że siedziała już przy nim jego żona i jej rodzice, bo jego rodziców bym poznał. Dziecko bawiło się w kojcu.

– Dzień dobry! – powiedziałem do zebranych. Podnieśli głowy znad ciasta i przywitali mnie bez entuzjazmu.

– To moja żona, Lidka. Jej rodzice: Marian i Zofia – przedstawił siedzących.

– Jurek – rzuciłem. – Nowak, choć niewiele to mówi – zażartowałem. Wzbudziłem uśmiechy na ich twarzach.

– No usiądź. Weź sobie ciasto i opowiadaj – zachęciła mnie jego żona. Nie miałem ochoty na rozmowę z tymi ludźmi o niczym. Przyszedłem tylko uspokoić Igora, a chcieli mnie wkręcić w rodzinny deser. Mimo wszystko zająłem miejsce

i nałożyłem sobie kawałek jabłecznika.

– Jesteś nowym współpracownikiem Igora, prawda? – znów odezwała się Lidka. Zaczęło się więc. Rozmowa o pierdołach, które nikogo nie interesują i zostaną zapomniane jeszcze dzisiaj.

– To ja – przyznałem, nie rozwodząc się nad tym.

– Powinniśmy ci podziękować, że Igor wczoraj wcześniej wrócił – powiedziała z pięknym uśmiechem. Ucieszyłby mnie może, gdyby to nie była żona Igora. Ale w tej sytuacji chciałem tylko powiedzieć Igorowi coś o tym domu i sobie pójść. Wyglądało, że wykręciłem się od badań, na których mi zależało, dla tego banalnego popołudnia.

– To niewielka odpłata za załatwienie pracy – powiedziałem szczerze. Naprawienie samochodu na pewno nie wymagało pochwały, nie jeżeli było się magistrem fizyki.

– Co słychać u pana ojca? Podobno jest radnym w tej gminie. My co prawda nie jesteśmy stąd, ale słyszeliśmy, że był burmistrzem – do rozmowy włączył się teść Igora.

– Nie wiem, co u niego. Wiem, że żyje – powiedziałem bez najmniejszego uczucia.

Pan Marian nie miał nic więcej do powiedzenia.

– Jurek. Pomożesz mi przynieść coś z kuchni? – zapytał mnie kolega. Wstałem od razu i poszedłem za nim.

– Co Ty odpierdalasz? Nie musisz się tak zachowywać. W ogóle nie musiałeś tu przychodzić – powiedział ostro, gdy staliśmy w kuchni.

– Nie muszę. Nie miałem zamiaru z nimi rozmawiać. Przyszedłem do ciebie. Miałem ci coś powiedzieć i wyjść, ale posadziłeś mnie z nimi – odpowiedziałem również hardo.

– Wielką szkodę ci przez to uczyniłem – zakpił.

– Nie mam ochoty z nimi rozmawiać – odbiłem piłkę.

– Może ja też nie? Przyszedłeś do mnie do domu, to się

zachowuj albo nie przychodź – powiedział teraz stanowczo, pokazując drzwi.

– Dobra, zaraz się wyniosę. Powiem ci tylko, co miałem ci powiedzieć. Mieszkam sobie w tamtym domu. Widocznie ten ktoś uciekł albo nikogo tam nie było – powiedziałem kłamliwie bez mrugnięcia okiem.

– I tyle? – zapytał, chcąc wrócić do pokoju.

– Tyle. Żegnam – powiedziałem i od razu obróciłem się, by po paru sekundach opuścić mieszkanie. Miałem do siebie żal, bo mógłbym zachować się lepiej, ale niewiele mnie obchodziło, co będą o mnie mówić powinowaci Igora. Miałem ważniejszą sprawę na głowie. Zajrzałem do baru, ale był zamknięty. Z kartki wyczytałem, że otworzą go za jakieś dwie godziny. Pomyślałem, że przejdę się i tak właśnie zrobiłem. Nogi zaprowadziły mnie na plażę, do przejścia granicznego i znowu na plażę, gdzie zobaczyłem kogoś, kto sprawił mi kiedyś sporo bólu. To była Ala. Dziewczyna, z którą wiązałem spore nadzieje, kiedy wyjeżdżałem za granicę. Odwiedzała mnie co wakacje, aż sama zdała maturę i miała do mnie dołączyć na dłużej. Nie miałem ochoty z nią rozmawiać, ale mnie zaczepiła.

– Cześć. Co u ciebie słychać? – zapytała naprawdę zwyczajnie.

– Nic ciekawego – nie była to prawda, ale nie miałem zamiaru jej wyjawiać, co się właśnie dzieje wokół mnie.

– Aha. Słyszałam, że wróciłeś, ale nie znalazłam cię w domu – powiedziała ze spokojem i jakimś wymuszonym uśmiechem.

– I nie znajdziesz mnie tam – powiedziałem szorstko i miałem zamiar ją minąć.

– Poczekaj chwilę. Dlaczego nie chcesz ze mną porozmawiać? – zapytała smutno.

– Z nikim nie chcę rozmawiać, ale z tobą szczególnie. Stwierdziłaś, że nam się nie uda i wróciłaś tutaj. Po co mam cię

teraz słuchać – ruszyłem i zostawiłem ją za sobą.

– Zatrzymaj się! Nie zostawiłam cię, bo chodziło o ciebie – próbowała mnie przekonać do dalszej rozmowy, ale to wyglądało żałośnie. Nie wiem, co miała zamiar osiągnąć.

– Tak, tak. Chodziło o ciebie. Co za różnica – zadrwiłem i szedłem dalej.

– O mnie też nie – powiedziała stanowczo. Czyżby miała zamiar wyskoczyć z jakąś historyjką, że musiała wrócić z powodu jakiejś tragedii i wolała mi o tym nie wspominać. Nie graliśmy w telenoweli, ale dałem jej szansę. Wróciłem się.

– O co ci w takim razie chodziło? – spytałem obojętnie.

– Nie zrozumiesz. Nikt nie rozumie. Wyśmiejesz mnie jak to powiem – zaczęła się wahać.

– Nie chce mi się czekać. Powiedz to od razu, to nie będę się śmiał – zachęciłem ją westchnieniem zniecierpliwienia.

– Chodziło o tamto miasto. Nie chciałam tam utknąć. Ono nie żyło tak jak inne. To było niczyje miasto. To brzmi strasznie głupio, ale nie wytrzymałabym tam dłużej. Wakacje? Ok, ale nie lata – powiedziała, czekając na moją reakcję. Nie spodziewała się niczego poza drwiną lub moim odejściem.

Objąłem ją jednak i pocałowałem.

– Kocham cię, dziewczyno. I widocznie jesteś mądrzejsza ode mnie – zdobyłem się na uśmiech. Zupełnie oszołomiona ściskała mnie, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Nie rozumiem. Co się zmieniło? – zapytała, dalej zaskoczona.

– Jednak jesteś dla mnie stworzona – powiedziałem, odgarniając jej włosy za ucho. – Ja też nienawidzę tamtego miasta. Tylko, że dopóki studiowałem, nie przeszkadzało mi to. Wtedy bym cię nie zrozumiał. Dobrze, że powiedziałaś mi to dzisiaj – dodałem, patrząc już ze szczerym uśmiechem prosto

w jej oczy.

– To co dalej? – spytała poważnie.

– A jakie są opcje? – zapytałem wesoło. – Po prostu do siebie wracamy i tyle, jak myślę – wzruszyłem ramionami.

– No. Tak będzie dobrze – przyznała.

– No i git – potwierdziłem nonszalancko. Ruszyliśmy po plaży, trzymając się za ręce. Nie odzywaliśmy się dobre piętnaście minut, aż w końcu zaczęła okazywać swoją ciekawość.

– Ale dlaczego nie znajdę cię w domu?

– Bo się wyniosłem. Nie bardzo chciałem z nim mieszkać, a potem jeszcze się okazało, że wynajął mój pokój i dowiedziałem się przypadkiem w sklepie. Myślisz, że to wystarczający powód? – wyjaśniłem niedokładnie.

– Chyba tak, jeżeli masz się gdzie podziać – przyznała. – Masz? – upewniała się.

– Mam. Ale nie powiem ci gdzie. Musisz z tym żyć, bo nie mam zamiaru nikomu mówić – powiedziałem z całą stanowczością na jaką było mnie stać.

– To chyba nie wiąże się z niczym nielegalnym, co? – widocznie zbyt tajemniczo to zabrzmiało, bo zaczęła martwić się o mnie na poważnie.

– Nie. Nie żartuj sobie tak – chociaż w sensie prawnym skłamałem. Może nawet pomagałem w czymś bardziej nielegalnym niż mi się zdawało. To jednak było czystą spekulacją. Nachodziło mnie to jednak odkąd rozstałem się z profesorem.

– Chyba nie mieszkasz z jakąś kobietą? Jak tak, to lepiej mnie od razu zostaw. Nie pogrywaj tak sobie ze mną – powiedziała, patrząc z ukosa na moją twarz.

– Teraz to już przesadziłaś. Prędzej bym się ukrywał

z gangiem przemytników niż robił takie numery – pokręciłem głową i zostałem uderzony pięścią w ramię, po czym oboje się zaśmialiśmy.

– I to rozumiem – powiedziała przez śmiech. – Tylko trochę się zmieniło – zapowiedziała.

– Nie ważne. Wiadomo, że się pozmieniało – machnąłem ręką.

– Może nie trochę – podrapała się po głowie. – Pójdziesz ze mną do kościoła w niedzielę? – zapytała krzywiąc się z lekka i patrząc na mnie z dołu.

– Nie. Niby po co? – zapytałem się zdziwiony.

– Tak tylko pytam, bo jakiś czas temu znowu zaczęłam chodzić i już jestem po bierzmowaniu – wyznała.

– Ale przecież wiesz, że ja w to nie wierzę. Nie będę chodził dla towarzystwa – poważnie wyjaśniłem.

– W porządku – powiedziała z udawanym uśmiechem. Czy przeszkadzało jej to, że wciąż jestem niewierzący? Może chodziło tylko o to, że liczyła na kościelny ślub z całą tą oprawą. W końcu to normalne u kobiet.

– To fajnie – urwałem temat.

– Miałeś kogoś w międzyczasie? – sama zaczęła nowy.

– Właściwie to tak. To była jakaś pomyłka. Długa i kosztowała mnie pracę, ale pomyłka – znowu machnąłem ręką w trakcie mówienia.

– Pracę? – zapytała, robiąc wesołą zdziwioną minę.

– Tak pośrednio. Pracowałem na uniwersytecie, a że ona jeszcze studiowała, to ktoś zazdrosny doniósł i mnie wyrzucili. Donosiciel dostał jeszcze ode mnie po mordzie – opowiedziałem o tych wydarzeniach.

– I co? Miałeś przez to jakieś problemy? – zmartwiła się.

– Nie. Policjanci są tam całkiem mili – zażartowałem.

– Ale już po wszystkim? – chciała się upewnić, że nie ma się

o co martwić.

– Nie wiem. Może dostanę jakieś wezwanie do sądu, ale nie posadzą mnie przecież – uśmiechnąłem się i ścisnąłem ją mocniej.

– Już lepiej nic nie mów – uśmiechnęła się i wałęsaliśmy się już bez słowa. Aż w końcu zaszliśmy do baru.

Zaszedłem do środka razem z Alą i od razu poszedłem do pana Mietka.

– Przepraszam, że to tyle trwało. Chciałem już zabrać bagaż – powiedziałem bez owijania w bawełnę.

– Jak to zabrać bagaż? – pan Mietek zdziwił się. Nie wyglądało na to, że udawał.

– No, przecież przedwczoraj zostawiłem tutaj walizkę i plecak – próbowałem zachować uśmiechniętą twarz, ale nie było mi do śmiechu, czy żartował czy też nie. Gdyby to nie był pan Mietek, to już bym go zwymyślał.

– Wiem, Jurek. Tylko, że ja już go nie mam. I dziwię się, że o tym nie wiesz – rzekł, wciąż zaskoczony. Nie uspokoił mnie jednak w żaden sposób.

– Niech pan mówi jaśniej, bo nie jestem dzisiaj w dobrym humorze – uniosłem się trochę.

– Twój ojciec je wczoraj zabrał. Myślałem, że go przysłałeś – barman zaczął się tłumaczyć.

– Wiedział, że go tu zostawiłem? – upewniałem się.

– Wiedział. Myślałem, że źle się czujesz po piciu i dałem mu te toboły. Przecież to twój ojciec. Dlaczego nic o tym nie wiesz? – jego ton dalej był bardziej zdziwiony niż przepraszający.

– Nieważne. Dziękuję – zdobyłem się na uprzejmość, bo pan Mietek zawsze był naprawdę w porządku i czułbym się fatalnie, gdybym mu nawrzucał.

– Panie Pawlicki! – krzyknąłem, a pijaczek od razu się

pojawił. Widziałem, że jest na miejscu, ale pojawił się nadzwyczaj szybko.

– Słucham, panie kierowniku – powiedział usłużnie.

– Spotkał pan wczoraj mojego ojca? – zapytałem otwarcie.

– No tak. Był tutaj na obiedzie, jak zwykle – powiedział zwyczajnie Pawlicki.

– Rozmawiał pan z nim? – ciągnąłem go za język.

– Rzeczywiście. Był ciekaw, czy pan tu był, kierowniku. To mu powiedziałem, że nawet w moim towarzystwie – przytaknął.

– I o bagażach też mu pan powiedział? – moja twarz musiała wyrażać zdenerwowanie, kiedy kręciłem głową.

– Rzeczywiście. Jakoś tak wyszło. Od słowa do słowa – przyznał pijaczek ze skruchą widząc moją minę.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziałem z ironią.

– O co panu chodzi, kierowniku? Co się niby stało? – zapytał się zaskoczony widocznie atakiem z mojej strony.

Nie miałem zamiaru już ciągnąć tej rozmowy, więc wyszliśmy.

– Trzeba się wybrać do twojego ojca – stwierdziła beznamiętnie Ala.

– Trzeba – potwierdziłem gniewnie.

– Spokojnie. Przecież ci go odda – powiedziała uspokajająco.

– Nie w tym rzecz. Nie dość, że nie powinien go brać, to on nawet nie miał po co. Chce mnie zdenerwować, czy co? Na cholerę mu ten bagaż – mówiłem wściekle.

– Po prostu do niego chodźmy. Może chciał ci dać pretekst do przyjścia. Nie wiedział jak cię znaleźć, a chciał porozmawiać – podsunęła. Miało to sens, ale nie miałem pojęcia, czy miała rację.

Musieliśmy puścić się pieszo przez kilka kilometrów. Nie miałem ochoty rozmawiać. Cieszyłem się z tego, że znowu z nią byłem, ale nie było tak, że dzięki temu świat stawał się różowy

albo nagle nie mogłem myśleć o niczym innym. Ciężko to przyznać, ale do tego co mogłem wreszcie osiągnąć dzięki badaniom Porazińskiego Ala była, doskonałym, ale tylko dodatkiem.

– Wejść z Tobą? – zapytała pod domem mojego ojca.

– Jeżeli nie chcesz zmarznąć – odparłem wesoło, nie uważałem, że powinna być przy rozmowie.

– Zostanę – zdecydowała. Chyba zrozumiała, że chcę sam załatwić tę sprawę. Wszedłem więc bez towarzystwa.

Spotkałem jakiegoś obcego mężczyznę, który wyglądał, jakby miał zaraz wyjść.

– No świetnie, widzę już od progu obcych ludzi – skomentowałem sytuację.

– Przepraszam, nie rozumiem. O co panu chodzi? – spytał urażony mężczyzna.

– Niech pan zawoła właściciela domu i nie podsłuchuje jak będę z nim rozmawiał – poleciłem ostro.

Gość był zmieszany i przyprowadził mojego ojca, po czym natychmiast wyszedł z domu.

– Co jest, Jurek? Straszysz gości – powiedział ojciec na wstępie.

– Nie denerwuj mnie bardziej. Oddaj mi plecak i walizkę. Nie prosiłem cię, żebyś je zabierał – powiedziałem stanowczo, nie bacząc, że gość dopiero wychodzi.

– Pewnie, że ci je oddam, ale może nie będziesz się wygłupiał i wrócisz? Po co się zgrywasz? – ojciec mówił z pełnym spokojem.

– Po prostu mi je oddaj. Nie miałeś zamiaru mnie uprzedzić o wynajęciu mojego pokoju, a zabierasz do siebie moje rzeczy. Nie mów mi, że ja się zgrywam – nie unosiłem się zbytnio z uwagi na Alę za drzwiami, ale byłem chyba cały czerwony.

– Dobra. Zawsze możesz tu wrócić, Jurek. Nie myśl, że mi na tobie nie zależy – poddał się i wystosował jeszcze apel, którego się po nim nie spodziewałem.

– Nie myślę tak, ale nie wytrzymam z tobą w jednym domu. Gdzie są rzeczy? – uspokoiłem się.

– U ciebie. Pomogę Ci znieść walizkę – zaproponował.

– No dobra – przystałem na to z oporami.

– Wpadaj jak chcesz. Nie potrzebujesz pieniędzy? – powiedział, gdy miałem wyjść.

– Nie potrzebuję. Na razie, tato – trochę było mi smutno, ale odszedłem. Mój ojciec był niezłym politykiem. Wszedłem wściekły, a wychodząc, szkoda mi było go opuszczać.

– Załatwione? – spytała Ala na zewnątrz zadowolonym tonem.

– Tak. Oczywiście – potwierdziłem i oddaliliśmy się. Czułem się trochę jak jakiś idiota. Zostawiałem ojca, a szedłem do profesora, któremu nie do końca ufałem.

Ciągnąłem się z walizką i dziewczyną u boku, która wyglądała na szczęśliwą. Dlaczego ja taki nie mogłem być? Niedługo zdradzę. Tymczasem jednak Ala powiedziała stanowczo:

– Rozumiem, że nie chcesz mi powiedzieć, gdzie mieszkasz, ale nie mam zamiaru cię dzisiaj opuścić. Tak długo cię nie widziałam, że mam zamiar spędzić z Tobą całą noc.

Prawdę mówiąc też chciałem, ale nie miałem zamiaru jej zapraszać do kryjówki profesora. Wiedziałaby gdzie to jest i zaczęłaby się zastanawiać.

– Przecież mieszkasz z rodzicami – udawałem, że nie wiem, że chciała przyjść do mnie.

– To zostaje twoje miejsce – stwierdziła.

– Nie ma mowy. Odprowadzę cię do domu i wracam – powiedziałem zdecydowanie.

– Jak będę chciała, to i tak za Tobą pójdę. Z tą walizką nie

uciekniesz – wysunęła argument. To przekonało mnie, że nie mam wyjścia.

– Dobra. W takim razie: Może pójdziemy do mnie? – zażartowałem jakby to była moja propozycja.

– Niech będzie – zaśmiała się.

To był niezwykły traf, że akurat w tę samą stronę jechał pan Czesław.

– Nie umiem tego wytłumaczyć, że znowu cię tu widzę z tą samą walizką – zaśmiał się bibliotekarz.

– Gdyby pan umiał, musiałby się pan leczyć – odparłem żartem.

– Wskakujcie – polecił wręcz, a nie zaproponował. I tak się stało.

– Dzisiaj znowu do baru? – zapytał z uśmiechem jak zwykle patrząc się na drogę.

– Nie. Wysadzi nas pan na krzyżówce – wyjawiłem cel podróży.

– Na krzyżówce? To sobie nie pogadamy – zauważył. I miał słuszność. Jazda trwała może ze dwie minuty.

Nie powiedział już nic aż wysiedliśmy.

– Do zobaczenia – powiedział, a odjeżdżając, pomachał.

My zaś poszliśmy w las. Ala nie zadawała pytań, chociaż bardzo się dziwiła, w którą stronę zmierzamy. Z walizką dojście tam zajęło ponad dwadzieścia minut.

– Ładnie tu – stwierdziła w progu. – Zrobię nastrój – dodała i włączyła z telefonu najbardziej znany utwór napisany przez Gainsbourga. To mogło się skończyć tylko w jeden sposób i tak właśnie się skończyło. Miałem nadzieję, że profesor nie zmienił swoich zwyczajów i nie wejdzie na górę w nieodpowiednim momencie, a takim był każdy moment, kiedy Ala nie spała. Na szczęście nie widzieli się i nie musiałem się tłumaczyć żadnej

z dwóch osób.

Rano wstałem pierwszy i obserwowałem ją jak śpi. W takich momentach ludzie są przeszczęśliwi. Ja byłem zadowolony. Dalej myślałem tylko o jednym, o tym, co sprawiało, że nie byłem szczęśliwy nawet wtedy. O tym co nazywałem swoim marzeniem lub obsesją, a co mogło się spełnić dzięki Porazińskiemu.

VI

„Marzenie, obsesja i eksperyment”

Ala wyszła dopiero po jedenastej. Nie mogłem jej wyganiać, bo jeszcze zaczęłaby coś podejrzewać. I tak miała mnóstwo pytań co do domu.

– Jak znalazłeś taki ładny dom? – było pierwszym z nich.

– Mówiłem, że nic ci nie powiem. I tak wymusiłaś, żebym pozwolił ci tu przyjść. Powinnaś się z tego cieszyć, a nie dalej szukać informacji – trochę żartobliwie marudziłem.

– Ale mógłbyś mi powiedzieć. Chyba nie musisz tego ukrywać? – naciskała w dalszym ciągu. – To jest nieprawdopodobne znaleźć taki dom i sobie w nim samemu mieszkać bez niczyjej wiedzy – stwierdziła.

– Powiem ci, ale masz skończyć z pytaniami – pogroziłem palcem, ale jednocześnie się uśmiechałem.

– No dobra. Gadaj – klasnęła w dłonie.

– Trafiłem tu przypadkiem. Chyba ktoś tu się wcześniej ukrywał, ale jak zobaczył, że tu przyszedłem po pijaku, to się wyniósł. Teraz ja tu sobie urzęduję – oszukałem ją tak samo, jak Igora. Nie mogłem narażać profesora bez potrzeby. Nie byłem też pewien, czy powiedzenie prawdy nie spotka się z pobłażliwym kiwaniem głową i mrugnięciem w stylu popularnej serialowej postaci.

– Aha. Pewnie tak było – kłamstwo spotkało się z taką reakcją jak wyżej. – A naprawdę?

– A w co uwierzysz? – zażartowałem. – Dziwisz się temu, że siedzę w wygodnym, ciepłym domu, a spodziewasz się zwyczajnego wytłumaczenia – z kolei ja pokiwałem pobłażliwie

głową.

– To żaden wstyd, że ktoś cię przygarnął – widocznie miała własną wersję.

– Nie chcę o tym mówić – zagrałem obrażenie, chcąc ją przekonać, że ma rację.

– Rozumiem – powiedziała wyrozumiale.

– Będziesz musiała się zbierać, bo nie za bardzo mogę przyprowadzać gości. A niedługo właściciel wraca – wymyśliłem historyjkę, którą właściwie pośrednio mi podsunęła. Minęło jednak prawie pół godziny zanim wyszła i mogłem dołączyć do profesora w laboratorium. Tym razem nie musiałem wychodzić na zewnątrz i blokować klimatyzacji. Profesor Poraziński pod moją nieobecność zainstalował przycisk, który podłączony był do dzwonka na dole. Niestety ukrył go swoim zwyczajem i tylko dzięki ciekawości wcisnąłem go, domyślając się, do czego może służyć nowy element pokoju. Minęło może pół minuty i miałem już otwarte wejście do laboratorium. Spojrzałem na ten sprzęt, który profesor zgromadził w jednym miejscu i pomyślałem sobie, że jestem gotów zacząć pracę nad tym, co tak bardzo mnie intrygowało. Zapytałem więc profesora wprost, co mógłbym zrobić.

– Na początek przejrzyj moje gryzmoły. Mogłem zrobić jakiś głupi błąd. Sam szukam takich rzeczy godzinami i dopiero jak coś nie wyjdzie – rzucił mi notes zapisany wzorami i wyprowadzeniami. Czytałem go początkowo uważnie, ale bez ekscytacji, co uległo zmianie po prawie dwóch minutach.

– Jest pan tego pewien? To zaprzecza… – pokazałem mu miejsce, w którym rękopis wprawił mnie w zdumienie.

– To prawda. Nie jestem tego jeszcze pewien, ale się niedługo okaże, czy to prawda. To był jeden z powodów, dla których opuściłem zespół badaczy i zabrałem część – przerwał mi

mówiąc stanowczo. – Podobno jest pan moim fanem. Czy to znaczy, że czytał pan moje książki? Te popularne, mam na myśli – zszedł trochę na inny temat.

– Tak. Kilka – potwierdziłem, zastanawiając się czy jego pytanie ma jakiś głębszy sens niż zdobycie odpowiedzi.

– „Światło i czas" też? – ciągnął serię pytań.

– To najważniejsza – przyznałem z jakimś uśmiechem.

– I myśli pan, że to jest możliwe, co tam napisałem? – wyglądało jakby badał moje oddanie, czy coś. Dziwnie się czułem w tej sytuacji.

– Tak myślę. Mam nadzieję – odparłem zgodnie z prawdą.

– Przed sobą ma pan nieudowodnioną tezę, która może doprowadzić do urzeczywistnienia opisanych tam możliwości – wyjaśnił związek poprzednich pytań ze swoimi zapiskami.

– Rozumiem. Jeżeli to się potwierdzi, to będzie to znaczyło, że jest duże prawdopodobieństwo na to, że… – entuzjastycznie mówiłem.

– Istnieją cząstki podróżujące z prędkością szybszą niż światło – dokończył spokojnie naukowiec.

– A jeżeli tak, to może dałoby się tak nimi otoczyć jakiś wehikuł, żeby podróżował razem z nimi. To znaczy, że można by wyprzedzić czas, a skoro tak to też się… cofnąć – ta niesamowita wizja wydała się w jednej chwili czymś tak naturalnym, jak oddychanie.

– Jeżeli to się potwierdzi, możemy stworzyć maszynę do podróżowania w czasie – przyznał, trochę wyśmiewając pomysł, chociaż możliwość była prawdziwa.

– To byłoby coś wielkiego! Spełnienie wielkich marzeń. Tryumf ludzkiego umysłu – dziwiłem się jego tonowi i przekonywałem o wielkości możliwego wydarzenia, ale to nie było wszystko, co mnie w tym cieszyło.

Muszę przerwać przytaczanie tej rozmowy, gdyż wydaje mi się najbardziej sensowne ujawnić swoją tajemnicę właśnie w tym miejscu. Wcześniej napomykałem o obsesji, która nie dawała mi spokoju i o tym, jak wpływa na moją psychikę i życie. Nie wyjawiłem jednak najważniejszego, czyli, co właściwie nią jest. Może to się wydać zabawne, ale moją głowę zaprząta głównie myśl o… budowie wehikułu czasu. Może nie jest to aż takie wielce zaskakujące, patrząc na miejsce, w którym o tym wspominam. Pewnie można się zastanawiać, dlaczego takie coś może mnie na tyle absorbować, że nie potrafię na pierwszym miejscu postawić kobiety czy kariery. Gdyby była to zwykła chęć budowy tej maszyny, zrozumiałbym takie niezrozumienie. Ja miałem jednak cel, do którego osiągnięcia wehikuł czasu byłby narzędziem. Mianowicie, chciałbym się cofnąć w czasie. Wiem, że to niczego nie wyjaśnia. Wywołuje tylko domysły: po co? Czy żeby zapobiec jakimś wielkim tragediom, rozwiązać tajemnice, które otaczają niektóre sprawy wagi światowej, spotkać wielką postać innej epoki, żyć w innych czasach? Nie byłyby to jednak domysły trafione. Cofanie się w czasie byłoby jednorazowe i z pobudek osobistych. Chciałbym po prostu cofnąć się w czasie i uratować moją matkę.

Nie sposób było się tego domyślić, chociaż napomknąłem w którymś miejscu o tym, że ojciec sam mnie wychowywał. Opowiem więc o tym, co pamiętam, o tym, co mi opowiedziano, bo miałem wtedy niecałe trzy lata. Z obrazów, które zostały mi w pamięci po tej tragicznej nocy, mogę tylko przypomnieć sobie blond taksówkarza i deszcz. Padało bowiem wtedy strasznie. Mama, jak się później dowiedziałem, wyszła spotkać się z kimś. Była kuratorem sądowym i miała zobaczyć się ze swoim podopiecznym, ale w drodze ktoś na nią napadł i dźgnął nożem. Nie zgłębiałem się nigdy w okoliczności jej śmierci zbyt

głęboko. Wiedziałem tylko tyle, że nigdy nie doszło do schwytania sprawcy. Głównym podejrzanym był człowiek, z którym miała się spotkać, ale miał mocne alibi i niczego mu nie udowodniono. Czy to był on? Nie miałem zielonego pojęcia. Nie próbowałem tego wyjaśnić na własną rękę. Wiedziałem, że szanse na odkrycie prawdy są naprawdę nikłe. Nie wiem jednak, dlaczego nigdy nie pogodziłem się ze śmiercią matki. Nie potrafiłem po prostu przyjąć do wiadomości, że umarła i już nigdy więcej miałem jej nie zobaczyć. Odkąd zobaczyłem „Powrót do przyszłości" uznawałem, że jedyny sposób na odzyskanie matki to cofnięcie się w czasie i zapobiegnięcie morderstwu. Nie podzieliłem się z nikim moim życiowym celem. Próbowałem osiągnąć jak najlepsze wykształcenie w fizyce, żeby mieć wiedzę potrzebną do stworzenia wehikułu czasu. Czytałem dużo, odkąd zacząłem uczyć się fizyki w szkole i powoli traciłem nadzieję na sukces, poznając naukowe prawa i teorie. Cel zaczął się wydawać czymś nieosiągalnym, bajką dla naiwnych. I właśnie wtedy, kiedy byłem na granicy załamania z powodu zwątpienia w sens swoich przyszłych i współczesnych działań, trafiłem na książki profesora Porazińskiego. Początkowo zwyczajnie uświadomiły mi, że fizyka może być interesująca i uczenie się jej nie jest bezcelowe nawet, jeżeli nie da się stworzyć maszyny do podróżowania w czasie. Zacząłem się interesować optyką i na jakiś czas oderwałem się od myśli o budowie wehikułu. Niestety, mój powrót do normalności zaburzyła książka tego samego człowieka, którego dzieła ten powrót rozpoczęły. „Światło i czas" profesora Porazińskiego, o której wspomniał w rozmowie ze mną, wszystko zmieniła. To tezy postawione w tej książce na nowo sprawiły, że uwierzyłem w przyszły sukces, a moje życie podporządkowało się tej jedynej obsesji, która popchnęła mnie do studiów za granicą

i rozbudowała obojętność na inne sprawy, które zwykłemu człowiekowi jawią się jako najważniejsze. Może te wyjaśnienia sprawią, że zrozumiecie, dlaczego Jurek Nowak to taki dziwak.

– Zawsze uważałem, że takie coś przyniesie więcej szkody niż pożytku. Bo pomyśl tylko: człowiek, który dysponuje wehikułem czasu mógłby cofać się i naprawiać swoje błędy oraz cudze. To on mógłby kształtować historię. Mógłby kupować w przyszłości prace naukowe i wydawać je wcześniej pod swoim nazwiskiem. Pytanie brzmi: czy umiałby zachować umiar w użytkowaniu maszyny? Skoro mógłby wszystko zmieniać, to mógłby robić cokolwiek bez konsekwencji. Zresztą nigdy nie można przewidzieć skutków swoich interwencji. Błahe zdarzenie może pociągnąć za sobą niewyobrażalną lawinę innych, być może brzemiennych w skutkach, wydarzeń. Nie wiem, czy chciałbym go stworzyć – profesor odpowiedział spokojnie i poważnie na moje entuzjastyczne hasła, które wygłosiłem kilka sekund wcześniej.

– Nie patrzyłem tak na to – przyznałem. – Myślę jednak, że powinniśmy to zrobić, jeżeli będziemy wiedzieli jak. Nawet, jeśli jest pan temu przeciwny – przedstawiłem swój punkt widzenia.

– Dlaczego? Nie przekonuje pana moja argumentacja? – był zaskoczony, ale nie poruszyły go moje słowa.

– Powinniśmy to zrobić, żeby upewnić się, że to możliwe. Jesteśmy naukowcami, to nasze zadanie – powiedziałem dumnie i z przekonaniem.

– Być może. Na pewno nie należałoby tego rozgłaszać. Ale to na razie i tak tylko możliwość. Najpierw sprawdźmy, czy to w ogóle możliwe – uciął dyskusję i powróciliśmy do pracy. Przejrzałem dokładnie jego notatki i wskazałem czeskie błędy, które tam znalazłem.

– I właśnie o takie coś mi chodziło – pochwalił mnie Poraziński.

Następnie kazał mi przeprowadzić testowe uruchomienie urządzenia, które było kluczowe dla eksperymentu, który planowaliśmy. Przyjrzałem się maszynie dokładnie i przestudiowałem najpierw jej budowę. Nie należało się spieszyć. Dopiero gdy byłem pewien, że wiem jak działa, uruchomiłem ją. Wszystko wskazywało na to, że eksperyment może zostać przeprowadzony. Poinformowałem o wszystkim profesora:

– Sprzęt jest gotowy. Nie znalazłem żadnych usterek – zgłosiłem.

– Bardzo dobrze – Poraziński kiwnął głową. – Nie ma co się ociągać. Zaraz wszystko stanie się jasne – wcisnął jakiś guzik i do pomieszczenia zaczęło wpadać światło słoneczne. Zupełnie jakby część ściany nagle zniknęła. I tak właśnie było. Kawałek ściany rozsunął się i dzięki temu mieliśmy naturalne światło. Mimo zamknięcia profesor wiedział, która mogła być godzina i wysunął odpowiednią część odpowiedniej ściany. Następnie ustawił odpowiednio lusterka i skierował strumień światła na czujnik urządzenia.

– Dlaczego jeszcze nie ma pan na sobie ochronnych okularów? – zapytał, karcąc jednocześnie. Szybko naprawiłem błąd, który mi wytknięto i obserwowałem doświadczenie. Jednak nie rozumiałem do końca co się działo. Światło zaczęło się dziwnie rozpadać. Przyjrzałem się profesorowi, który w napięciu przyglądał się z kolei eksperymentowi. Po chwili klasnął w ręce.

– Miałem rację! – krzyknął z radości – Wiedziałem! – cieszył się wciąż. Zrozumiałem wtedy, że moje marzenie da się spełnić. Nie miałem pojęcia ile to jeszcze potrwa, ale zrobiliśmy (właściwie profesor zrobił) krok w stronę urzeczywistnienia

marzenia o podróżach w czasie.

– Doświadczenie wykazało, że można przekroczyć prędkość światła, prawda? – upewniałem się, patrząc na naukowca całego w skowronkach.

– Właśnie tak – potwierdził i zamknął otwór w ścianie. Kiwnął mi głową i wyłączyłem sprzęt.

– Muszę zanotować obserwacje i wnioski – oświadczył, ściągając ochronne okulary i zastępując je korekcyjnymi.

Wiedziałem, że to musiało nastąpić i zająłem się porządkowaniem. Odłożyłem na miejsce okulary i fartuchy. Zajęło mi to kilkadziesiąt sekund i jak łatwo można się domyślić, profesor nie skończył w tym czasie sporządzania dokumentacji doświadczenia. Czekałem w ciszy, co rusz spoglądając w jego stronę, licząc na to, że właśnie w tym momencie skończy pisać i podniesie wzrok znad kartki. Łudziłem się tak przez prawie pół godziny. Profesor bowiem był bardzo skrupulatny w opisie doświadczenia. Najciekawsze wydało mi się jednak, że ten człowiek tak zachwycony wynikiem doświadczenia, zwyczajnie usiadł i bez żadnych emocji tworzył opis udanego eksperymentu. Potrafił niezwykle szybko przechodzić do porządku dziennego nad sukcesem, którym, gdyby był mój, cieszyłbym się jak dziecko przez kilka godzin, a przez następne przypominał sobie o tym i wzdychał radośnie. Z drugiej jednak strony, sukces w każdym innym doświadczeniu potraktowałbym jedynie uśmiechem satysfakcji. W końcu widząc, że uczony skończył pisać, zapytałem go:

– Co dalej? Ma pan pomysł jak sprawdzić, jakie cząsteczki mogą podróżować szybciej od światła? – zapytałem, bo sam nie miałem zielonego pojęcia.

– Mam pewien pomysł. Są cząsteczki, których właściwości wskazują, że najpewniej ich szukamy. Niestety takie cząsteczki

to niezwykła rzadkość – zaskoczyło mnie, że profesor miał już kandydata na podróżującego w nadświetlnej.

– Już pan wie? Dopiero co pan dowiódł, że coś takiego może istnieć! – wyraziłem swoje zdumienie.

– Myślałem nad tym już od dawna. Odkąd się dowiedziałem, że będę prowadził doświadczenia nad naturą światła – wyjaśnił swoją wiedzę.

– Aha. – wydusiłem z siebie. – Może jeszcze pan powie, że wie jak zdobyć cząsteczki, o których pan przed chwilą wspomniał – zażartowałem sobie.

– Prawdę mówiąc, tak – potwierdził coś z czego sobie przed sekundą żartowałem jak z czegoś niebywałego.

– Naprawdę? – nie wierzyłem, że z kolei on ze mnie nie żartował.

– Naprawdę – kiwnął głową i uśmiechnął się, widząc mój upór.

– Ale jak? Przecież dopiero co pan powiedział, że to niezwykła rzadkość – zauważyłem, nie dopuszczając do wiadomości tego, do czego próbował mnie przekonać.

– To prawda, ale można je wyodrębnić z czegoś bardziej skomplikowanego, co już samo nie jest czymś niezwykle rzadkim – wyjaśnił.

– I potrafi pan to zrobić? – zacząłem dopuszczać możliwość uzyskania tych tajemniczych cząsteczek, ale wydało mi się wątpliwe, że dokonamy tego z profesorem.

– Nie jestem w końcu zupełnym ignorantem w dziedzinie chemii. Zresztą odkąd zainteresowały mnie te cząsteczki, trochę się doszkoliłem. Doszedłem do tego jakich trzeba użyć odczynników i jak zbudować urządzenie do przeprowadzenia reakcji. Trzeba to tylko wykonać. I zajmę się tym dzisiejszej nocy – powiedział z zupełną pewnością siebie. Widziałem, że to

dla niego zupełny standard. Nie widział nic niezwykłego, chociaż robił coś takiego. Wypływał na niezbadane wody, a zachowywał się, jakby siedział w swoim basenie.

– Pomogę panu – oświadczyłem z ochotą.

– Nie – odrzucił ofertę.

– Tak będzie szybciej. Zrobię, co pan każe. Będę tylko mechanikiem. Nie będę się wtrącał w ideę konstrukcji – byłem gotów tylko podawać narzędzia, ale chciałem być tego częścią. To było coś, co prowadziło do stworzenia wehikułu czasu. Nie umiałem stać z boku.

– Sam się tym zajmę. Pan zrobi coś innego – powiedział dość tajemniczo.

– Co pan ma na myśli? Mam iść po zakupy? – zażartowałem, ale bałem się, że tak właśnie mogło być.

Naukowiec zaśmiał się z mojego pytania.

– Nie w tym rzecz – uspokoił mnie. – Spotkałem się już kiedyś z tymi cząsteczkami. Wiem, jaka jest ich masa molowa, budowa i inne szczegóły. A skoro to już wiem, możemy zacząć wyliczenia, ile będziemy potrzebować takich cząsteczek, żeby przenieść w czasie konkretną masę. Chcę, żeby pan zajął się takimi wyliczeniami – przedstawił mi moje zadanie.

– Rozumiem. Mogę policzyć – stwierdziłem z zadowoleniem, że zrobię coś związanego z wehikułem.

– To nie wszystko – zatrzymał mnie, kiedy już chciałem go poprosić o dane na temat cząsteczek podróżujących szybciej od światła. – Taka podróż musi się odbyć w czymś bezpiecznym. Należy wykorzystać odporny materiał, żeby nie zginąć przez zmianę temperatur i inne możliwe czynniki. Oczywiście trzeba to wykonać z jak najlżejszego materiału. I trzeba zbudować mechanizm, który będzie uwalniał właściwą ilość cząsteczek do skoczenia w odpowiedni czas. Nie musi pan budować tych

rzeczy. Proszę tylko znaleźć odpowiednie materiały i sporządzić projekt. Moi ludzie to skonstruują – to wydało mi się logiczne, ale dobrze, że profesor o tym wspomniał. Sam nie pomyślałbym o tym.

– To wszystko? – zapytałem dla pewności.

– Wszystko – potwierdził profesor. – Zaraz dostarczę panu dane o cząsteczkach – po czym usiadł do komputera i wydrukował kartkę pełną liczb i liter.

– Zabieram się do pracy – oznajmiłem.

– Proszę się pospieszyć. Jak już się czymś zajmuję, to jestem w gorącej wodzie kąpany – powiedział wesoło.

– Mam jakiś konkretny termin? – zapytałem trochę żartobliwie.

– Ma pan dwanaście godzin. Nie lubię długo czekać na inne elementy, kiedy sam już coś zrobię – zawiadomił mnie zupełnie poważnie. – Zostawię tu pana. Idę spać – oświadczył i wszedł na górę.

Było jeszcze przedpołudnie. Profesor nie widział różnicy między nocą i dniem. Zabrałem się z miejsca do pracy. Ale znowu się zaniepokoiłem. Jego ludzie mieli wykonać mój projekt. Zaufał mi zupełnie, jeżeli chodzi o naukę, ale ci gotowi do pomocy ludzie nie dawali mi spokoju. Dlaczego tak łatwo mógł zyskiwać ich usługi? Może po prostu im płacił. Nie był biedny. Właściwie, był jednym z najbogatszych fizyków dzięki swoim książkom. Dlaczego po głowie chodziła mi myśl, że służą jakiejś idei, która niekoniecznie była dobra dla świata? Słowa profesora na temat szkodliwości wehikułu powinny mnie przekonać, że nie jest szaleńcem o wielkich zamiarach wobec Ziemi. Z drugiej jednak strony, był bardzo gorliwy w swojej pracy i, bądź co bądź, zamierzał zbudować maszynę do podróżowania w czasie i miałem mu w tym pomóc. Nie

zamierzałem zawieść.

VII

„Nie na ślepo”

Dochodziła jedenasta wieczorem, kiedy profesor zszedł do laboratorium po odpoczynku. Było już bardzo blisko ostatecznej godziny oddania projektu wehikułu i wyliczeń, które mi zlecił. Byłem gotowy, by mu je oddać.

– Skończył pan? – zapytał zaraz po tym, jak pojawił się w laboratorium.

– Skończyłem – potwierdziłem, myśląc o czym innym. – Jak pan tu wszedł? – zapytałem, bo właśnie o tym pomyślałem.

– Mam pilota do tej klapy. Nie miałoby sensu zostawiać jej otwartej za każdym razem, kiedy wychodzę z laboratorium – wyjaśnił bez większych emocji, ale z zadowoloną miną.

– W sumie mogłem na to wpaść – podsumowałem, przyznając sobie brak bystrości.

– Nieważne – skwitował to machnięciem ręki. – Proszę mi pokazać swoje dzieło – polecił mi zachęcając gestem dłoni. Od razu podałem mu kartki, na których wszystko przedstawiłem. Oglądał je przez kilka minut i w końcu mnie pochwalił.

– Podjąłem słuszną decyzję powierzając panu to zadanie – zabrzmiało to bardzo formalnie, ale niezwykle mnie ucieszyło. Zrobiłem kolejny krok w stronę podróży w czasie.

– Pozostaje czekać – zauważyłem.

– Istotnie. Ma pan wolne, dopóki maszyna się nie pojawi – profesor przytaknął.

– Czyli długo? – zapytałem, nie mogąc doczekać się zrealizowania projektu.

– Do wtorku powinniśmy mieć wszystko. Wtedy wykonamy

próbny skok w czasie – powiedział ze śladowym entuzjazmem w głosie.

– Chciałbym, żeby ten skok zależał ode mnie – zgłosiłem pretensje do eksperymentu.

– A jaki ma pan pomysł? – zainteresował się uczony.

– Muszę zmienić jedną rzecz – powiedziałem zdawkowo.

– To coś ważnego? – ciągnął mnie za język.

– Dla mnie tak. Chciałem zapobiec czemuś przykremu dla mnie – wyjaśniłem bez podania konkretów.

– Właściwie zgadzam się, ale mam dwa warunki – spojrzał na mnie ostrzegawczo znad swoich okularów.

– Słucham – zachęciłem go do przedstawienia warunków.

– Po pierwsze: to będzie jedyny skok. Jeżeli się uda, i ponadto wrócisz, rozbierzemy maszynę, żeby nie pozostał ślad. To konieczne – wyjawił pierwszy z nich.

– Rozumiem. I zgadzam się z panem – powiedziałem dość sztywno, ale prawdziwie.

– Po drugie: musi pan się nad tym poważnie zastanowić. I jeżeli to możliwe, sprawdzić, co mogło być bezpośrednim następstwem tego, co chce pan „wymazać”. Nie można pozwolić, aby zapobiegając jednemu, spowodować coś gorszego. Nie musi mi pan meldować o swoich odkryciach. Zostawiam ostateczną decyzję pana sumieniu. Osobiście wolałbym przenieść się na przykład o rok do przodu i zobaczyć czy się udało po stanie tego domu. Jednak skoro panu tak zależy, to już trudno – wymienił drugi warunek, który nie powinien mnie bardzo dziwić po tym, co powiedział wcześniej na temat podróży w czasie. Mimo to, trochę zaskoczony jednak byłem.

– Zgoda – przystałem na warunki bez zwłoki. Nie były bowiem złem.

– Proszę mi powiedzieć we wtorek rano, jaka jest ostateczna decyzja. Po południu odbędzie pan podróż w czasie. Albo ja, jeżeli zmieni pan zdanie – powiedział konkretnie Poraziński.

– Jesteśmy więc umówieni – stwierdziłem. – Chyba się położę. Skoro nie ma już nic do roboty – zdecydowałem.

– W takim razie dobranoc – uśmiechnął się życzliwie. Poszedłem na górę, ale z emocji nie mogłem zasnąć jeszcze przez dwie godziny. Miało się spełnić moje marzenie o odwróceniu losu mojej matki. Byłem z tego powodu uradowany, ale też kłębiły się w mojej głowie inne myśli. Obawy, że swoją interwencją mógłbym doprowadzić do czegoś gorszego niż się stało naprawdę. Nie mogłem przewidzieć alternatywnej historii. Prawdę mówiąc, nie sądziłem, że coś mogłoby mnie odwieźć od raz powziętej decyzji. Mimo to, postanowiłem dowiedzieć się jak najwięcej o morderstwie matki i tym, co wydarzyło się zaraz po nim.

Poranek przyniósł mgłę gęstości grochówki. Nie przeszkodziło mi to jednak w wyjściu z lasu i przejściu do mojej rodzinnej wioski. Sklep był tego dnia zamknięty, ale to nie znaczyło, że nie mogłem znaleźć nikogo, kto mógłby opowiedzieć mi coś związanego z morderstwem mojej matki i ówczesną sytuacją. Od razu wpadłem na pana Czesława z biblioteki, który spacerował sobie z psem.

– Dzień dobry! – powitałem tego życzliwego człowieka, który już dwa razy mnie podwiózł w ciągu kilku dni.

– Dzień dobry! – odpowiedział z uśmiechem, ale jego pies zaczął nieznośnie ujadać. Zajęło dobre pół minuty uspokojenie go.

– Widzę, że wyszedł pan na poranny spacer. Jak zawsze – zauważyłem.

– Racja. Czwórka dzieci, wszystkie tak kochają pieska, ale jak

rano chce wyjść, to wypada na mnie. To chyba najbardziej powszechna zasada dotycząca właścicieli zwierząt – zażartował.

– Jeszcze panu nie podziękowałem za cynk o pracy – kontynuowałem uprzejmości, ale prawda była taka, że należało podziękować.

– Nic mnie to nie kosztowało – przyznał skromnie bibliotekarz – Możemy pójść tędy, jeżeli chcesz pogadać?

– Właściwie tak – poszliśmy w stronę jego domu. – Może nie będzie to typowy temat, ale chciałem porozmawiać o śmierci mojej matki – zagrałem w otwarte karty.

– Nietypowy temat, ale myślałem, że kiedyś zaczniesz pytać. Prawdę mówiąc, spodziewałem się tego wcześniej. Później myślałem, że wystarczyła ci rozmowa z ojcem albo sam nie wiem. Ale jednak chcesz się dowiedzieć, kto to zrobił. Wiesz, że pewnie się nie uda – powiedział spokojnie i poważnie.

– Nawet nie o to chodzi. Chciałem wiedzieć jak to było. Nie szukam winnych – zaprzeczyłem jego domysłom.

– Nie kręcisz? Ja bym szukał – pan Czesław był zaskoczony moją odpowiedzią.

On z kolei mnie zaskoczył. Nie patrzyłem na to w ten sposób. Nie widziałem potrzeby. Myślałem, że jak już cofnę się w czasie, to zobaczę mordercę i go powstrzymam. Wiedziałbym, kim jest. „Ale może powinienem poszukać sprawcy w teraźniejszości" –pomyślałem wtedy. W końcu, gdyby mi się nie udało, i tak miałem temu zapobiec w przeszłości. Nie zaszkodziło spróbować.

– No dobra, szukam – przyznałem, co było wtedy prawdą, ale powiedziałem to tak, jakbym wcześniej też miał taki zamiar. – Wolałem tego tak nie rozgłaszać, bo może ludzie będą mniej otwarci w rozmowie – wymyśliłem usprawiedliwienie dla rzekomego kłamstwa.

– I tak by to wyszło. Jaki miałbyś mieć inny powód? – bibliotekarz nie rozumiał tego usprawiedliwienia.

– Chyba rzeczywiście. Ludzie nie takie debile – przyznałem rację panu Czesławowi.

– Odstawię psa i wyjdę dalej rozmawiać. U mnie w domu nie ma warunków. Z psem nikt nie mógł wyjść, ale teraz pewnie już hałasują – przedstawił wesoło plan działania.

– Pewnie – zgodziłem się chętnie i zostałem przed domem, kiedy bibliotekarz wszedł do środka. Zajęło mu około dwóch minut, żeby do mnie wrócić. Pokazał ręką w kierunku jeziora. Poszliśmy więc tam, a pan Czesław zaraz zaczął znów się odzywać.

– Nie powiem ci nic niezwykle interesującego ani nie uświadomię cię, kto jest winny. Nie spodziewaj się sensacji – zastrzegł.

– Nie spodziewam się jej ani trochę. Ale wiem, że nie będzie pan powtarzał plotek tylko powie mi to, co pan wie. Lepiej wiedzieć mało niż głupoty – powiedziałem, dając do zrozumienia, że nie jestem nastawiony na szok.

– Jak sobie przypominam, to były wtedy dosyć dziwne czasy. Zaczęło się wtedy dużo dziać. Niby komuna upadła, ale nie było jeszcze wiadomo, jak wszystko ma wyglądać. U nas akurat i tak nie działo się nic za szybko, więc poza takim zachłyśnięciem się tym, co mówili w telewizji, to nie zauważaliśmy zmian. Ja jeszcze wtedy studiowałem, ale już czułem, że zajmę się tą biblioteką. Miałem sporo pomysłów i nie miałem ochoty wyjeżdżać. Jak teraz o tym pomyślę, to nie żałuję – zatrzymał się na chwilę w swojej opowieści. – Trochę się zagalopowałem. Miałem mówić o czym innym. Twój ojciec był starszy ode mnie o jakieś pięć lat. I wciąż jest. Wtedy widać już było, że może sporo osiągnąć, ale on jakoś też się zatrzymał. Może też nie

chciał wyjeżdżać. W każdym razie, wtedy był już w radzie gminy i zauważaliśmy wszyscy, że ma ambicję i energię. Jeżeli jednak mowa o twojej mamie, to znałem ją trochę lepiej. Byliśmy w jednej klasie. Wszyscy spodziewali się po niej wielkich rzeczy, ale ona pewnego dnia wróciła tu nie dokończywszy studiów. Wyszła za twojego ojca i została kuratorem sądowym. Była prawdziwą idealistką. Chciała naprawdę zmieniać tych ludzi. Nie wiem, czy tak jej się odwdzięczono, ale faktem jest, że zginęła w czasie pracy – znowu przestał mówić.

– To wszystko? – zapytałem niezadowolony z tego, co usłyszałem, bo tyle już wiedziałem.

– Nie, ale i tak wiem niewiele – przyznał. – Opowiem ci o tamtym konkretnym dniu. Byłem wtedy akurat na miejscu. Wiem, że paskudnie padało. Zamknąłem się w domu i czytałem. O dziewiątej zadzwonił do mnie twój ojciec i zapytał, czy twoja mama jest u mnie. Czasem przychodziła. Już mówiłem, że byliśmy dobrymi znajomymi. Ja, twoja mama i moja żona, byliśmy zgraną paczką, ale akurat wtedy nie byliśmy we trójkę w jednym miejscu. Mówił mi, że wyszła o piątej spotkać się z jakimś podopiecznym. Tylko, że długo nie wracała i pomyślał, że może przez deszcz schowała się u mnie. Zaprzeczyłem, ale zacząłem się martwić, bo nigdy do mnie nie dzwonił. Później okazało się, że nie żyła już od ponad trzech godzin. Nie potrafiliśmy w to uwierzyć. Zamordowana i to nożem. To się nigdy wcześniej nie zdarzało. Kościuk nie wiedział, co ma robić. Dwa lata pracował w milicji i nie miał nic do roboty. Przysłali kogoś z wojewódzkiej, ale też nie dał rady. Tyle wiem, tyle co nic. Radzę ci złapać Kościuka. On powinien najwięcej wiedzieć. Pomagał temu przyjezdnemu. Wiedziałbym więcej, ale akurat wyjechałem następnego dnia rano i jak wróciłem na święta, już

się uspokoiło – powiedział, ale niewiele wniósł do mojej wiedzy. I tak wiedziałem, że muszę pogadać z policjantem. Jedyny nowy fakt to telefon mojego ojca.

– Dziękuję. Tak zrobię. – zgodziłem się z jego radą. Byliśmy akurat w okolicy jego domu więc po prostu się rozstaliśmy.

– Cześć i powodzenia – powiedział uprzejmie pod drzwiami.

– Miłego dnia – odparłem bardzo uprzejmie jak na siebie. Ale w końcu pan Czesław zasługiwał na kulturalne zachowanie o wiele bardziej niż przeciętny mieszkaniec okolicy.

Mimo niewielkiego dopływu informacji, rozmowa z nim pokazała, że ludzie mogą pomagać bez liczenia na coś. Niemniej jednak pozostawało faktem, że następną osobą, z którą powinienem porozmawiać, był Tadeusz Kościuk. Był obecnie komendantem gminnej policji. Nie żeby zasłużył na to wyróżnienie błyskotliwą karierą albo jakimś przebłyskiem geniuszu w przeszłości. Co więcej, Kościuk nie był nawet postrzegany jako wzór skrupulatności. Co pozwoliło mu zostać komendantem? Nie było to nic niezwykłego ani szemranego. Nie potrzebował układów, by osiągnąć stanowisko. Po prostu był najstarszym policjantem, który chciał pracować w tym miejscu. Zjadł zęby na pracy w tym regionie i mimo braku szczególnych umiejętności, był kimś, kto znał tutejszych ludzi, zwyczaje i plotki. Podlegało mu jeszcze dwóch młodych policjantów, którzy najpewniej trafili tu za karę i jeżeli mieli jakieś ambicje, to pewnie dawno już przestali marzyć o przeniesieniu wskutek awansu. U nas nie było jak się wykazać. Czasem ktoś kogoś walnął, a czasem ktoś się z kimś zderzył. Nawet jeżeli wypadki drogowe powodowały śmierć, jakkolwiek tragiczny nie byłby ich skutek, patrząc od strony rodzin ofiar, z punktu widzenia tutejszych policjantów, żadna sprawa nie dawała im szansy zaistnieć. Była tylko jedna sprawa,

której nie rozwiązano, ale Kościuk dopiero wtedy zaczynał. I tak się złożyło, że ta sprawa mnie interesowała. Dlaczego nie potrafili jej rozwiązać? Nie miałem pojęcia. Nie wiedziałem, czy ja mam jakieś szanse tego dokonać. Trochę chciałem. Wyzwanie intelektualne wyzwalało we mnie jakieś zainteresowanie, ale cała sprawa traciła na znaczeniu skoro mogłem cofnąć się w czasie i zapobiec wszystkiemu. Najchętniej rzuciłbym to dociekanie i czekał, aż powstanie wehikuł. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość, że skok w czasie, którego miałem dokonać, był możliwy tylko i wyłącznie dzięki uprzejmości jego wynalazcy. Sumienie nie pozwalało mi olać jego warunków i po prostu spełnić swojej zachcianki, jakkolwiek szlachetne nie byłyby jej pobudki. I dlatego, mimo niechęci, miałem się wybrać na komisariat na rozmowę z komendantem Kościukiem i przejrzenie akt sprawy. Wydawało się, że czeka mnie kolejne kilka kilometrów spaceru do jedynego miasta w gminie, chociaż na razie zawsze trafiałem na pana Czesława i ani razu nie przeszedłem tej trasy w całości. Teraz jednak nie mogłem na to liczyć, gdyż bibliotekarz dopiero co wrócił do domu i pewnie zamierzał jeść śniadanie. Nie mogłem liczyć na nikogo innego. Wszyscy korzystali z wolnego dnia poprzedzającego powrót do codzienności. To miało też swoje plusy z uwagi na mgłę. Żaden samochód nie mógł mnie w niej potrącić, bo żaden nie jechał. Trafiłem na komisariat po takim czasie, jak się spodziewałem. Nie miałem jednak tyle szczęścia, co do bezpieczeństwa na drodze. Na miejscu było dwóch ludzi, wszyscy oprócz Kościuka. Brak komendanta nie spowodował, że wyszedłem, ale nie mogłem liczyć na informacje z pierwszej ręki dotyczących sprawy.

– O co chodzi? – zapytał mnie siedzący bliżej wejścia policjant, na którego naramiennikach dostrzegłem dwie belki.

Nie pamiętałem co to za stopień, ale wiedziałem, że niski.

– Jestem Nowak – zacząłem bez podawania konkretów odnośnie celu wizyty.

– Nie jest pan zbyt dokładny – zażartował sobie. Nie byłem jednak pewien, czy był to inteligentny żart z ilości Nowaków w Polsce czy też zwykła złośliwość, mająca zmusić mnie do wyjawienia imienia.

– Jerzy Nowak. Chciałem rozmawiać z komendantem – powiedziałem trochę poirytowany żartem.

– Nie ma. Może pan mówić ze mną – powiedział bez wysilania się na uprzejmość.

– Nie za bardzo. Pan nie może nic z tego pamiętać. Chyba, że mógłbym zajrzeć do akt. Interesuje mnie jedna stara sprawa – próbowałem zagrać luzaka, ale nie dał się podejść.

– Nie mogę pokazywać akt – powiedział zdecydowanie.

– Ale to ważna sprawa, chodzi o morderstwo… – próbowałem go przekonać.

– Nie ma takiej możliwości – przerwał mi. Rozłożył ręce.

– Mojej matki – powiedziałem głośniej.

– Aaa – powiedział ze zrozumieniem. – Już wiem, co to za sprawa. Komendant mi mówił. Nie udało mu się tego rozgryźć. A miał pomoc z wojewódzkiej – powiedział, kiwając głową.

– O to mi chodzi – przytaknąłem.

– Mógłbym chyba zrobić wyjątek. Co się może stać – powiedział niepewnie, patrząc w stronę kolegi z jedną krokiewką na naramiennikach. Tamten machnął ręką – Nie ma problemu – powiedział z uśmiechem.

– Świetnie – uśmiechnąłem się. Nie spodziewałem się, że tak łatwo ustąpi.

– Jak się nazywała? – spytał patrząc na katalog.

– Beata Nowak – powiedziałem bez ogródek i czekałem.

Parę naście sekund później usłyszałem:

– Na pewno?

– To moja matka, człowieku. Nie mam wątpliwości – powiedziałem ostro.

– Nie mam takich akt – powiedział, krzywiąc się.

– Nie ma? – spytałem z niedowierzaniem. Czyżby ktoś je usunął na wszelki wypadek? Ktoś znał i krył zabójcę na wypadek późniejszego śledztwa? To przychodziło mi do głowy. Miałem już w głowie spisek.

– Już wiem – powiedział policjant z dwoma belkami – Nie mam ich, bo są w Komendzie Wojewódzkiej. To im podlegało śledztwo – wyjaśnił. Racja. Dlaczego miałem od razu w głowie teorie spiskowe? Tak samo było, kiedy profesor mówił o ludziach, którzy mu pomagali. Też zacząłem ich podejrzewać o tworzenie podziemnej organizacji o wielkich celach.

– Daliby mi te akta do ręki? – zapytałem funkcjonariusza. Z jednej strony chciałem jechać, a z drugiej nie miałem zamiaru odwiedzać komendy tylko po to, by zaraz zostać odprawionym z kwitkiem.

– Z jednej strony jest pan z rodziny, ale trzeba by napisać podanie i czekać. Od ręki to się nie da – pokręcił głową. Nie było takiej opcji. To mogło się długo ciągnąć. Musiałem odpuścić. Też zrobiłem zawiedzioną minę.

– Chyba, że komendant pana tam wyślę – zaproponował.

– Słucham? – domyślałem się, że obszedł właśnie w swojej głowie pewne procedury.

– Sprawa toczyła się tutaj i mamy prawo dostać te akta, gdyby komendant zażądał tego od Komendy Wojewódzkiej. Gdybym teraz wysłał takie żądanie faksem, przygotowaliby kopię akt, zanim dojechałby pan do nich z upoważnieniem komendanta. Wtedy dostałby pan akta od ręki – opowiedział o swoim

pomyśle. Brzmiało dobrze. Dlaczego jednak miałby to robić?

– Ale komendanta nie ma – zauważyłem niedogodność.

– Nieważne. Jakby wiedział, że nie ma akt, to sam by tak zrobił – machnął ręką. Następnie wyjął kartkę papieru, włożył do drukarki i napisał coś na komputerze. Później powtórzył czynności i wyjął pieczątkę z biurka Kościuka. Przygotowane dokumenty położył przed sobą i się uśmiechnął. Już miał mi podać jeden z nich.

– Chwila! Poproszę dowód osobisty. Skąd mam wiedzieć, że naprawdę jest pan jej synem? – w ostatniej chwili stał się ostrożny. Wyglądało to dość komicznie po tym, jak z takim zapałem nagiął dla mnie zasady.

Dostał dowód do ręki i stwierdził, że wszystko jest w porządku. Razem z dowodem podał mi upoważnienie.

– Dzięki. Dlaczego pan to zrobił? – zapytałem go.

– Procedury można czasem nagiąć – uśmiechnął się i mrugnął okiem.

– Ale dlaczego w tym wypadku? – zapytałem inaczej widząc, że się nie zrozumieliśmy.

– Matka to matka – powiedział filozoficznie. Co miał na myśli? Czy to jego matce w jakiś bardzo pośredni sposób zawdzięczałem taką łatwą współpracę z policją? Nie wiem. Nie wyciągnąłem z niego nic więcej. Wiem tylko, że przesłał faks zanim wyszedłem, nie uzyskawszy satysfakcjonującej odpowiedzi.

Czekała mnie wycieczka do miasta wojewódzkiego. I nie miałem ochoty łapać okazji. Liczyłem na to, że trafi się niedługo jakiś bus. Według rozkładu miałem czekać jeszcze pół godziny. Nie trafiłem więc źle, biorąc pod uwagę, jak mało istotne jest to miasto, i co z tego wynika, jak rzadko jeżdżą tu środki komunikacji, wyłączając samochody prywatne. Usiadłem sobie

na ławce, która była popisana różnymi debilizmami, ale z drugiej strony czystą. Pół godziny do zabicia. Dużo i mało. Mogłem ruszyć trasą tego busa i złapać go po drodze, ale mi się nie chciało. Postanowiłem zastanowić się nad zachowaniem policjanta, który nagiął przepisy, żebym mógł dostać to, o co go poprosiłem. Nie ulegało wątpliwości, że szanował swoją matkę. Ale co poza tym? Nie wiedziałem. Miałem parę luźnych koncepcji bez możliwości sprawdzenia. Zarzuciłem więc tę bezsensowną akcję. Skłoniło mnie też do tego spostrzeżenie sporej ilości schludnie ubranych osób. Uświadomiłem sobie, że wszyscy ci ludzie wracali z kościoła. Większość znałem i kiwałem im głową, brzęcząc „Dzień dobry", czekając, aż wreszcie ta cała fala przejdzie i będę mógł spokojnie nudzić się na prowizorycznym przystanku. Ale szli i szli. Aż w końcu zobaczyłem swoją dziewczynę z jej rodzicami. Naprawdę nie chciało mi się wstawać, ale nie wypadało robić z siebie takiego buraka. Przywitałem się z całą trójką. Ala puściła ich przodem i usiadła koło mnie.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytała wesoło. – Nie widziałam cię już prawie dwadzieścia cztery godziny.

– Byłem zapracowany – usprawiedliwiałem się bez większego wysilania wyobraźni.

– Wolne było – spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Było, ale zajmowałem się fizyką i nie mogłem się oderwać – lekko wyjaśniłem, nie kłamiąc zarazem.

– Ale nie powiedziałeś mi dokąd się wybierasz – wróciła do pierwszego pytania.

– Bo zmieniłaś temat od razu – zauważyłem.

– Nie możesz mi po prostu powiedzieć? – spytała, zmęczona przepychanką słowną.

– Jadę do komendy wojewódzkiej policji – odpowiedziałem

wprost, zgodnie z jej życzeniem.

– Przysłali Ci jakieś wezwanie? – przestraszyła się.

– Co? – nie rozumiałem o co jej chodziło.

– Za pobicie w Anglii – podsunęła.

– Aaa… to – zrozumiałem dopiero wtedy o co pytała. – Nie. Jadę po akta – powiedziałem, śmiejąc się.

– Akta? Kto ci da jakieś akta – zdziwiła się. – Nie jesteś chyba żadnym szpiegiem? – zapytała, powątpiewając jednak w to, że mogę potwierdzić służbę w wywiadzie.

– Masz szczęście, że nie – zauważyłem żartobliwie. – Jadę po akta starej sprawy. Wiesz jakiej – dodałem bardzo spokojnie i spojrzałem się na ulicę, gdyż zatrzymał się na niej samochód i otworzyła się szyba.

– To cześć. Zobaczymy się dzisiaj jeszcze? – pożegnała się nagle.

– Dobra. Może po piątej. Gdzieś tutaj – zaproponowałem. Przystała na to uśmiechem i pobiegła za rodzicami, którzy byli już dość daleko. Znowu zwróciłem uwagę na samochód, który stał kilka metrów ode mnie już z dziesięć sekund. Zobaczyłem, że za kierownicą siedział ksiądz proboszcz.

– Masz chwilę? – spytał.

– Aż bus przyjedzie – odparłem beznamiętnie zgodnie z prawdą.

– Wsiadaj. Możesz do niego wsiąść u siebie. A po drodze porozmawiamy – zaproponował.

– To będzie trwało maksymalnie pięć minut. To chyba nie jest jakaś ważna rozmowa – stwierdziłem wyśmiewając z lekka jego propozycję.

– Może i rzeczywiście lepiej byłoby poświęcić na to więcej czasu – przyznał. – Kiedy mógłbyś wpaść?

– A kiedy ksiądz kończy „pracę”? – odpowiedziałem pytaniem

na pytanie.

– Powiedzmy dziewiętnasta trzydzieści na plebanii – podsunął konkretną ofertę.

– Pasuje – przystałem na warunki.

– Do zobaczenia zatem – powiedział i odjechał w końcu. Nie mógł za długo stać na jezdni.

Ale o co mu chodziło? Dlaczego chciał ze mną pogadać? Czy to miało coś wspólnego z jego znajomymi, którzy mieszkali w weekend u mojego ojca? Tak pomyślałem z początku, ale przypomniałem sobie, że Ala zobaczywszy jego samochód nagle stwierdziła, że musi wracać i pobiegła. Dlatego pomyślałem, że ma z tym coś wspólnego. Rozmowa mogła dotyczyć właśnie jej. Zdało mi się wtedy, że może chodzi o moją wiarę na wypadek przyszłego ślubu. Nie mogłem mieć pewności, ale wydawało się jasne, że ksiądz nie zaproponował mi rozmowy, bo miał do mnie sprawę. Chyba, że to była część prawdy. To nie było istotne. Miało się przecież wieczorem wyjaśnić. A miałem w międzyczasie dostać do ręki akta, które może pomogłyby mi zrozumieć okoliczności śmierci matki i może spojrzeć odpowiednio na ówczesną społeczność. To mogło z kolei pomóc zauważyć, czy ktoś nie podjął jakiejś ważnej decyzji przez to morderstwo. Mogłem więc spełnić warunki profesora i dowiedzieć się czegoś. Nie mogłem przecież działać na ślepo. Im więcej wiedziałem, tym łatwiej mogłem też zaplanować akcję w przeszłości. Ale i na tę wiedzę musiałem jeszcze poczekać. Półtorej do dwóch godzin.

VIII

„Jaki ten świat mały albo i nie”

Jazda busem nie była nieprzyjemna. W związku z tym, że właśnie była niedziela, nie było ciasno i mogłem wybierać spośród wielu miejsc siedzących. Po jakichś czterdziestu minutach wylądowałem w mieście powiatowym, które kiedyś wydawało mi się strasznie duże, aż nie odwiedziłem miasta, do którego udawałem się też teraz. Musiałem wsiąść jeszcze w jeden autobus i trochę się przejść. W jakieś półtorej godziny udało mi się dostać na komendę. Tak, jak przewidywałem. W środku kręciło się sporo ludzi w mundurach i bez. Nie za bardzo orientowałem się, jak mam załatwić swoją sprawę. Podszedłem więc do najbliższego umundurowanego policjanta stojącego za jakąś ladą. Rozmawiał akurat przez telefon. Oparłem się więc o ladę przedramieniem i stukałem o nią palcami. Policjant pokazał mi z poirytowaną miną, żebym przestał. Odłożywszy słuchawkę, wysilił się na uśmiech i zapytał:

– W czym mogę pomóc?

Położyłem kartkę przed nim i rzuciłem:

– Mam nadzieję, że pan wie, do kogo mam z tym iść.

Przez chwilę dokładnie wpatrywał się w upoważnienie.

– Dowód osobisty, proszę – polecił uprzejmie po odwróceniu wzroku od kartki.

– Jasne – kiwnąłem głową i zaraz dowód pojawił się na ladzie.

– Proszę chwilę poczekać – oddał mi dowód i wskazał krzesła pod ścianą.

Usiadłem. Policjant podniósł słuchawkę i wybrał jakiś numer.

Może jakiś wewnętrzny do archiwum? A może dzwonił gdzie indziej i miałem czekać dłuższy czas.

– Ja czekam już prawie godzinę – powiedział łysy, ubrany w długi, skórzany płaszcz, mężczyzna siedzący obok mnie. – A sami kazali mi przyjść o tej porze – splunął. Nikt jednak nie zwrócił na to uwagi.

– Nie chciałbym tyle siedzieć. Muszę tylko coś odebrać – powiedziałem lekko.

– Ja też. Pieczątkę na kartce – prychnął.

– Można się zdenerwować – przyznałem.

– No raczej. I tak jest co miesiąc. Jak sobie pomyślę, ile razy się przez to spóźniłem do roboty, to myślę, że wolałbym jednak odsiedzieć i mieć spokój – kręcił głową z oburzeniem.

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć, ale z tego kłopotu wybawił mnie policjant, z którym wcześniej rozmawiałem. Pokazał mi, żebym podszedł. Tak zrobiłem.

– Mam to, co było na kwicie i coś jeszcze – powiedział tajemniczo.

– Co to takiego? – zainteresowałem się.

– List – powiedział krótko. – Mieliśmy go przesłać dalej, bo nie mieli pana adresu, ale oszczędzimy, skoro tak się złożyło – podał mi teczkę i kopertę.

– No tak – kiwnąłem głową, widząc na kopercie dane nadawcy listu. Była nim prokuratura hrabstwa Berkshire. Mieli dla mnie „dobrą i złą wiadomość”.

– Proszę pokwitować – podał mi dwa formularze. Podpisałem się na obu.

– Dziękuję – powiedział i przestał się mną interesować. Poszło wyjątkowo łatwo.

– Przepraszam. Może pan coś zrobić? – zapytałem, chociaż mogłem już iść.

– Słucham – spojrzał na mnie ponownie.

– Tamten facet w skórze siedzi tu już godzinę. Może pan jakoś to przyspieszyć. Czeka tylko, żeby mu coś podbić – wstawiłem się za poprzednim rozmówcą.

– Niech siedzi. Nie jest tu w nagrodę. Mógł nie kraść – stwierdził mundurowy.

– Jak się spóźni do pracy to go wyrzucą i znowu będzie kraść – oponowałem stanowczo.

– Proszę mnie nie pouczać. Jeżeli to wszystko, to proszę się przesunąć. Ludzie czekają – powiedział bez żadnych emocji w głosie. Wiedziałem jednak, że nie ma sensu się kłócić. Odszedłem i wyszedłem zaraz na dwór, kiwnąwszy przy wyjściu facetowi w skórze. Zastanawiałem się, jak człowiek w jednej chwili może zmienić się spojrzenie na człowieka. Policjant, który był pomocny i sympatyczny, nagle zmienił się w złośliwego urzędasa, który pokazuje jaki to jest ważny. W jednej chwili zdanie o policji zmieniło się na znacznie gorsze. A przecież współpraca z nimi układała się od rana naprawdę dobrze. Jak się okazało: za dobrze.

Uderzyłem się w czoło, przypominając sobie, że nie sprawdziłem rozkładu jazdy busów i musiałem wracać do miasta, w którym się przesiadałem, żeby żadnego nie przegapić. W autobusie nie czytałem akt. Było za dużo osób i nie siedziałem sam. Dziwnie czułbym się, gdyby ktoś zaglądał mi do dokumentów, których sam nie powinienem mieć w rękach. Na przystanku busa zjawiłem się dwie godziny przed odjazdem. Zaszedłem więc do jakiejś pizzerii i po złożeniu zamówienia, zacząłem czytać policyjne akta sprawy. Usiadłem specjalnie w takim miejscu, żeby nie dało mi się zaglądać przez ramię. Już sam początek był niezwykle zaskakujący. Sprawę bowiem prowadził „porucznik Zbigniew Szczupak”. Jaki ten świat mały!

Na dobrą sprawę nie musiałem więc jechać po te akta. Gdyby Kościuk był na miejscu, to by mi powiedział. Więc ojciec mojej dziewczyny okazał się starym Zomowcem. Ale odkąd pamiętam, nie był policjantem. Ma jakiś sklepik dla majsterkowiczów czy coś podobnego. Dlaczego miał zostawić policję? Musiałem wyjaśnić jedną, ważną rzecz. Teraz nie robiłem tego, bo profesor mi kazał, teraz musiałem to wyjaśnić. Bo jeżeli rodzice Ali nie znali się przed morderstwem, to jeżeli by do niego nie doszło, nie byłoby jej teraz na świecie.

Nie mogło tak być. Po prostu nie. Nie mogłem dopuścić takiej możliwości. Nie chciałem. Przecież wtedy musiałbym wybrać, która z nich ma żyć. Uratowanie matki byłoby właściwie zabiciem Ali. Nie. Nie chciałem w to uwierzyć. Nie musiało być tak. Przecież mogło mu się u nas spodobać i przeniósł się z żoną w te strony. Możliwe. Tak. Pewnie tak było. Ale przecież to też beznadziejne. Gdyby nie było morderstwa, nie poznalibyśmy się z Alą. Więc może to nie miało nic do rzeczy. Może i tak myślał, żeby się przenieść, a morderstwo go nie zniechęciło. Oby.

Na szczęście potrafiłem przestać o tym myśleć, kiedy pojawiła się już zamówiona przeze mnie pizza. I tak miałem się widzieć z Alą po piątej. Sprawa miała się wyjaśnić za parę godzin, więc zostawiłem temat do tego czasu. Schowałem akta i miałem zamiar do nich zajrzeć dopiero po spotkaniu z dziewczyną. Nie wiem, dlaczego tak łatwo udało mi się oddalić od siebie te myśli. Przecież wiązały się poważnie z moją obsesją. Na pewno przydatne okazało się przeczytanie listu, który dostałem na komendzie. Tak, jak się spodziewałem, było to wezwanie do sądu. Rozprawa miała się odbyć dziesiątego grudnia. Miałem jeszcze trochę czasu. Jednak w liście wspomniano też o tym, że

niestawienie się będzie brzemienne w skutkach ze względu na to, że opuściłem ich kraj bez poinformowania o tym władz. Trochę mnie to wystraszyło. Nie chciałem iść do więzienia. A było to możliwe. Co prawda nie zrobiłem nic szczególnie złego, ale pogorszyłem swoją sytuację wylotem do Polski. Myślałem trochę o tym, ale potem kupiłem gazetę i czytałem, skutecznie uciekając myślami od zmartwień.

Jednak w busie niepokojące myśli powróciły. Zaczęło się od dobrej myśli. Skoro miałem zmienić przeszłość, to uniknąłbym więzienia. Fakt. Ale mogło się okazać, że nie mogę zmienić przeszłości. I znów zacząłem się martwić. I już nie przestałem, aż zobaczyłem Alę. Wtedy niepewność miała się skończyć. Była dopiero siedemnasta, a ona już kręciła się w okolicy, gdzie mieliśmy się spotkać. Żadne z nas nie spóźniło się zatem.

– I co? – spytała. – Jak wizyta na komendzie?

– Chyba nie była potrzebna. Prawda? – zapytałem ja z kolei.

– Dlaczego mnie pytasz? I dlaczego jesteś w takim humorze? – widocznie trochę ją wystraszyłem.

– A jak to się stało, że tu mieszkasz? – próbowałem ją naprowadzić.

– Zawsze tu mieszkałam. O co ci w ogóle chodzi, co? – wciąż nie rozumiała i była bliska obrażenia się.

– A twoi rodzice. Jak się tu znaleźli? – nadal nie chciałem wprost jej powiedzieć.

– Jak to, jak? Przecież mama jest stąd, a tata ją poznał, jak tu przyjechał – powiedziała, nadal nie dopatrując się związku z moją wizytą na komendzie.

– Przyjechał, żeby… Na pewno pytałaś jak się poznali – już bardziej nie mogłem jej tego wyłożyć. Jeżeli by tego nie załapała, to nie wiedziała.

– Odwiedzał kogoś i się poznali. To nie było niezwykłego.

I nie wiem, dlaczego miałoby się to wiązać z twoim śledztwem – dziwiła się mojemu uporowi.

Wyglądało na to, że nie wiedziała, bo dlaczego miałaby kłamać? Może nie było czego nie wiedzieć. Może to zbieżność nazwisk? To byłoby całkiem wygodne. W sumie nie byłem pewien imienia jej ojca. Dlaczego mieliby nie powiedzieć jej tego jak się poznali? Zaczynałem się uspokajać. Wyglądało na to, że Ala nie urodziła się dzięki morderstwu.

– Może mi w końcu powiesz, dlaczego tak na mnie napadłeś? – przerwała moją chwilową zadumę.

– Myślałem, że… Zresztą nieważne. Musiałem się pomylić – przyznałem.

– Niech ci będzie. W sumie to mało mnie to interesuje – machnęła ręką.

– Idziemy na spacer, czy coś? – zapytałem, nie wiedząc o czym dalej rozmawiać.

– Zimno trochę. Możemy pójść do mnie – zaproponowała i schowała twarz w szalik po nos.

– Może być. Może pogadam z twoimi rodzicami. Mogą znać kogoś, kogo szukam – zgodziłem się chętnie.

– Nie ma ich. Poszli się gościć – uśmiechnęła się dosyć jednoznacznie.

– Trudno. Jakoś będę musiał sobie zapełnić czas z tobą – powiedziałem, odwzajemniając uśmiech.

– Tylko obiecaj mi coś – spoważniała.

– Co? – nie wiedziałem w czym rzecz.

– Obiecaj, że mnie nie zostawisz po tym, co dzisiaj usłyszysz. Bo pewnie i tak dojdziesz, że mam z tym coś wspólnego – powiedziała, łapiąc mnie za rękę.

– Jasne. Najwyżej pokłócę się z księdzem, a później z tobą – zaśmiałem się.

Wystarczyło jej to, chociaż nie zaśmiała się razem ze mną. A że żart nie był prześmieszny, po chwili sam spoważniałem. Drogę do jej mieszkania przebyliśmy bez uśmiechów. W środku doszło do tego, co i poprzednim razem. Zacząłem się więc zastanawiać nad postawą Ali i swoją nadchodzącą rozmową z proboszczem. Może nie miałem racji myśląc, że podpuściła go, żeby mnie przekonał do kościelnego ślubu. A jeżeli tak, to czy jej zachowanie nie trąciło hipokryzją? Przecież z jednej strony robiła krzywe miny, kiedy oświadczyłem o swoim ateistycznym poglądzie, a z drugiej sama ciągnęła mnie do łóżka. Wiedziałem, że czasy są takie a nie inne, ale czy to normalne, że przeżywa się nawrócenie na tyle płytko, że przymyka się oko na zasady religii, na którą się przechodzi? Moje zdanie o niej mogło się zmienić zdecydowanie na niekorzyść, jeżeli jedynym powodem przyjęcia chrztu i kolejnych sakramentów, miała być możliwość ubrania się w białą suknię, albo inną, i przejścia przez główną nawę przy zachwyconych spojrzeniach gości. Czy kierowała nią ta prymitywna potrzeba kobiet, żeby związać się na całe życie w takich właśnie okolicznościach? A jeżeli tak, to czy było to coś złego? Skąd miałem wiedzieć? Jako mężczyzna i tak nie byłem w stanie tego zrozumieć. Nie czułem się władny potępić.

– Co właściwie teraz porabiasz? – zapytałem o coś zwyczajnego, o co zwykły człowiek zapytałby już przy pierwszym spotkaniu.

– Studiuję. Ale zaocznie. W sobotę i niedzielę będę jechać do miasta. Poza tym pracuję tutaj u ojca – opowiedziała dosyć ogólnie na ogólnie postawione pytanie.

– A co studiujesz? Tak w ogóle – dopytywałem, chociaż nie za bardzo chciałem rozmawiać o kierunku jej studiów. Na tyle jednak mnie to interesowało.

– Marketing i zarządzanie – powiedziała, nie dodając ani jednego zbędnego słowa.

– To jeden kierunek? – byłem pewien, że tak, ale chciałem ukryć komplement, że może robić dwa na raz.

– No jeden. A co Ty myślałeś? – zaśmiała się z mojego pytania.

– Nie wiedziałem. Ale dobrze, że jeden – skłamałem, ale nie we wszystkim.

– Dlaczego dobrze? – zainteresowała się moim stwierdzeniem.

– Bo to brzmi jak straszne pierdoły i szkoda by było tracić czas na dwa takie – powiedziałem ze złośliwym uśmieszkiem.

– Jaki mądrala. To chociaż jest bardziej życiowe niż ta twoja fizyka – odparła, podnosząc głowę, która dotąd spoczywała na poduszce częściowo pod moją dłonią.

– Ale co wniesie do nauki marketing i zarządzanie? – zakpiłem.

– Jakby każdy po studiach miał być naukowcem, to by studia były tylko dla wybranych – odparowała całkiem sensownym argumentem.

– Ale to byłoby źle? Teraz studia są dla wszystkich. Jeszcze otwierają coraz głupsze i mniej potrzebne kierunki, bo studenci to kasa dla uczelni. Uczą coraz gorzej i wymagają coraz mniej, bo student, który nie zda to brak kasy. Ten system ma wystarczająco dużo minusów, żeby go zmienić – z kolei ja zacząłem zdecydowanie bronić swojego poglądu.

– Ale może każdy chce się uczyć? Zabrałbyś ludziom możliwość rozwoju – nie dawała za wygraną. Tak się dała wciągnąć w dyskusję, że siadając w ostatniej chwili złapała kołdrę, żebym za dużo nie zobaczył.

– Są biblioteki. Jest dużo programów. Zresztą można by robić więcej otwartych wykładów. Tu nie chodzi o wiedzę tylko o to,

że ludzie idą na studia i chcą od razu dostać dobrą pracę. Ale przecież nikt tego nie zagwarantuje, a już zwłaszcza jak przyjmie się więcej studentów. To przecież nie znaczy, że pojawi się więcej miejsc pracy. A ludzie zaczęli myśleć, że w ogóle to wstyd nie skończyć studiów i tylko nakręcają to wszystko. Wolą zrobić bezsensowne studia i potem narzekać, że nie mają pracy, bo to przecież nie ich wina. A ci po technikum będą pracować i całkiem nieźle zarabiać, bo akurat na to był popyt. Nie można obwiniać państwa za brak miejsc pracy w konkretnej dziedzinie, jeżeli gospodarka ich nie potrzebuje. Rządzącym można zarzucać to, że nie tworzą miejsc pracy, ale nie można im narzucać jakie to mają być miejsca, bo akurat takie studia się skończyło. Przecież zawsze było wiadomo, że potrzeba więcej pracowników fizycznych i fachowców niż umysłowych. Trzeba brać to pod uwagę, a nie potem żałować, bo w szkołach się wszystkim wmawia, że studia to klucz do sukcesu. Każdy obwinia system zamiast patrzeć co się dzieje i okazać trochę cwaniactwa. Niestety, Polacy wolą wierzyć w to co chcą, a potem narzekać, chociaż spodziewali się takiego zakończenia – rozgadałem się naprawdę i z pytania co studiuje, zrobiły się rozważania nad systemem edukacji i polskiej mentalności.

– Aha… Chyba naprawdę cię to gryzie – spostrzegła.

– Po prostu mnie denerwuje – przyznałem. – Ale sama zobacz. Tutaj robią bezsensowne studia, a jak wyjeżdżają za granicę i mają możliwość rozwoju, to pracują całe życie na magazynach, bo przecież nie płacą źle. Albo nawet nie robią tu studiów i wyjeżdżają, bo po co im studia? Rzeczywiście niepotrzebne. Ale nikt sensownego zawodu nie zrobi tylko od razu stwierdza, że to bez sensu i migruje – westchnąłem. – Nie rozumiem swoich rodaków. Na pewno większości.

– Ale chyba nie uważasz, że robię bezsensowne studia, co? – spojrzała pochmurnie.

– Chyba nie. Nie znam się na potrzebach rynku – wzruszyłem ramionami.

– Nieważne. Może obejrzyjmy jakiś film? – zasugerowała kończąc temat.

– A która jest? – odparłem pytaniem.

– Siedem po szóstej – spojrzała na telefon leżący na szafce.

– No dobra. Tylko, że nie obejrzę do końca. Jestem umówiony na dziewiętnastą trzydzieści – przytaknąłem na poprzednie pytanie bez wielkiego entuzjazmu.

– Mam nowy film Woody'ego Allena. Ale bez napisów. Damy radę? – zapytała z krzywą miną.

– A dlaczego nie masz napisów? – zdziwiłem się. – Ten film wyszedł z pół roku temu.

– Bo zaczęłam oglądać bez. Się doszkalam – powiedziała dumnie. – Może być?

– Dziewczyno, studiowałem przez pięć lat w Anglii. Może wątpisz, że nie zrozumiem amerykańskiego akcentu niektórych aktorów, ale się postaram – zażartowałem sobie.

– Zapomniałam – zaśmiała się. Zajęło jej to jakieś pół minuty, żeby włączyć film. I zaczęliśmy oglądać.

Niewiele słów zamieniliśmy podczas oglądania, a te które zamieniliśmy, były głównie moimi pytaniami o czas i jej odpowiedziami. Musiałem przecież pilnować godziny ze względu na spotkanie z proboszczem. Za którymś razem dowiedziałem się, że było prawie dwadzieścia po siódmej i stwierdziłem, że powinienem się zbierać. Ubrałem się i miałem zamiar wyjść wyłącznie się żegnając, ale zostałem zagadany, kiedy już miałem wkładać buty.

– Jurek – powiedziała prosząco. – Nie bądź chamski.

– Dlaczego miałbym być? – zapytałem trochę zdziwiony.

– Ksiądz mówił, że zachowywałeś się bezczelnie, jak cię widział po powrocie – wytłumaczyła powód swojej prośby.

– Nie masz się o co martwić. Wtedy to było co innego – odparowałem pewnie.

– Dlaczego co innego? Nie widzę różnicy – poważnie wyraziła swój sceptycyzm.

– Kłócili się o pierdoły, więc nie zasługiwali na kulturalne towarzystwo. Poza tym obudzili mnie – wyjaśniłem różnice z uśmieszkiem na ustach.

– Niech ci będzie – machnęła ręką.

Założyłem buty i kurtkę i miałem wychodzić, ale zatrzymała mnie jeszcze raz.

– Kiedy się znowu zobaczymy? – zapytała.

– Może jutro – zaproponowałem.

– Dobra. U ciebie, w barze, czy gdzie? – czekała na konkretniejsze propozycje.

– Tutaj nie może być? – odparłem pytaniem na pytanie nie pierwszy raz.

– Moi rodzice będą w domu – skrzywiła się.

– No i dobrze – ja z kolei się uśmiechnąłem.

– Nie łapię – zdziwiona mina towarzyszyła zdziwionemu tonowi.

– Chcę z nimi pogadać. Może przyjdę na kolację, co? – wyszedłem wreszcie z konkretną propozycją.

– Dobra. Jak ci tak zależy – zgodziła się mimo, że początkowo miała inne koncepcje – Przyjdź o siódmej.

– Będę na czas – mrugnąłem i chciałem wyjść, ale zatrzymała mnie jeszcze jeden, ostatni raz.

– Fajnie, że chcesz z nimi pogadać – powiedziała to, stojąc przede mną owinięta w kołdrę, a następnie pocałowała na

pożegnanie.

Co sobie myślała? Tego nie wiedziałem, ale jeżeli myślała, że chcę poruszać temat ślubu, to miałem dla niej rozczarowującą niespodziankę. Nie musiałem się jednak tym martwić zawczasu. Miałem jeszcze do obgadania sprawę z księdzem. Byłem ciekaw, co chce mi powiedzieć i czy będzie mnie próbował do czegoś namówić. Zaraz miałem się przekonać.

IX

„A może jednak?”

Na plebanię dostałem się niedługo po tym, jak zapukałem do drzwi. Ksiądz nie miał na sobie sutanny, tylko czarną koszulę, a koloratkę musiał gdzieś odłożyć.

– Siadaj. Napijesz się czegoś? – powiedział uprzejmie w pokoju z biurkiem i kilkoma krzesłami.

– A co ksiądz ma? – zainteresowałem się.

– Jakieś nalewki mam dobre. Ktoś sam zrobił i mi przyniósł – zaproponował, zachwalając trunki.

– No dobra – zdałem się na jego słowo.

– Którą? – zostawił mi wybór.

– Jest jakaś wiśniowa? – spróbowałem wybrać cokolwiek, żeby przeszedł do rzeczy.

Pokiwał głową i wyjął odpowiednią butelkę. Nalał całkiem sporo do całkiem dużych kieliszków. Napiliśmy się trochę i zapytałem prosto z mostu.

– Dlaczego chciał ksiądz ze mną rozmawiać? – nachyliłem się przy tym do przodu.

– Podobno znowu jesteście z Alą razem – zaczął bez odkrywania wszystkich kart, ale wiedziałem już o co chodzi.

– To prawda – potwierdziłem. – Dlaczego chciał ksiądz ze mną rozmawiać? – ponowiłem pierwsze pytanie, żeby uświadomić mu, że nie odpowiedział.

– Wiesz, że Ala jest z powrotem praktykująca? – zapytał, chociaż wiedział, że wiem.

– Tak. Wspomniała o tym – odparłem lekko na niby-pytanie.

– I co Ty na to? – zainteresował się.

– W ogóle mi to nie przeszkadza – powiedziałem zdecydowanie.

– Ale co dalej? Będziesz chciał się z nią ożenić? – dochodził do tematu, którego się spodziewałem.

– Być może – odpowiedziałem dyplomatycznie.

– A ślub kościelny? – w końcu padło pytanie, na które czekałem.

– To chyba niemożliwe. Jestem niewierzący – pociągnąłem łyk nalewki po swojej zdecydowanej odpowiedzi, której pewnie się spodziewał.

– A ona jest wierząca i brak ślubu byłby zły – ksiądz wysunął kontrargument.

– To mamy problem – zauważyłem.

– Ktoś musi się poświęcić – przyznał proboszcz.

– Więc dlaczego to ja miałbym być tym kimś? – powiedziałem z uśmiechem, ale czekałem na poważne argumenty.

– Tak będzie lepiej. Ala nie będzie całe życie rozdarta – stwierdził z powagą w głosie.

– Ale ja będę, bo zrobię coś niezgodnego ze swoimi przekonaniami i to będzie hipokryzja – pokręciłem głową.

– Może niekoniecznie – mój rozmówca uśmiechnął się i sam się napił.

– Niech ksiądz wyjaśni – zachęcałem go do mówienia, ponieważ mnie zainteresował.

– Straciłeś w dzieciństwie matkę. Rozumiem, że nie jesteś w stanie uwierzyć w miłosiernego Boga, który jest dobrym pasterzem, który dba o swoje owce. Ale na pewno codziennie zadajesz sobie to pytanie, dlaczego ona zginęła. Nie dość, że to niesprawiedliwe, to wydaje się jeszcze bez sensu. Ale myślisz o tym. Rozważasz o śmierci, bo spotkałeś się z nią wcześniej i nie możesz zrozumieć, dlaczego – zaczął mówić, ale

przerwałem mu.

– Co to ma do rzeczy? – zapytałem zrezygnowany.

– Ma. Jesteś teraz fizykiem, prawda? Naukowcem. Czy nie dlatego, żeby wyjaśnić te wielkie tajemnice, jak to się wszystko zaczęło i co jest po śmierci? Założyłeś, że nauka da ci odpowiedź. Jasną i pewną. Ale nauka i religia tak bardzo się nie różnią. Obie chcą dać odpowiedź na te wielkie pytania. Dla mnie Bóg to wszechmocna istota, która stworzyła świat i może wpływać na nasze życie, ale dla ciebie to wielki wybuch, prawa fizyki i ewolucja. Nie jesteś jednym z tych, którzy są tak aroganccy, że myślą, że ich pogląd jest jedynym słusznym. Dopuszczasz inne możliwości, chociaż wydają się mało prawdopodobne. I dlatego mógłbyś być katolikiem. Dlatego, że dopuszczasz możliwość istnienia Boga, dlatego, że poszukujesz odpowiedzi i dlatego, że, koniec końców, kierujesz się zasadami moralności zbliżonymi do dekalogu… No chyba, że jednak nie dopuszczasz innych możliwości – dokończył swoją długą myśl. W życiu nie podejrzewałem go o takie wygadanie i otwartość umysłu. Nie przekonał mnie od razu do swojego zdania, ale nadał mu sporo sensu, nawet jeżeli nadal uważałem, że nie powinienem go posłuchać.

– Może i coś w tym jest. Zastanowię się – powiedziałem ugodowo.

– A co tak poza tym u ciebie? – zmienił temat widząc, że nie warto bardziej naciskać.

– Niewiele. Pracuję jako mechanik, ale zobaczę czy znajdę coś w zawodzie. Ale skoro wspomniał już ksiądz o mojej mamie. Może opowie mi ksiądz o tym, co się wtedy działo, jak zginęła – nakierowałem rozmowę na najbardziej nurtujący mnie temat.

– Niewiele ci powiem. Wiem tyle, co wszyscy. A poza tym sporo plotek i teorii spiskowych – powiedział, dając mi do

zrozumienia, że nie chce mu się mówić.

– Nie szkodzi. Chcę wiedzieć, jak najwięcej. Może odpowiedź jest na wyciągnięcie ręki tylko wydaje się, że nie da się jej znaleźć – powiedziałem zachęcająco.

– W takim razie powiem ci, co wiem. Słyszałeś pewnie mniej-więcej jak to było. Wyszła wieczorem z domu. Miała się spotkać z jakimś byłym więźniem, bo w końcu na tym polegała jej praca. I ktoś ją zamordował. Nie potrafiłem zrozumieć, jak to się stało. Ludzie tutaj się bili, czasem ktoś coś ukradł, ale to było coś okropnego. Ludzie byli trochę przestraszeni, ale głównie chwycili tanią sensację i plotkowali jak to mogło być. Z początku myślano, że to ten przestępca i nawet go zamknęli, ale miał mocne alibi i właściwie nic na niego nie mieli. Twierdzi, że wyszedł na spotkanie ze swoją kobietą i ona to potwierdziła i że twoja matka się nie zjawiła. Puścili go po paru godzinach z braku dowodów. Nie znaleźli później innego podejrzanego i do dzisiaj nie wiadomo, co zaszło. Przykro mi – opowiedział i wydawało się, że naprawdę boli go wspomnienie tragedii.

– A te plotki? – dociekałem, bo tak naprawdę nie powiedział nic nowego.

– Plotki jak to plotki. Były takie, że chwytały. Wiadomo kto był dla ludzi naturalnym podejrzanym – powiedział, usprawiedliwiając to, co ludzie gadali.

– Mój ojciec – powiedziałem to na głos. Byłem trochę wstrząśnięty, że mogli tak mówić – Ale jak to się stało, że został później burmistrzem? Gdyby go podejrzewali na poważnie, nikt by go nie poparł – wydało mi się to absurdalne. Nie widziałem wyjaśnienia.

– Z początku podejrzewali go rzeczywiście, ale po jakimś czasie nie mieli już powodu – powiedział enigmatycznie, ale

zaraz zaczął tłumaczyć. – Już wcześniej chodziły plotki, że twój ojciec spotykał się jeszcze z inną kobietą. Nawet mnie wydawało się, że coś w tym jest. Przyznaję. Okazało się jednak, że to tylko wymysły. W każdym razie nie byłoby to nic na tyle poważnego, żeby druga plotka miała sens – spojrzał na mnie. – Rozumiesz, o co mi chodzi? Gadali, że zabił żonę dla niej. Ludzie jeszcze bardziej gadali, kiedy się dowiedzieli, że to ona znalazła zwłoki. Ale nic takiego nie mogło mieć miejsca, bo widzisz, ona niedługo później wyszła za kogoś innego. I tyle. Ludziom się głupio zrobiło. Może twój ojciec nawet zyskał na całej sprawie jeżeli chodzi o politykę – dodał i napił się jeszcze, opróżniając kieliszek.

– Może mi ksiądz powie, co to za kobieta. Mógłbym się od niej czegoś dowiedzieć – poprosiłem.

– To zabrzmi jak motyw z telenoweli – zaśmiał się. – To była Mariola Kwaśniak, obecnie Szczupak – powiedział w końcu kim była kobieta, o której tyle mówiono przy sprawie morderstw. I była to matka mojej dziewczyny. Nie codziennie słyszy się takie newsy.

– To naprawdę brzmi… – zatrzymałem się wystraszony. – A kto został jej mężem? – zapytałem, obawiając się odpowiedzi.

– Jak on się nazywał? Szczupak na pewno. No tak, Zbigniew – przypomniał sobie.

– To przecież wiem. Miałem na myśli… Czy on przyjechał tu w podobnym czasie założyć jakiś sklep? – zapytałem po chwilowej niepewności jak sformułować pytanie.

– Fakt. Założył sklep – przytaknął i odetchnąłem z ulgą – Ale nie po to tutaj przyjechał – dodał, martwiąc mnie.

– A po co? – zapytałem. Byłem już pewien, ale chciałem to usłyszeć nie ze swoich ust.

– On nie lubi o tym mówić i się tym nie chwali, ale to on był

tym przyjezdnym policjantem. Woli o tym nie wspominać, bo jednak większość czasu robił w milicji. Ludzie źle na to patrzą – powiedział w końcu na głos to, co wypierałem i próbowałem tłumaczyć inaczej. Wyszło jednak na to, że Ala nie wiedziała prawdy o swoim ojcu. Nie powiedział jej o tym. Tak po prostu. I nie dowiedziała się od innych. Widocznie ludzie nie rozpowiadali o tym swoim dzieciom i moje pokolenie nie ma już pojęcia o tym, że śledczy jest ich sąsiadem. Naszła mnie też inna myśl. Może Ala wiedziała, ale nie chciała, żebym wypytywał jej ojca o tę sprawę. Mogła myśleć, że będę ciekaw albo, że nawet będę go obwiniał o to, że nie złapano mordercy. A może on sam kazał jej to zachować w tajemnicy. Po dłuższej chwili zastanowienia odezwał się ksiądz.

– Co się tak zamyśliłeś? – spytał z uśmiechem na twarzy.

– Nic. To po prostu zaskakujące, że ten świat jednak jest mały – odparłem utartym zwrotem.

– Chcesz mnie jeszcze o coś zapytać? – próbował kontynuować rozmowę albo przekonać mnie do wyjścia. Nie wiem, co chciał osiągnąć, ale zdecydowałem się pójść.

– Nie. Pójdę już. Dziękuję za rozmowę – powiedziałem grzecznie i wstałem.

– To ja dziękuję – powiedział proboszcz na stojąco i podał mi rękę.

– Idziesz do domu? – spytał przy drzwiach.

– Nie, ale to nie księdza sprawa – powiedziałem uprzejmym tonem.

– No, nie moja. Chyba, że chcesz o tym pogadać – zaśmiał się.

– Nie. Może kiedyś. Dobranoc – wyszedłem i usłyszałem za plecami: „Z Bogiem”. To najlepsze, czego swoim zdaniem mógł mi życzyć. A każda pomoc mogła się przydać przy sprawie morderstwa i co ważniejsze, w zdecydowaniu co dalej

w sprawie wehikułu czasu. Wiedziałem, że po prostu nie mogłem go użyć do ratowania matki. Proboszcz upewnił mnie w tym, ale tak bardzo tego chciałem. Marzyłem o takiej możliwości całe życie, a gdy się pojawiła, miałem z niej nie skorzystać? Los jest przewrotny i nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego przytrafiło mi się takie coś. Walczyłem ze sobą całą drogę do domku w lesie, ale w końcu się przełamałem i postanowiłem nie korzystać z wehikułu w tym celu. Wydawało mi się teraz, że nie będę mógł być szczęśliwy bez zapobieżenia morderstwu, ale może miało mi w przyszłości przejść, a może nie miałem być szczęśliwy.

Na takie pytania mógł odpowiedzieć tylko czas. A dzięki profesorowi wiedziałem o nim więcej i lada dzień mogłem być pierwszym, kto podróżował w czasie. A może nie byłbym pierwszy. Ktoś mógł przecież zbudować wehikuł czasu i go używać. Inni i tak nie mogli tego zauważyć, a już na pewno dowieść. Tylko, że to nie miało żadnego znaczenia. Jeżeli ktoś jeszcze podróżował w czasie, to przecież do własnych celów i sam bym o tym nie wiedział. Wydawało mi się jednak, że profesor Poraziński był na tyle nieszablonowym i nieprzeciętnym naukowcem, że wątpliwe byłoby, gdyby ktoś zbudował wehikuł czasu przed nim. I ta myśl była ostatnią przed wejściem do domu, w którym ukrywał się profesor. Ku mojemu zaskoczeniu, pierwszy raz zobaczyłem go jak siedzi sobie na parterze i coś czyta.

– Dobry wieczór – zagadnąłem na początek jak najbardziej neutralnie.

– Dobry wieczór – odpowiedział, spoglądając na mnie sponad książki.

– Chyba pierwszy raz pana widzę w tym pomieszczeniu nie tylko przechodzącego – rzuciłem żartobliwym tonem.

– Mogę sobie teraz odpocząć. Czekamy na naszą maszynę i nie ma co robić. Sprawdzałeś, czy twoja podróż niczego nie zepsuje? – zaskoczył mnie tym bezpośrednim pytaniem.

– No… tak. Nie mogę jej odbyć. Chyba, że bym to zrobił, a potem bym się jeszcze raz cofnął, żeby zapobiec temu, co zrobiłem – powiedziałem o pomyśle, który właśnie przyszedł mi do głowy. To był naprawdę prosty pomysł. Nie wiedziałem, dlaczego się wahałem z podróżą w czasie. Przecież zawsze mogłem naprawić błąd, który popełniłbym przy pierwszym. Byłem z siebie zadowolony, a jeszcze bardziej z możliwości jaką odkryłem.

– Nie. Nie cofniesz się dwa razy – profesor powiedział stanowczo i odłożył książkę. Po raz pierwszy nie zwrócił się do mnie per „pan” i właściwie miało to więcej sensu.

– Wiem, że miałem mieć tylko jedną możliwość. Ale co panu zależy? Może się skończyć na jednej. Ta druga to tylko opcja – próbowałem go przekonać, zwłaszcza, że nie rozumiałem jego uporu.

– Nie w tym rzecz. Jeżeli temu zapobiegniesz, twoje życie potoczy się inaczej, a wystarczy niewiele, żebyśmy nigdy się nie spotkali. Nie będzie tak, że sobie wrócisz tutaj i spróbujesz ponownie. Możesz zawsze zostawić sobie jakoś wiadomość, żeby trafić tu w odpowiednim czasie, ale może wtedy nie będziesz chciał brać udziału w tej akcji. Nie będziesz pamiętał tego, co zrobiłeś po cofnięciu się w czasie. Będziesz alternatywnym Jurkiem. Może nie będziesz rozumiał co robię, może nie będziesz wiedział kim jestem i się nie dowiesz, czym się zajmuję.

Krótko mówiąc, jest mała szansa, że będziesz miał możliwość na drugi skok – wytłumaczył mi coś, czego nie zauważałem w swoim „genialnym” pomyśle sprzed kilku minut.

– Jak pan będzie wiedział, że się udało? – zapytałem o coś innego niż zaprzątało moją głowę. W końcu upadła jedyna możliwość jakiej przed chwilą się chwyciłem.

– Nie będę wiedział – powiedział bez emocji.

– I mimo to pozwoli mi pan na to? – zdziwiło mnie to.

– Tak. Pewnie to, co zrobisz nie wpłynie na moje życie na tyle, żebym nie wynalazł wehikułu czasu. Wtedy sam go przetestuję i zobaczę – wyjaśnił, ale tak naprawdę nie widziałem w tym sensu.

– Jak pan wtedy będzie wiedział? – wyjawiłem swoje wątpliwości.

– Skoczę do przyszłości. Nie stracę przez to swojej przeszłości – wytłumaczył tym razem tak, że rozjaśniło mi się w głowie.

– Więc może ja skoczę do przyszłości, żeby sprawdzić, czy za jakiś czas wciąż będę chciał się cofnąć. Wtedy bym wiedział – wymyśliłem kolejny sposób, który wydawał mi się rozwiązaniem.

– Powiem tak. Jeżeli jeszcze się wahasz, to może tego nie rób – poradził. – Może lepiej zawierzyć własnym decyzjom i starać się o to, żeby być zadowolonym z życia niż próbować cofnąć pojedynczy błąd. W obu wypadkach nie wiesz, co cię czeka. Masz jeszcze czas do wtorku do namysłu, więc się nie spiesz i przemyśl wszystko – dodał i wydawało mi się, że miał sporo racji.

– Na pewno będę jeszcze myślał. Dziękuję za radę – powiedziałem, widząc, że profesor sposobi się do zejścia na dół.

– Wybacz, ale pójdę spać. Nie lubię za dużo rozmawiać na temat eksperymentu przed nim – wytłumaczył się, wcisnął coś na pilocie i klapa się otworzyła. Zaraz zniknął pod nią. Zostałem sam w pokoju. Znowu nadzieja została we mnie zabita. Wydawało się, że nie cofnę się w czasie. Profesor musiał mieć

rację. Powinienem spróbować szczęścia z Alą, a jakby nie wyszło, to po prostu żyć dalej. Czułem, że zawsze to wiedziałem, że moja obsesja nie powinna się objawiać w taki sposób i wpływać na moje życie w tak wielkim stopniu. Nie potrafiłem jednak jej powstrzymać. Teraz postanowiłem to zrobić. Zwyczajne życie nie musiało być złe. A było coś, co mogło mi pomóc przekonać samego siebie do tego. Mogłem doprowadzić śledztwo do końca. Gdybym odkrył prawdę może mógłbym przejść nad tym do porządku dziennego. Czując, że sprawiłem zadość sprawiedliwości, mogłem w pewnym sensie zrobić coś dla pamięci matki. Tyle mogłem zrobić. Zwłaszcza, że nawet gdybym miał być nieszczęśliwy, to nie mogłem ot tak sprawić, żeby Ala nigdy się nie urodziła. Wszystko przemawiało przeciwko podróży w czasie. Wszystko oprócz jednej cząstki mnie, która pragnęła tego ponad wszystko. Musiałem ją wyciszyć. Zacząłem więc czytać akta sprawy, które przywiozłem z komendy wojewódzkiej policji.

Kiedy tylko zobaczyłem nazwisko Zbigniewa Szczupaka, znowu na chwilę zacząłem się zastanawiać nad tym, czy Ala nie powiedziała mi wszystkiego czy zwyczajnie nie wiedziała. Po chwili jednak pomachałem na boki głową chcąc wytrzepać z głowy myśli na ten temat. Zacząłem czytać. Na miejscu zbrodni znaleziono ciało i narzędzie zbrodni. Moją matkę zabito ciosem nożem zadanym w plecy. Narzędzie zbrodni znaleziono niedaleko ciała. Był to nóż kuchenny. Matka nie miała przy sobie portfela i nigdy go nie znaleziono. Czytając raport patologa dowiedziałem się, że moja matka musiała widzieć ofiarę i wyglądało na to, że uciekała. To było ciekawe. Domyślała się, że coś jej grozi. To nie wskazywało na nikogo, ale mógł to być ktoś, kto wyglądał groźnie albo nawet rozmawiała z tym kimś, ale później zorientowała się

w intencjach. Czytałem dalej, bo nie miałem czystego obrazu, który pasowałby lepiej niż inne. Na początku przesłuchano kobietę, która znalazła ciało. Protokół był podpisany przez Kościuka, co było zrozumiałe, gdyż przyjezdny jeszcze się nie zjawił. Po przeczytaniu tego wiedziałem tylko tyle, co powiedzieli. Mariola Kwaśniak zeznała, że wyszła na spacer, bo ulewny deszcz właśnie się skończył. Założyła gumowe kalosze i weszła do lasu. Znalazła zwłoki po dwudziestej i pobiegła do najbliższego domu zadzwonić na policję. Był to dom państwa Wrońskich. Zgłoszenie przyjęto o dwudziestej dwadzieścia. Dziesięć minut później Kościuk z lekarzem zjawili się na miejscu zbrodni, jak wynikało z raportu patologa, dwie i pół do trzech godzin po morderstwie. Zapytana o alibi, Mariola Kwaśniak odparła, że w tym czasie oglądała w telewizji serial „Zmiennicy". Nikt jednak nie mógł tego potwierdzić, skoro siedziała sama w domu. Tyle z przesłuchania mamy Ali. Następnym przesłuchiwanym był mój ojciec. Powiedział to, o czym już słyszałem. Matka wyszła przed osiemnastą spotkać się ze swoim podopiecznym. Miała wrócić do wpół do ósmej, więc zaniepokojony ojciec zadzwonił do pana Czesława, który wydał mu się najbardziej prawdopodobną osobą, do której jego żona mogła się udać. Następnie zobaczyłem raporty daktyloskopijne. Odciski palców na narzędziu zbrodni należały do głównego podejrzanego, czyli do recydywisty, z którym zamordowana miała się spotkać. Nie dziwi więc, że następny protokół był protokołem z przesłuchania podejrzanego. I znów nic mnie nie zaskoczyło. Rozmowa z proboszczem dała mi prawie tyle samo. Jedyną dodatkową informacją było to, że podejrzany sam wspomniał o tym, że zginął mu kuchenny nóż. Mogło to świadczyć o czymkolwiek. Kościuk zdecydował się go aresztować. I na tym kończyły się doniesienia miejscowego

policjanta. Następne działania prowadził już porucznik Szczupak. Jego pierwszym posunięciem było ponowne przesłuchanie i sprawdzenie podejrzanego. Przeprowadził test, który wykluczył jego bezpośredni udział w zbrodni. Był zbyt wysoki by zadać cios w sposób jaki został zadany. Tak więc prośba Kościuka o pomoc z komendy wojewódzkiej była zbawienna dla głównego podejrzanego. Dawało to też szansę na znalezienie prawdziwego mordercy. Jednak się to nie udało, o czym już wiedziałem. Tym bardziej zamierzałem przeczytać akta od deski do deski. Inteligentne i pomysłowe podejście Szczupaka oznaczało, że nie został przysłany do zatuszowania sprawy. Skoro więc się nie udało, to widocznie nie dało się zrobić więcej. Znowu mnie to zdołowało. Nie widziałem powodu, dla którego to mnie miałoby się udać, skoro doświadczony śledczy nie podołał zadaniu. Przemogłem się. Nie było sensu rzucać w kąt tych papierów. Przecież zaczynając swoje dochodzenie nie liczyłem na sukces. Dlaczego teraz przeszkadzało mi niewielkie prawdopodobieństwo powodzenia. Następnym krokiem porucznika było sprawdzenie alibi Marioli Kwaśniak. Przepytał ją dokładnie z odcinka ”Zmienników” nadawanego premierowo w czasie zabójstwa. Przeszła test pomyślnie. Zauważyłem, że Szczupak sprawnie zawężał krąg podejrzanych. Zgodnie z tym, co sobie pomyślałem, przesłuchał następnie mojego ojca. Z początku ojciec twierdził, że siedział ze mną sam w domu. Szczupak uznał takie alibi za niewystarczające i chciał już aresztować przesłuchiwanego, jak sam zapisał w raporcie, ale ostatecznie ojciec, opowiadając dokładnie jak spędził czas od siedemnastej do dwudziestej pierwszej, kiedy policja przyszła z nim porozmawiać, wspomniał o telefonie o niedokładnej godzinie. Następnie porucznik sprawdził połączenia i to pan Czesław dzwonił.

Chciał rozmawiać z moją matką. Tak Szczupak ustalił po rozmowie z nim. Pytał, czy przyjdzie wieczorem. O dwudziestej odebrał telefon od pana Nowaka i potwierdził słowa mojego ojca o tej rozmowie. Długość i czas połączeń odpowiadała zeznaniom obu panów. Przeprowadzenie rozmów potwierdziły również dwie osoby przebywające tego dnia razem z panem Czesławem. Pierwsza rozmowa miała miejsce o siedemnastej czterdzieści pięć. Porucznik sprawdził położenie miejsca zbrodni względem domów obu mężczyzn i stwierdził, że żaden z nich nie mógł popełnić morderstwa. Nikt z przesłuchiwanych nie miał pojęcia, jak ktoś inny niż właściciel noża mógł go zdobyć. Sam właściciel nie miał pojęcia. Nie zauważył, by ktoś włamywał mu się do domu, a nic innego nie zginęło. Kolejne przesłuchania nie wnosiły nic do sprawy i Szczupak kręcił się w kółko. Śledztwo umorzono po miesiącu. Miałem więc rację. Tej sprawy nie dało się rozwiązać. Może ktoś coś wiedział. Ale kto i co? To mogło być naprawdę wszystko. A skoro ktoś nie chciał mówić, to nie powiedział. Zamknąłem teczkę i odłożyłem na stolik. Zastanowiłem się, czy to niepowodzenie aż tak zdenerwowało Szczupaka, że zostawił służbę i nie chce by wiedziano, że był mundurowym. Nie mogłem sam sobie odpowiedzieć, ale mogłem spróbować dostać odpowiedź od niego samego. Już następnego wieczora w jego własnym mieszkaniu. Nie wypadało jednak zarywać nocy nad rozmyślaniem strategii rozmowy z ojcem Ali. W końcu następnym dniem był zwyczajny poniedziałek i tak jak większość ludzi musiałem rano wstać do pracy.

X

„Kwestia ślubu”

Nie miałem większych problemów z zaśnięciem, ale nie cieszyłem się na dzień w warsztacie u boku Igora. Nasze ostatnie spotkanie skończyło się wymianą nieuprzejmości. Rano jednak okazało się, że Igor nie bardzo przejmował się naszą niedawną sprzeczką. Był ogólnie zadowolony z życia i z uśmiechem machnął ręką na moje proste przeprosiny.

– Nieważne. Zawsze byłeś trochę inny. Mogłem się takiego czegoś po tobie spodziewać – powiedział przy wykonywaniu opisanych min i gestów.

– Fajnie – rzuciłem, kończąc temat bez emocji.

– Chodzą plotki, że znowu jesteście razem z Alą – po chwili podjął nowy temat.

– Nie wiem, co to ludzi obchodzi, ale tobie mogę to potwierdzić – mówiłem też z zadowoloną miną, bo chociaż miałem swoje odchylenia w życiowych priorytetach, to, bądź co bądź, cieszyłem się ze swojego związku.

– Fajnie – stwierdził zwyczajnie. Zaśmiałem się, że użył tego samego słowa, co ja przed chwilą.

Przez chwilę się nie odzywaliśmy i grzebaliśmy w samochodzie. Kiedy przyszła pora na próbne odpalenie silnika, Igor znowu zaczął rozmowę.

– A co z tym domkiem w lesie? Na serio nikogo tam nie ma i sobie siedzisz? – spytał z niedowierzaniem.

– Mówiłem ci już. Musiał uciec – powiedziałem znowu to, co wcześniej. Miałem nadzieję, że to przyjmie.

– To trochę dziwne – na jego twarzy wystąpił grymas.

– Dziwniejsze by było, gdyby został. Przynajmniej w tym wypadku, że jeszcze nic mi nie jest – zauważyłem z sensem. Rozsądny argument mógł do niego przemówić.

– To prawda. Chyba, że go ukrywasz z wdzięczności. Nie chciałbym, żebyś pomagał jakiemuś przemytnikowi. Po co ci to? – Igor ciągle nie do końca mi wierzył. Wręcz wymyślał własne teorie.

– Nie wiem, po co by mi to było. Nikogo tam więcej nie ma. Chcesz to sprawdzić? – wyciągnąłem w końcu ciężką artylerię.

– No dobra. Może tak jest. Po prostu ciężko mi uwierzyć, że ktoś po prostu tak sobie poszedł – kręcił głową, ale się poddał.

– Dlaczego? Może pomyślał, że kryjówka nie jest już bezpieczna, bo skoro jedna osoba tam trafiła, to każdy może już wiedzieć – podsunąłem.

– W sumie… rzeczywiście – przyznał. Wygrałem w końcu. Odsunąłem jego podejrzenia.

– Odpalaj – poleciłem. Silnik chodził jak trzeba. Zostały jeszcze tylko mniejsze usterki i samochód mógł znowu służyć swojemu właścicielowi. To było przyjemne w tej pracy. Tylko, że czekały nas jeszcze dwa samochody, a dochodziła już trzynasta. Mieliśmy szczęście, że pojawił się szef i nam pomagał. W ostateczności skończyliśmy poniedziałkowy dzień pracy z niewielką ilością nieskończonych zajęć. Było jasne, że we wtorek od rana czekała nas praca przy samochodzie. Igor odstawił mnie autem do krzyżówki tak, jak poprzednio.

– Do jutra – rzucił, gdy miałem wysiadać.

– Jasne – przyznałem i poszedłem w las. Stwierdziłem wtedy z niepokojem, że dochodziła już osiemnasta. Mieliśmy tego dnia sporo roboty. Miałem trochę więcej niż godzinę na przebycie jakichś pięciu kilometrów i wzięcie prysznica. Dało się zrobić, ale nie dawało mi to ani chwili wytchnienia. Nie było to na

szczęście takie ważne. Zależało mi na rozmowie z rodzicami Ali i nie chciałem się spóźnić, zwłaszcza, że tak zapowiedziałem. No i udało się. Dwie minuty przed czasem stałem przed drzwiami jej mieszkania, ubrany trochę lepiej niż zazwyczaj.

– Cześć – powiedziała mi Ala, która otworzyła mi drzwi.

– Cześć – odparłem i podałem jej czekoladki, które kupiłem w jedynym sklepie, który mijałem po drodze.

– Dziękuję – powiedziała, przyjmując je i wpuściła mnie do środka – Mamo, tato, to Jurek – przedstawiła nas sobie, gdy już weszliśmy do salonu.

– Dobry wieczór – powiedziałem uprzejmie każdemu z nich. Posadzili mnie po lewej ręce pana Szczupaka, który siedział na szczycie.

– Pójdę po kolację – powiedziała pani Szczupak i dała Ali znak, żeby za nią poszła. Obie zniknęły w kuchni.

– Jesteś chłopakiem mojej córki, tak? – zaczął pan domu.

– Tak – odparłem lakonicznie, nie wiedząc, co więcej mógłbym dodać.

– Podobno sam zaproponowałeś to spotkanie. Zaskakujesz mnie. Myślałem, że poznawanie swoich rodziców jest stresujące i że odwleka się te spotkania w nieskończoność – pochwalił mnie.

– Prawdę mówiąc, już kiedyś byliśmy razem, więc jeżeli to policzymy cały czas, to nie jesteśmy w tej sytuacji aż tak szybko – próbowałem być skromny.

– Rzeczywiście – przyznał. – Myślisz, że znajdziemy wspólny temat, czy będziemy tylko uprzejmi? – zażartował, będąc jednocześnie szczerym.

– Prawdę mówiąc, wiem, o czym chcę z panem porozmawiać i najlepiej będzie, jak ta rozmowa odbędzie się w cztery oczy – powiedziałem, pobudzając jego zainteresowanie.

– Dlaczego tak będzie najlepiej? – zaśmiał się.

– Bo jestem Jurek Nowak, poruczniku – rzuciłem ciszej, widząc jak kobiety wracają.

– Muszę się zgodzić – powiedział głośniej udając, że rozmowa była całkiem zwyczajna. – Wesela kosztują strasznie drogo – dodał. Widziałem uśmiech Ali. Jej ojciec trochę mi się odgryzł. Ala musiała pomyśleć, że planowałem się oświadczyć. Ale z drugiej strony jeżeli miałbym to zrobić, to jemu byłoby głupio sprzeciwiać się ślubowi.

– To prawda. Nikogo na to nie stać. Dlatego wszyscy później się żenią. Jak się trochę dorobią – przyznała matka Ali, podając mi półmisek z krokietami. Nałożyłem sobie parę i podałem półmisek dalej.

– Jurek, byłeś w Anglii na studiach, prawda? Dlaczego wróciłeś? – spytała pani domu, zaczynając rozmowę.

– Nie było łatwo z pracą i wróciłem. Tutaj miałem więcej szczęścia – mówiłem na tyle ogólnie, że właściwie nie skłamałem. Kątem oka zauważyłem, że Ala, która siedziała obok mnie, niemal się zaśmiała. Najwidoczniej sama opisałaby uderzenie Jamesa Halisbury'ego inaczej niż, że „nie było łatwo z pracą".

– To znalazłeś tu pracę w zawodzie? – zdziwił się pan Szczupak.

– Nie. Aż tyle szczęścia nie miałem. Pracuję w warsztacie, ale to i tak niezła praca. W moim położeniu poza pracą w zawodzie nie mogłem liczyć na coś ciekawego. Więc wziąłem to od razu – tym razem byłem szczery.

– A kim jesteś z wykształcenia? – tym razem spytała pani domu.

– Jestem fizykiem. Dokładniej, zajmowałem się optyką i trochę astronomią – powiedziałem dosyć dokładnie.

– To chyba nie jest zbyt opłacalne – zasugerował pan Zbigniew.

– Jak się trafi na uniwersytet, to się opłaca. U fizyków i tak jest na to spora szansa. Są nawet takie żarty, że fizyka to najłatwiejsze studia, bo z rozpoczynających studia jest najwyższy odsetek habilitacji – powiedziałem z uśmiechem, ale nie liczyłem na śmiech wśród pozostałych. Uprzejmie się jednak uśmiechnęli.

– Jednak odsetek nie jest aż tak wysoki, żeby każdy miał pewność na pracę – podsumował pan domu.

– Jak widać – poparłem go z drobnym i krótkotrwałym uśmiechem. Ala spojrzała na mój talerz.

– Może porozmawiamy trochę później. Dajmy mu zjeść – zaproponowała. Dopiero wtedy zauważyłem, że nie ruszyłem krokietów. Zacząłem je jeść. Przez następne dwadzieścia minut powiedziałem tylko tyle, że krokiety bardzo mi smakują i nie mijałem się wówczas z prawdą. Nie wiem, czy wszyscy przejęli się tak bardzo tym, że przy początkowej rozmowie nie zacząłem nawet kolacji, ale sami prawie się nie odzywali. Wystarczały im moje potakiwania. Po zakończeniu posiłku pan domu włączył telewizor, ale był problem z odbiorem.

– Będę musiał wejść na dach i przekręcić talerz – powiedział niby to niezadowolony, a jednocześnie spojrzał na mnie wymownie. Wiedziałem, że pojawiła się okazja na rozmowę w cztery oczy.

– Pomogę – zaoferowałem się. Zaraz szliśmy już na dach. Tam odezwał się.

– Chyba nikomu nie rozpowiadasz o mojej przeszłości, co? – zapytał niby lekko, ale zdecydowanie.

– Niby po co? – odparłem pytaniem, co zdarza mi się chyba nazbyt często.

– No i dobrze. Ludzie lubią plotki, a ja nie lubię być ich przedmiotem. I tak długo musiałem czekać zanim przestali na mnie krzywo patrzeć – nie uśmiechał się, ale uspokoił.

– Przecież nie był pan w SB – zmieniłem ton na wyluzowany.

– Nieważne. O czym chciałeś pogadać? Nie mogę tu być za długo. Wiedzą, że wiem jak ustawić talerz – stał się konkretny i spojrzał na mnie badawczo.

– Prowadził pan śledztwo w sprawie zabójstwa mojej matki. Dlaczego się nie udało? – zapytałem prosto z mostu. Trochę się zdenerwował.

– To nie moja wina. Przerosło mnie to – powiedział, usprawiedliwiając się.

– Nie rozumiem, dlaczego to pana przerosło – podzieliłem się swoim zdaniem. – Czytałem akta i widziałem, że działał pan mądrze i pomysłowo. Naprawdę nie miał pan szansy na rozwiązanie?

– Słuchaj. Miałem nadzieję, że przyjadę i potwierdzę to, co było wstępnie ustalone. Ale nie. Starałem się dalej, ale nie mogłem znaleźć nikogo z motywem i sposobnością. Do dzisiaj nie rozumiem tej sprawy. Powinna być prosta, a okazało się, że nic nie pasuje – powiedział, żywo gestykulując i przepraszając swoim tonem.

– Też nic nie widzę. Ale wiem, że rozwiązanie nie jest nieosiągalne. Musi być sensowne. Musiał być jakiś powód. Ktoś musiał coś wiedzieć. To nie może być tak absurdalne, że nie da się na to wpaść – mówiłem zrezygnowanym głosem.

– Może nie było. Ale nikt nie powiedział nic, co mogłoby mi znacząco pomóc – ustawił satelitę. – Wracajmy. Nie powiem ci nic więcej, bo skoro czytałeś akta, to i tak wiesz wszystko, co i ja – dodał, kierując się do włazu.

– Dlaczego nie powiedział pan córce o swojej dawnej pracy? –

zapytałem go z zaskoczenia.

– Lepiej, żeby myślała, że zawsze byłem sprzedawcą – powiedział, zbywając mnie i ruszył na dół.

– Ale przecież mogła się dowiedzieć od kogoś innego. W ogóle nie rozumiem, po co ją pan okłamał. Przecież nie robił pan nic złego – wyrażałem swoje niezrozumienie.

– Nie twoja sprawa. Po prostu nie chcę, żeby widziała we mnie komunistę. Myślisz, że przesadzam? – zaskoczył mnie, pytając o zdanie.

– Zdecydowanie. Nie wiem, dlaczego miałaby tak pomyśleć – uśmiechnąłem się.

– Ale może już za późno. Po co teraz ma się dowiadywać – machnął ręką.

– Przecież powinna wiedzieć. A tak poza tym to miałaby lepszą historię do opowiadania: Mama i tata poznali się podczas przesłuchania. To by było jak te wszystkie pary z kryminałów Agathy Christie – zauważyłem zadowolony z siebie i swojej wypowiedzi.

– O tym nie pomyślałem – uśmiechnął się po raz pierwszy. – Powiem jej zanim sama wyjdzie za mąż.

Wróciliśmy do mieszkania.

– I co, działa? – spytał żonę zaraz po tym, jak znowu zjawiliśmy się w salonie.

– Nie wiem. Włączyłam coś z naziemnej. Tak długo to naprawiałeś – odparła, wzruszając ramionami.

– To możesz już włączyć coś innego – zasugerował pan Zbigniew.

– Ale ja to lubię – droczyła się.

– Znowu „Zmiennicy”? Oni to nadają prawie co roku – poirytował się.

– Ale jest fajne – odparowała jego żona. Wpatrywałem się

w ekran i miałem dziwne uczucie, że kojarzę coś z tego filmu.

– Pewnie, że fajne. Co nie, Jurek? – Ala poparła matkę i zwróciła się do mnie.

– Nie wiem. Nigdy tego nie oglądałem. Ojciec nie lubi Barei. Chociaż widział tylko „Misia” – przyznałem się do swojej ignorancji w sprawach komedii PRL-u.

– Nie żartuj. Przecież „Miś” jest genialny – stwierdziła moja dziewczyna.

– Przełącz. To i tak nie pierwszy odcinek – naciskał pan domu.

– I tak nic ciekawego pewnie nie ma – pani Mariola nie ustępowała.

– Możemy obejrzeć coś na płycie – zaproponowała Ala. Wywołała uśmiechy rodziców.

– Płyta… Pamiętam, jak kupiliśmy wideo. Akurat byłam z tobą w ciąży – jej matka wspominała, patrząc na nią.

– Też pamiętam – przyłączył się jej ojciec. – Mieliśmy drugi magnetowid w okolicy. Wcześniej dorobił się tylko twój ojciec. Miał go już jak pierwszy raz go spotkałem – pod koniec spojrzał na mnie. – Mogłeś oglądać więcej bajek niż inne dzieci.

– Racja. Nie miałem źle – przyznałem i pomyślałem, że powinienem poprawić stosunki z ojcem. Wypadało to zrobić, bo sam coraz poważniej myślałem o ślubie. Może nie za miesiąc, może nie w ciągu roku, ale też nie za dziesięć lat.

– Dobra. Ala, wybierz coś lekkiego – matka zgodziła się na jej propozycję. Zaraz Ala włączyła film. Kiedy szła po płytę, przyjrzałem się jej matce. Była naprawdę atrakcyjna. Co prawda miała teraz koło czterdziestki. Pomyślałem, że dawniej musiała prezentować się naprawdę świetnie. Dlatego zastanowiłem się trochę nad nią. Oczarowała policjanta, który prowadził śledztwo. Czy od razu? Czy mogła sprawić, że źle zbadał sprawę? Nie, to było idiotyczne. Był szczery, kiedy ze mną

rozmawiał. Naprawdę chciał znaleźć zabójcę. W takim razie plotki o moim ojcu i matce Ali nie były prawdziwe. Dlaczego miałaby zostawiać dobrze zapowiadającego się polityka dla policjanta? Może to on tak chciał, żeby nie dopuścić głosów, że zabił żonę. Mógł się ich obawiać, skoro nie ujęto sprawcy. Ale to wszystko nie miało przecież znaczenia. Najważniejsze było pewne: ani ojciec, ani pani Mariola nie zabili mamy. O reszcie mogłem szczerze pogadać z ojcem. I postanowiłem, że tak zrobię. Około dwudziestej drugiej wyszedłem od nich. Ala odstawiła mnie do drzwi i jeszcze chwilę rozmawialiśmy.

– Nieźle to wyszło. Ale nie wiem dlaczego chciałeś, żeby doszło do tego spotkania – uśmiechała się z zadowoleniem. Zauważyłem, że chce odpowiedzi.

– Po prostu chciałem, żeby mnie poznali – skłamałem. Żałowałem, że użyłem takiego kłamstwa, w które i tak nie mogła uwierzyć. Pewnie tylko podsuwałem jej myśli o większym zaangażowaniu.

– No jasne – uśmiechnęła się szerzej. – Ale nigdy nie widziałeś ”Zmienników”? Marian Koniuszko jest najlepszy. Taki blondyn, co nie umiał dobrze jeździć, a inna dziewczyna się za niego przebierała i jeździła taksówką – rozwinęła się. Widać było, że bardzo lubi ten serial. Zauważyła jednak, że mnie to nie interesowało.

– Dobranoc – powiedziałem i pocałowałem ją tylko w policzek.

– Dobranoc – odparła, a zaraz potem zamknęła drzwi. Wychodząc z budynku nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że atmosfera ślubu unosiła się w powietrzu. Wszystko, co mówiłem, rozumiała jako uzasadnione nadchodzącymi oświadczynami. Chyba wręcz tego oczekiwała. Myśląc nad tym, udałem się do ojca. Stanąłem przed domem dopiero przed

jedenastą.

– Cześć. Co tu robisz o tej porze? – powiedział ze zdziwieniem, kiedy otworzył mi drzwi.

– Ale mogę wejść? – znowu na początek odparłem pytaniem.

– Jasne – wpuścił mnie do środka – Pomyślałbym, że wróciłeś, ale wygląda na to, że nie masz swoich rzeczy.

– Chciałem tylko z tobą pogadać – wyjaśniłem.

– W porządku – poszliśmy do dużego pokoju i usiedliśmy. – O czym chciałeś porozmawiać?

– O tobie – powiedziałem niekonkretnie.

– A dokładniej – powiedział zachęcająco i uczynił podobny gest ręką.

– O tym, czy byłeś szczęśliwy z mamą – przybliżyłem temat. Zaskoczyłem go, ale był spokojny.

– Jurek, będę z tobą szczery. Nie zawsze – przyznał. – Ale chyba wiesz, że to się zdarza – dodał.

– To wiem. Ale chciałem wiedzieć, czy jak jeszcze żyła to nie miałeś jeszcze kogoś – byłem coraz dokładniejszy, a mimo to ojciec był w najzupełniej spokoju.

– Dlaczego o to pytasz? – zapytał z zainteresowaniem.

– Bo trochę przed śmiercią mamy mówili w okolicy, że masz kogoś na boku. I że to była Mariola Szczupak. A wtedy miała inaczej na nazwisko – przytoczyłem plotkę sprzed lat, która mnie niepokoiła.

– Tak gadali, możliwe – zgodził się.

– A mieli rację? – drążyłem, bo nie chciał odpowiedzieć.

– A jeśli tak? – odpowiedział pytaniem, co mnie zdenerwowało.

– Po prostu chcę wiedzieć! – wstałem i niemal krzyknąłem. Przez chwilę patrzyłem ze złością na ojca. Traktował mnie jak przeciwnika w debacie i doprowadził do wściekłości.

– No dobrze. To była prawda. Ale to nie było nic poważnego. Zresztą musisz się tego domyślać. Wiesz za kogo wyszła, bo w końcu mówią, że łączy cię coś z jego córką – odpowiedział na moje pytanie, ale zmienił też później temat. Był dobry w rozmowach.

– No pewnie. Chcę się oświadczyć. Weźmiemy cywilny ślub, a jak jej będzie bardzo zależało, to i kościelny. I chciałem, żebyś był ze mną szczery, bo nie mam zamiaru mieć z tobą konfliktu jak będę się żenił – wyjawiłem mu swoje plany, które nagle nabrały kształtów. Ale już byłem pewien. Zapadła decyzja, że nie cofnę się w czasie. Postanowiłem żyć dalej i próbować szczęścia jednak w przyszłości, a nie w przeszłości.

– Chyba wypada mi pogratulować ci nawet jeśli zawczasu – wyciągnął rękę.

– Dzięki, tato – uśmiechnąłem się do niego. Nie był taki zły.

– Może już zostaniesz? Późno się zrobiło – zaproponował mi uprzejmie, ale nie mogłem na to przystać.

– Nie mogę. Muszę wracać do siebie – odmówiłem zatem.

– Czyli dokąd? – spytał. Widocznie nurtowało go to, że nie wiedział.

– Może kiedyś ci powiem – uśmiechnąłem się i poszedłem sobie. Byłem zadowolony, że ojciec przyznał się do tego romansu. Wcześniej miałem nadzieję, że to po prostu nie była prawda, ale po rozmowie cieszyłem się chociaż z tego, że wiedziałem. Zaczęło akurat padać. Wszedłem pod drzewa mimo, że asfaltem szłoby się wygodniej, wolałem jednak zmoknąć mniej. Idąc, uświadomiłem sobie, że profesor miał rację, mówiąc o cofaniu się w czasie i o tym, że nie mógłbym się cofnąć drugi raz, bo prawdopodobnie nie spotkalibyśmy się w takich okolicznościach. Miał też rację, że naprawdę mała rzecz mogła to uniemożliwić. Tak samo było z innymi

sprawami. Przecież Kościuk miał przed sobą łatwą sprawę. Był mocny podejrzany, do którego należało narzędzie zbrodni i odciski palców na nim. Nie miał dobrego alibi. Gdyby Kościuk nie poprosił o pomoc albo w toku sprawy ją odwołał, prawdopodobnie skazano by tamtego człowieka. Jego życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Ale nie tylko jego. Przecież przyjechał porucznik Szczupak. Uwolnił podejrzanego od oskarżenia, ale też zakochał się i został tu, zakładając rodzinę. I miał córkę, Alę. Nie byłoby jej bez skromnej postawy komendanta. Ale może inne życia też potoczyłyby się inaczej. Może ojciec jednak ożeniłby się z obecną panią Szczupak. Może mieliby dziecko, może nawet córkę i miałbym siostrę zamiast dziewczyny. Kilka żywotów mogłoby ułożyć się zupełnie inaczej. W tym mój. Niesamowite, ale prawdziwe. To decyzje, które podejmujemy, tworzą przyszłość. Moja podróż w czasie mogłaby coś zmienić, ale po raz pierwszy pomyślałem czy miałem w ogóle prawo do tej podróży. Mogłem uniemożliwić komuś podjęcie jakiejś decyzji. Miałby inny wybór. Niby nie zniszczyłbym nikomu życia. Po prostu od pewnego momentu podejmowałby decyzje w sytuacjach w jakich by był, ale jednak to byłoby coś innego. Bo wpłynąłbym na to z zewnątrz. Sam nie do końca to rozumiałem, ale pojawiły się opory. Zostawiłem je jednak. Nie miały żadnego znaczenia, bo decyzja została podjęta. Decyzja, że nie będzie decyzji po poznaniu skutków.

W domku profesora pojawiłem się mokry, ale nie przemoczony do suchej nitki. Zdjąłem buty i kurtkę i miałem zamiar się przebrać. Zapaliłem światło i zobaczyłem, że na kanapie siedziała Ala.

– Cześć – przywitała się. Siedziała na łóżku.

– Cześć – odparłem zaskoczony. – Co tu robisz o takiej porze?

– Stęskniłam się. I dowiedziałam się dziwnych rzeczy –

spojrzała na mnie jakbym wiedział o tych rzeczach. Domyśliłem się, o co może chodzić.

– Powiedzieli ci jak naprawdę się poznali – uśmiechnąłem się krzywo prawą stroną ust.

– Tak. Powiedzieli i nie przeszkadza mi to, czego się dowiedziałam – była dość poważna – Ale trochę mnie denerwuje, że ty wiedziałeś wcześniej – dodała jeszcze poważniej.

– Dziwiło mnie, że nie wiesz – przyznałem współczująco.

– Ale dlaczego mi nie powiedziałeś? – rzuciła oskarżycielsko.

– Nie byłem pewien, czy nie wiesz. Mogłaś po prostu nie powiedzieć mi prawdy – tłumaczyłem się i ugryzłem się w język po ostatnim słowie, ale było na to za późno.

– Myślałeś, że cię okłamałam? – zdenerwowałem ją.

– Myślałem, że może ojciec nie chciał, żebyś to rozpowiadała. Ludzie nie lubili milicji – próbowałem załagodzić powstałą sytuację.

– Wiem – udało mi się, westchnęła. – Ale było mi głupio, że coś mi sugerowałeś, a ja myślałam, że wiem lepiej. Od kiedy ty to wiedziałeś? – opuściła wzrok. Usiadłem obok niej i ją objąłem.

– Odkąd dostałem do ręki akta, zacząłem podejrzewać. Pewności nabrałem po rozmowie z proboszczem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Z proboszczem? To o czym wy rozmawialiście? – zdziwiła się i podniosła głowę.

– O różnych sprawach – powiedziałem wymijająco. Wstałem i zacząłem grzebać w torbie – O tym też – dodałem, stając przed nią z rękami za plecami.

– O czym ty gadasz? – zapytała zbita z tropu. Uklęknąłem.

– Czy zostaniesz moją żoną? – spytałem, pokazując

pierścionek. Trochę nie podobało mi się, że nie kupiłem go pierwotnie dla niej, ale przecież to nie miało znaczenia.

– Tak – powiedziała spokojnie, ale zaraz rzuciła mi się na szyję i przewróciła mnie. Zabolało, ale sytuacja była zabawna, więc się śmialiśmy. To wszystko wydawało się dziwaczne. Jeszcze parę dni wcześniej byłem opanowany myślami o mojej matce i o tym, żeby cofnąć się w czasie i ją uratować. A wtedy wydawało mi się, że całe nieszczęście świata akurat przytrafiło się mnie. To było pierwsze takie uczucie odkąd pamiętałem. Zawsze wszystko przysłaniało tamto morderstwo. Ale wtedy, chociaż mogłem mu zapobiec i chociaż wiedziałem sporo o samej sprawie od niedawna i chociaż nie mogłem odkryć prawdy, wtedy właśnie ta obsesja mnie opuściła. Już nie musiałem cofać się w czasie, żeby naprawić swoją psychikę. Jakoś samo się wszystko naprawiło.

– Nie będę mogła dzisiaj zostać – powiedziała po paru minutach jakiejś dziwnej umysłowej nieobecności.

– Szkoda – z jednej strony powiedziałem to szczerze, ale z drugiej miałem zamiar jeszcze porozmawiać z profesorem, zanim pójdę do pracy. Musieliśmy ustalić jeszcze pewne szczegóły.

Całą drogę, którą ją odprowadzałem, byliśmy uśmiechnięci, ale i milczący.

– Dzięki, że mnie odprowadziłeś – powiedziała pod swoją kamienicą.

– Nie ma za co. Miałem więcej powodów niż zwykle – odpowiedziałem, wymuszając u niej zainteresowanie.

– Więcej? – zapytała, tak jak sądziłem.

– Gdyby cię teraz napadli, kosztowałoby mnie to wyjątkowo dużo – nawiązałem do pierścionka, który miała na palcu od kilkudziesięciu minut.

– Dlaczego mój pierścionek miałby coś ciebie kosztować? – przekomarzała się. Uśmiechnąłem się do niej.

– Może kupiłbyś sobie telefon, żebyśmy mogli się umawiać jakoś inaczej – zaproponowała. Miało to dużo sensu. Podała mi karteczkę. – Zapisałam tu swój numer.

– Dobry pomysł – odparłem, chowając karteczkę do kieszeni.

– No, to… Dobranoc po raz drugi – powiedziałem, próbując się rozstać.

– No, dobranoc – rzuciła i poszła na górę. Trochę mnie to zaskoczyło, ale zacząłem drogę powrotną. Po przejściu parunastu metrów, nagle miałem coś na plecach. To Ala dogoniła mnie bezgłośnie.

– Nie pocałowałeś mnie na dobranoc – powiedziała tonem skargi, kiedy staliśmy już twarzą w twarz. Nie wahałem się długo i tym razem pocałowałem ją już zwyczajnie w usta. Ale przeciągnęło się to na parę minut. Kiedy się jednak skończyło, wracałem do siebie. Zadowolony z życia jak nigdy dotąd.

XI

„Przerażająca możliwość”

Pobudzony swoimi zaręczynami, wszedłem do domku w lesie w ogóle nie zmęczony. Chciałem zamienić parę słów z profesorem, ale nagle dotarło do mnie, że mógł już się położyć i czekać na wielki dzień, wtorek, w którym odbędzie się podróż w czasie. I zdałem sobie sprawę, że był już wtorek od jakiejś godziny. Mógł to być wielki dzień dla nauki, ale przecież świat nauki miał się o tym nigdy nie dowiedzieć. I to nie podlegało dyskusji. Najbardziej spektakularne odkrycie profesora Porazińskiego musiało zostać jego sekretem. Nacisnąłem dzwonek pełen obaw, że przerwę odpoczynek tego wybitnego uczonego swoim trywialnym pytaniem. Właz jednak otworzył się po niedługim oczekiwaniu. Wyglądało na to, że nie obudziłem swojego gospodarza. Zszedłem na dół bez wahania. Profesor dokonywał jakichś obliczeń.

– Mam nadzieję, że pana nie obudziłem – zacząłem grzecznie, chociaż wiedziałem dobrze, że nie mogłem.

– Skąd. Siedzę i nie mogę zasnąć. Zacząłem robić jakieś bezsensowne, skomplikowane obliczenia, żeby się zmęczyć – powiedział z uśmiechem.

– To… Chciałem tylko pana uprzedzić, że nie odbędę swojej podróży w czasie – zapowiedziałem po chwili zawahania, czy powinienem do tego przejść od razu.

– W porządku. Mam zapasowy plan. Polecę w swoją – przyjął moją wypowiedź bez emocji.

– Czy mógłbym być przy tym? – zapytałem, bo mimo wszystko świadomość, że podróż w czasie może się odbyć, była

na tyle oddziałująca na moją wyobraźnię, że chciałem chociaż widzieć, jak się zaczyna.

– Oczywiście – zgodził się, wzruszając ramionami.

– A o której ma pan zamiar przeprowadzić eksperyment? – próbowałem wyciągnąć ostatni szczegół.

– Myślę, że o piętnastej będę gotów – powiedział bez zdecydowania.

– Aha. Szkoda. Muszę pójść do pracy. Mógłby pan to trochę przesunąć? – poprosiłem z nadzieją.

– Mógłbym. W końcu masz w tym swój udział. Niech będzie o dwudziestej – przystał na moją prośbę.

– Dziękuję bardzo, profesorze. Nie spóźnię się – mówiłem zapewniająco.

– Nie ma za co. Proszę się położyć. Ja mogę posiedzieć tutaj, ale skoro masz pracę, to się połóż – pożegnał mnie uprzejmie. Nie wiem, czy o to mu chodziło, czy po prostu chciał zostać sam.

– Dobranoc – rzuciłem i wszedłem na drabinę. Odpowiedział mi i wrócił do zadań.

Nie spałem dobrze. Niby kładłem się zadowolony, ale w ciągu nocy nachodziły mnie niepokojące myśli. Wpływały na to, że sny były nieprzyjemne i, ogólnie rzecz biorąc, wstałem zmęczony i wystraszony. W głowie miałem tylko dziwaczną teorię. Nie byłem w stanie jej potwierdzić ani jej zaprzeczyć, ale stanowiła sensowne wytłumaczenie zagadki morderstwa mojej matki sprzed lat. Nagle, tej jednej nocy dotarło do mnie, że blondyn, taksówkarz, którego zapamiętałem z tamtego wieczoru, to Marian Koniuszko ze „Zmienników”. A przecież mój ojciec nigdy ich nie oglądał. Jak kiedyś o tym rozmawialiśmy, to powiedział, że „Miś” mu się nie podobał i nie ma zamiaru obejrzeć nic innego Stanisława Barei. A jeżeli

wtedy obejrzeliśmy „Zmienników”? Nie oglądałby ich dla przyjemności. I tu dochodził kolejny element. Tylko on miał magnetowid w tamtych czasach, a kobieta, z którą miał romans, była fanką tego serialu. Wymyśliłem, że mogłaby zabić moją matkę. Później ojciec pożyczył jej kasetę i magnetowid. Do czasu przyjazdu Szczupaka obejrzała ten odcinek i miała alibi. A nóż i odciski tamtego faceta? Mogła ukraść nóż, albo moja matka mogła go zabrać widząc, że mężczyzna był agresywny. Podobno zdarzały jej się takie zachowania. Tylko jedna rzecz była dziwna. Porucznik Szczupak ożenił się z Mariolą Kwaśniak. Czy zatem miało sens, że zabiła moją matkę dla mojego ojca? To też można było wytłumaczyć. Bała się, że jeżeli wyjdzie za mojego ojca, to tylko wzbudzi podejrzenia. A może porucznik wiedział więcej, ale zakochał się w niej i ją krył? Wszystko mogłoby się ułożyć w całość, ale nie musiało. Nie chciałem, żeby tak było, ale ta myśl mnie nie opuszczała. To jedyne sensowne, co udało mi się ułożyć z faktów, które znałem. Dlatego nie opuszczało mnie to i przerażało, że to mogła być prawda. Wyszedłem do pracy w poczuciu, że mój ojciec mógł zaplanować zabójstwo matki. To nie było przyjemne uczucie. Ale przecież to nie było całe moje życie, zwłaszcza, że to była tylko możliwość. Igor przypomniał mi, że są inne ważne sprawy.

– Gratulacje, Jurek – to pierwsze, co do mnie powiedział we wtorek z rana.

– Jakie gratulacje, człowieku? – zaskoczył mnie porządnie, kiedy akurat myślałem o tym, co dręczyło mnie odkąd się obudziłem. Śmiał się ze mnie:

– „Jakie gratulacje”. Dobre. Przecież się żenisz – powiedział przez śmiech.

– No tak, ale skąd ty o tym wiesz? – zupełnie zapomniałem, że

mieszkamy w takiej dziurze. Przez jakieś osiem godzin prawdopodobnie wszyscy wiedzieli już o tym, że oświadczyłem się Ali. A przecież te osiem godzin to była noc. Niesamowite.

– Jakoś do mnie doszło. Pewnie to wina Internetu – wzruszył ramionami. – Wiem od żony, jeśli o to ci chodzi.

– Internet? Więc możliwe, że jeszcze nie wszyscy wiedzą – powiedziałem z pewnym zadowoleniem.

– Zanim wrócisz z pracy, już będą wiedzieć – Igor powiedział żartobliwie.

– Pewnie tak – przyznałem. Już zapomniałem jak się tu mieszka, ale miało to też swój urok. Przez jeden dzień miałem być na ustach wszystkich. Ja, po raz pierwszy, odkąd wyjechałem. Pierwszy raz to miało być coś pozytywnego bez dwóch zdań. Ale czekała praca i myślałem sobie dalej, używając narzędzi i zastanawiając się, co mogło być przyczyną niesprawności samochodu, którym się zajmowałem. Pomyślałem też o tym, że oświadczyłem się, bo wszyscy to sugerowali. Może i chciałem tego ślubu. Raczej tak. Byłem zadowolony z decyzji w tej sprawie, ale nie przemyślałem przecież niczego, co dotyczyło ślubu. Nie postanowiliśmy jeszcze czy będzie ślub kościelny, gdzie ma się to wszystko odbyć, na ile osób i za co wyprawimy wesele, gdzie będziemy mieszkać? W ogóle nie miałem pojęcia, jak to wszystko rozegrać. W sumie jednak to nie był przecież żaden problem. Wystarczyło spotkać się z Alą i pogadać. No właśnie. Miałem kupić telefon, żeby się z nią umówić.

– Igor – zawołałem go, bo nie widziałem go znad maski.

– Co jest? – zapytał, wychylając się spod „swojego” samochodu.

– Dzisiaj też mnie zabierzesz po pracy? – zapytałem naokoło.

– Co się głupio pytasz? Zawsze cię zabieram – powiedział

zupełnie zaskoczony pytaniem. Jakby się trochę obraził, że mogłem pomyśleć, że mógłby mnie nie zabrać.

– No wiem. Mógłbyś mnie dzisiaj zawieźć pod sklep u mnie na wsi? Muszę kupić doładowanie do telefonu – wyłożyłem przysłowiową kawę na ławę.

– Pewnie. Mówiłem ci od dawna, żebyś wrócił do domu – poczuł się dumny, że miał rację i w końcu wracałem do ojca. Tylko, że nie miałem takiego zamiaru. Chociaż… W tamtym momencie pomyślałem, że i tak tego nie uniknę, bo przecież nie mogłem się już ukrywać w lesie. Rodzice Ali pewnie chcieliby się zobaczyć z ojcem. Zresztą profesor nie za bardzo lubił moje towarzystwo albo w ogóle towarzystwo i po eksperymencie nie miałbym po co zostawać w jego domku.

– Wiesz co, Igor. Podrzuć mnie na krzyżówkę. Muszę zabrać stamtąd swoje rzeczy – powiedziałem mu o swoim zamiarze. – Jest szansa, że poczekasz i zawieziesz mnie z bagażami pod sklep? – zacząłem prosić o poświęcenie już większej ilości czasu.

– Czy ja wiem? Zrobimy tak… – zatrzymał się na chwilę, a ja czekałem na propozycję. – Widzę, że zaraz skończysz swoją robotę. Jak mi później pomożesz i skończymy do czwartej, to zrobię dla Ciebie ten kurs – jasno postawił sprawę. I bardzo sensownie. Oszczędzimy czas w pracy to będzie mógł stracić trochę po niej.

– Pewnie. Zaraz dołączę do twojej roboty. Dzięki – powiedziałem zadowolony, że propozycja była uczciwa, sensowna i dlatego, że po skończeniu swojej roboty i tak pewnie bym mu pomógł.

Udało się. Szef puścił nas punkt czwarta, bo nie było sensu trzymać nas dłużej. Niedługo później dojeżdżaliśmy do krzyżówki. Wjechaliśmy nawet w las dokąd się dało.

– Nic dziwnego, że nic nie wiem o tym domku – stwierdził Igor, wysiadając. – Nawet stąd go nie widać.

– No pewnie, że nie. Inaczej bym do niego sam trafił za pierwszym razem – powiedziałem może trochę protekcjonalnie.

– Przypomina mi się „Królewna Śnieżka” jak widzę takie coś – skomentował widok domku z odległości jakichś stu metrów, kiedy to dopiero zaczął być dla nas widoczny. Nie mogłem się nie zaśmiać.

– Nigdy o tym nie pomyślałem – rzuciłem, chichocząc.

– Ale tak poważnie, to nie ma już takich bajek. Jak czasem włączę jakiś kanał z bajkami to się załamuję. Zastanawiam się czy nie zrobić tak, żeby nie mieć tych kanałów i samemu kupić trochę starych bajek albo pościągać, żeby dziecka mi nie ogłupiali za bardzo – powiedział, kręcąc głową.

– Kiedyś rzeczywiście robili lepsze. Jak coś tylko puścili w telewizji, to mi ojciec nagrywał, a nawet parę mam kupionych na VHS – powiedziałem tonem nostalgii.

– Wtedy nie myśleliśmy, że kiedyś już nikt nie będzie miał magnetowidu – Igor też dał się wciągnąć w nastrój. Tymczasem doszliśmy do domku. Na szczęście profesor musiał być na dole, ale chwilę przed wejściem denerwowałem się lekko, czy nie spotkam go na parterze. Chwyciłem torbę, a Igorowi podałem plecak.

– Nie wygłupiaj się – machnął ręką. Założyłem więc plecak, a torbę chwyciliśmy we dwóch. Była na tyle ciężka i niewygodna, że szliśmy trochę wolniej niż w poprzednią stronę. Po kilku minutach jednak włożyliśmy torbę do bagażnika i jechaliśmy na wstecznym do krzyżówki.

– Trochę cię to wykręci – zaśmiałem się, widząc jak prawie kilometr Igor patrzył w tylną szybę siedząc z wykręconą szyją.

– Luz – zbył moją uwagę zawadiackim uśmieszkiem. Trwało

to parę minut aż wróciliśmy na asfalt i ruszyliśmy do mojej wioski. Droga tam trwała krócej niż cofanie przez las chociaż było dwa razy dalej.

– Wielkie dzięki – rzuciłem, podając mu dłoń przez okno, kiedy miałem już przy sobie torbę i plecak.

– Nie ma sprawy. Ważne, że już tam nie mieszkasz. Kto wie, kto mógł tam się chować – próbował przekonać mnie, że robił to, bo to dowodziło jego racji, a nie z uprzejmości. Zaraz odjechał. Zostawiłem torbę przed wejściem i wszedłem do sklepu.

– O witam, witam – rzuciła z uśmiechem sklepikarka. – Chodzą słuchy, że ktoś się żeni – dodała wesoło. Igor miał rację mówiąc, że to już będzie wiadomość, którą znają wszyscy kiedy skończymy pracę.

– Widzę, że nie uda mi się tego ukryć, pani Marysiu – powiedziałem też się uśmiechając.

– Gratulacje. A gdzie będziecie mieszkać? – spytała, zaskakując mnie. Myślałem przecież o tym tyle, że nie myślałem wcześniej.

– Zobaczymy – odparłem dyplomatycznie. Ciągle się uśmiechała. Lubiła jak coś się działo i lubiła śluby. Nie było powodu, dla którego miałoby mi to przeszkadzać, ale chciałem tylko kupić doładowanie do telefonu i nie chciałem, żeby rozmowa trwała jakoś długo przy krótkich zakupach.

– No, ale co podać? – zreflektowała się ku mojemu zadowoleniu.

– Chciałem doładowanie do telefonu – złożyłem zamówienie.

– Za ile? – zapytała pokazując, że jest jakiś wybór. Spojrzałem na różne napisy i zdecydowałem.

– Za dwadzieścia – wybrałem średnią opcję.

– Ale którego operatora? – „Nie chciała dać mi dokończyć

zakupów”. Taka była moja złośliwa myśl.

– Pierwszego z brzegu – to nie miało znaczenia, więc wybrałem szybko.

– Proszę bardzo. Na tym jest instrukcja doładowania – podała mi wydruk.

– Dziękuję. I jeszcze coś najlepiej gotowego na obiad. Żebym tylko musiał zagrzać – u profesora jadałem właściwie tylko kanapki, bo ani mi się nie chciało nic robić ani nic specjalnego nie było w lodówce.

– To wszystko? – spytała, podnosząc wzrok znad kasy fiskalnej.

– Tak – podałem jej pieniądze zanim podała cenę. Równie sprawnie wydała mi resztę.

– Wszystkiego dobrego na nowej drodze życia! – rzuciła na pożegnanie.

– Dziękuję bardzo. Do zobaczenia – rzuciłem, uśmiechając się delikatnie i poszedłem. Wróciłem do domu. Po drodze nikt nic do mnie nie mówił, ale parę osób się uśmiechnęło. Jak tylko wszedłem zobaczyłem ojca.

– Cześć – machnąłem mu ręką – Wróciłem.

– Świetnie – powiedział zadowolony. Byłem ciekaw czy cieszył się z samego powrotu, czy z tego, że się poddałem i skorzystałem z domu. Poszedłem do swojego pokoju. Zostawiłem rzeczy i zszedłem zjeść. Wsadziłem jedzenie do mikrofalówki i wszedłem na chwilę na górę. Zacząłem się zastanawiać, po co to zrobiłem. Nie miałem powodu zaglądać na piętro albo zapomniałem powodu. Dlatego nie wszedłem do swojego pokoju w nadziei, że przypomnę sobie czego zapomniałem. Zamiast tego zajrzałem do szafy w nieużywanym pokoju. Nie wiem, dlaczego zacząłem grzebać w szafie, ale znalazłem tam magnetowid i kilka kaset. Uśmiechnąłem się na

ich widok. Już tego dnia wspominałem stare bajki z Igorem. Pomyślałem, że oddam mu kasety z bajkami i magnetowid. Zdecydowałem tak zrobić, jak tylko zjem. Wszystko było w jakichś reklamówkach i nie musiałem się martwić, w co je zapakować. Zniosłem reklamówki na dół i jak postawiłem je w przedpokoju zabrzmiał dzwonek oznaczający upływ czasu, który wyznaczyłem na podgrzanie kupnego obiadu. Zjadłem go chętnie chociaż nie był zbyt smaczny, ale przecież mówi się, że głód jest najlepszym doradcą. A nie licząc kolacji z rodzicami Ali, był to mój pierwszy ciepły posiłek od sześciu dni. To, że był to gotowy posiłek miało też plusy. Nie musiałem zmywać (nie licząc widelca). Najedzony odszukałem ojca.

– Mogę pożyczyć samochód? – zapytałem, jak tylko go zobaczyłem.

– Rano będę go potrzebował – postawił od razu warunek.

– Ja nie będę go potrzebował tak długo. Wróci do tej pory – powiedziałem ugodowo i zgodnie z prawdą.

– Dobra – zgodził się i poszedł ze mną na przedpokój. Podał mi kluczyki z płaszcza. – Nie zapomnij zamknąć garażu – pouczył mnie na koniec.

– Jasne – uśmiechnąłem się i zabrałem kluczyki i torby po czym opuściłem dom. Garaż otworzyłem z łatwością, bo nie był zamknięty na nic poza „klamką”. Z bramą też poszło łatwo. Otworzyłem samochód i położyłem reklamówki na miejscu pasażera z przodu. Następnie wsiadłem na miejsce kierowcy. Dopasowałem fotel i lusterka i wyjechałem z posesji. Musiałem wysiąść, zamknąć garaż i bramę. Dopiero wtedy zacząłem swoją podróż do domu Igora. To był stary dom, który wynajmował, ale kiedy dowiedział się, że nie będzie mógł go kupić, a właściciel nie miał zamiaru go remontować, Igor zaczął budować się w innym miejscu przy użyciu taniej siły roboczej, jaką była

ekipa Pawlickiego.

– Cześć. Co cię przywiodło? – powitał mnie w nie do końca zwyczajnych słowach.

– Wszyscy jesteście w domu? – spytałem go, zaglądając do środka.

– Tak. To źle? – zaśmiał się.

– Przeciwnie – powiedziałem, uśmiechając się tajemniczo – Mogę wejść?

– Wchodź – wpuścił mnie trochę zawstydzony, że mu to zasugerowałem. Zaprowadził mnie do salonu.

– Cześć – powitałem jego żonę. – Chciałem przeprosić za moje zachowanie poprzednim razem – dodałem, podając jej reklamówki. – Może to poprawi wasze zdanie o mnie.

– A co to? – zdziwiła się.

– Trochę kaset z bajkami. Igor mówił, że chciał jakieś stare bajki dla dziecka. Znalazłem i przyniosłem – wyjaśniłem tonem oczywistości.

– Dzięki – powiedziała uprzejmie. – Nie gniewam się – dodała i machnęła ręką. Igor ucieszył się bardziej.

– Zaraz to podłączę. Sam sobie chętnie coś obejrzę – rzucił entuzjastycznie i z miejsca zaczął podłączanie.

– Cieszę się, że się przyda – powiedziałem z zadowoleniem i ruszyłem do wyjścia.

– Zostań, to coś obejrzymy – zasugerował Igor odwracając się od sprzętu.

– Muszę iść – skrzywiłem się.

– To chociaż daj mi swój numer jak już masz – ustąpił o krok.

– No mam już – przyznałem i wyjąłem telefon. Doładowałem go w drodze ze sklepu – Przepisz sobie – rzuciłem lekko i podałem mu swój telefon.

– Dzięki – oddał mi go po parunastu sekundach. – Bateria

zaraz ci padnie – zauważył.

– Wrócę do domu, to go naładuję. Na razie – pożegnałem się radośnie i wyszedłem odprowadzony do drzwi przez kolegę. Pojechałem z powrotem i wszedłem do domu zadowolony z siebie. Podłączyłem telefon do prądu, a sam poszedłem pod prysznic. Miałem zamiar być świeży przed podróżą w czasie profesora. To w końcu miał być wielki przełom w nauce, choć nikt nie miał się nigdy o nim dowiedzieć. Świeży napisałem do Ali, żeby umówić się z nią na następny dzień. Odpisała jednak, że nie może czekać, więc zaproponowałem godzinę dwudziestą trzecią. Powinno już być po eksperymencie. Zaraz jednak zadzwonił Igor.

– Słucham? – zacząłem po odebraniu.

– Igor mówi – usłyszałem. To w zasadzie było dla mnie oczywiste. To nie był numer Ali, a tylko on oprócz niej miał mój.

– Co się stało? – nie spodziewałem się jego telefonu.

– Oglądam sobie właśnie „Krecika”. Szkoda, że nie zostałeś. Fajne uczucie – powiedział nostalgicznie.

– Kiedyś wpadnę na coś do ciebie – obiecałem, a przynajmniej chciałem tak zabrzmieć.

– Kurde, co jest? – powiedział głośniej.

– Do mnie mówisz? – powiedziałem niby to oburzony, ale nie rozumiałem, dlaczego miałby coś takiego powiedzieć.

– Nie. „Krecik” się skończył i jakiś polski serial leci, ale nie od początku – powiedział uspokajająco. Nie uspokoił mnie jednak. Zdawało mi się, że to najgorsze co mogłem usłyszeć. Nie odzywałem się przez chwilę.

– Jurek? Stało się coś? – zapytał z lekkim niepokojem.

– Nie – powiedziałem w osłupieniu. – Czy to „Zmiennicy”? – zapytałem z trwogą. Nieliczne sekundy dzielące pytanie od

odpowiedzi trwały dla mnie wiele godzin.

– Chyba tak. Był jakiś taksówkarz, co nie umie jeździć. Ale tylko parę sekund. Dalej jest „Rumcajs” – mówił wesoło. – Więc się nie martw, to tylko parę sekund. Poza tym są bajki – znów uspokajał. Musiał wyczuć, że mój głos nie był pewny. Wszystko zaczęło pasować do przerażającej możliwości, która powstała w mojej głowie nad ranem. Nagrany serial stanowił dowód. Może niewystarczający, ale dla mnie tak. Potwierdzał się element, który zabierał alibi matce Ali. Jednak tylko wtedy, gdyby ojciec stanowczo zaprzeczył, że kiedykolwiek widział ten serial. Musiałem działać.

– Igor, masz w domu drugi magnetowid? – zapytałem go już pewnym głosem. Miałem plan.

– Raczej tak. Jakbym poszukał, to bym znalazł – odpowiedział beznamiętnie.

– Mógłbyś to zrobić? I mógłbyś przegrać mi tę kasetę, którą oglądasz? W całości – wyłożyłem swoją prośbę.

– Przecież to twoja kaseta – powiedział z lekkim śmiechem.

– To przegraj sobie. Potrzebne mi dwie takie – byłem stanowczy.

– Dobra, jak chcesz. Zaraz to zrobię – powiedział lekko obruszony.

– Wielkie dzięki. Ile ci to zajmie? – spytałem, opanowując entuzjazm.

– Tych bajek jest ze dwie godziny. Plus znalezienie wideo i jakiejś czystej kasety… Ze trzy. Po dziesiątej będę miał kopię – wyliczył.

– Będę u ciebie wpół do jedenastej – rozłączyłem się. Należało wprowadzić w życie kolejny punkt planu. Musiałem pojechać na policję. Jak bardzo byliby nieporadni, i tak tylko oni mieli prawo do aresztowania. Wziąłem samochód po raz drugi i pojechałem.

Na komisariacie zastałem tych samych funkcjonariuszy, co w niedzielę. Podszedłem do tego, który poprzednim razem bezinteresownie mi pomógł.

– O, to znowu pan! – nawet można powiedzieć, że ucieszył się na mój widok.

– Chciałem oddać akta. Już się z nimi zapoznałem – podałem mu teczkę z protokołami i raportami.

– I co? Pewnie to i tak nic nie dało – powiedział współczująco.

– Rzeczywiście – przyznałem. – Ale mimo to, znam już prawdę – dodałem pewnie, co ożywiło policjanta.

– Żartuje pan? – zapytał z pełnym zaskoczeniem, nie siedząc już tak luzacko, jak na początku.

– Wcale nie – pokręciłem z zadowoleniem głową.

– I można to udowodnić? – był już podekscytowany.

– Można. Właściwie mam dowód, ale żeby był dowodem także dla sądu muszę dowieść jeszcze czegoś. I nie uda mi się to bez pomocy policji – powiedziałem optymistycznie, trochę grając na ambicji rozmówcy. – A myślę, że chętnie rozwiążecie sprawę, która kładła się cieniem na karierze komendanta – to musiało chwycić. Sukces dawał im w końcu możliwość awansu.

– Może jesteśmy zainteresowani – przyznał drugi z policjantów, starszy stopniem od tego, z którym rozmawiałem.

– Żeby się udało, musicie się zastosować do moich instrukcji. Inaczej nigdy nie da się tego udowodnić. To jak? Wchodzicie w to? – postawiłem warunki współpracy i czekałem. Zastanawiali się. Nie chcieli na to przystać.

– Powiem tak – przekonywałem ich, dalej widząc niechęć. – W aktach nic nie znajdziecie. Ja sam wiem, ale nie mam nic, jeżeli nie dopracujemy reszty. Co możecie stracić? Gazetom powiecie co wam się podoba. Na przykład, że zgodziłem się być przynętą. Nikt się nie dowie, że to moja zasługa. Operacja

będzie waszym i tylko waszym sukcesem – wyciągnąłem najcięższe działa. Musieli się zgodzić. Miałem już tylko jeden argument, ale miałem nadzieję, że nie będę musiał z niego korzystać. Nie byłem politykiem, ale mogłem być.

– Może będzie lepiej, jeśli obejmę dowodzenie – zasugerował starszy stopniem z obecnych.

– A może komendant obejmie dowodzenie – zastosowałem ostatni argument. – Myślę, że chętnie się tym zajmie i sporządzi raport. Wtedy to on będzie tym, kto rozwiązał sprawę. I nie wyrwiecie się z tej dziury. Dlatego wasza jedyna szansa na awans to praca ze mną na moich warunkach. Albo pójdę do waszego szefa i dam mu możliwość rozwiązania zagadki, która raz go przerosła. Myślę, że nie będzie się zastanawiał – postawiłem sprawę tak, że gdyby dalej próbowali negocjować, byliby niesamowitymi ryzykantami. Uśmiechnąłem się widząc, że się poddają.

– Dobra. Co jest do zrobienia? – zapytał znów ten sam policjant, który ustalał warunki.

– Nic trudnego. Ale nie ma miejsca na błędy, bo wtedy się nie uda – zacząłem tłumaczyć. Wsłuchiwali się, a czasem wtrącali swoje uwagi. Niektóre z nich postanowiłem później wykorzystać. I miało się zacząć. Po paru godzinach miało być po wszystkim.

XII

„Wielka akcja”

Patrząc na to oczami policjantów, planowaliśmy akcję, która miała przynieść spektakularny sukces. Śledztwo sprzed dwudziestu dwóch lat miało się wreszcie zakończyć dzięki kilku posunięciom. Czy jednak myśleli o tym? Pewnie nie. Może w aspekcie własnego powodzenia mogli sobie wyobrażać jak prasa uwzniośli zakończenie sprawy, ale pewnie zastanawiali się tylko, czy się uda i co na tym zyskają. Wsiadłem pod komisariatem w samochód i pojechałem z powrotem do domu. Opanowałem się przed wejściem i wkroczyłem do domu. Poszedłem na górę i odczekałem kilka minut, po czym zszedłem na dół i znalazłem ojca nad jakimiś papierami.

– Oddam ci samochód później. Jeszcze będę musiał pojechać w parę miejsc – zacząłem zwyczajną pogawędkę.

– W porządku. Byle rano kluczyki były na miejscu – powiedział, nie podnosząc wzroku.

– A wiesz, że jutro dają „Misia” w telewizji? – rzuciłem, zmieniając temat. Utrzymywałem lekki ton, ale byłem zdenerwowany. Zacząłem ważną rozmowę.

– No i co z tego? Nie lubię tego filmu. W ogóle nie lubię Barei. Nie wiem, co ludzie widzą w tych jego filmach – burknął kpiąco.

– Przecież nie oglądałeś nic innego – zauważyłem jeszcze bardziej zdenerwowany. Potrzebowałem potwierdzenia.

– Nie widziałem. Fakt – udało się. Musiałem zachować spokój. – Bo po zobaczeniu „Misia” nie miałem zamiaru się męczyć – dodał ojciec tonem dającym do zrozumienia, żebym się

odczepił. Było mi to jak najbardziej na rękę. Nie musiałem już się stresować. Po prostu sobie poszedłem. Nie umiałem z nim rozmawiać. On ze mną też nie. Całe życie udawaliśmy, że nie potrzeba nam tych rozmów, a teraz już ich nie chciałem. Odchodząc, poczułem ulgę, że mam rozmowę za sobą, ale z drugiej strony miałem ochotę wykrzyczeć mu jak bardzo go nienawidzę, że wiem, co zrobił. Ale nie mogłem. Po pierwsze operacja mogłaby się przez to nie powieść, a po drugie, nie potrafiłbym tego zrobić. Chociaż był odpowiedzialny za tragedię, która odcisnęła się na całym moim życiu, nie potrafiłem tak po prostu podejść i krzyczeć. Umiałem tak zrobić w sprawie wynajęcia pokoi, ale nie miałem siły zrobić tego, kiedy miałem dużo lepszy powód. Myśląc też od innej strony, stwierdziłem, że nie powinienem marnować swoich strun głosowych. Nie chciałem też patrzeć jak się dowiaduje i załamuje albo próbuje łgać. Postanowiłem napisać do niego list z całym oskarżeniem. Nie był długi, ale redagowałem go ponad dwadzieścia minut chcąc, by poza przekazaniem emocji nie raził w oczy błędami i nieporadnością językową. Skończywszy, położyłem go u ojca w sypialni. Wiedziałem, że nie zajrzy tam przed dziesiątą.

Dochodziła ósma, kiedy wyszedłem z domu. Po przejechaniu samochodem dwustu metrów, zaraz za wsią, stał radiowóz. Zatrzymałem się za nim.

– W porządku – powiedziałem, podchodząc do okna policyjnego samochodu. – Macie to?

– Wszystko słyszeliśmy. Będziemy mogli zaświadczyć – powiedział z uśmiechem jeden z policjantów siedzących w samochodzie.

– To jesteśmy trochę bliżej. Teraz czas na drugi punkt – oznajmiłem i wsiadłem do samochodu ojca. Pomknąłem

w kolejnym kierunku. Zatrzymałem się przed domem, w którym mieszkała Ala. Znowu odczekałem kilka minut na dole i dopiero widząc jednego z policjantów w cywilu jak wchodzi na klatkę schodową, zdecydowałem się pójść do mieszkania dziewczyny. Otworzyła mi jej matka.

– Ala się teraz kąpie. Podobno macie się zobaczyć później. Będziesz musiał poczekać – powiedziała serdecznie.

– To w sumie dobrze. Przyszedłem z panią porozmawiać – oświadczyłem. Zaskoczyłem ją tym.

– Naprawdę? O czym? – spytała. – Możesz mi mówić „mamo" poza tym – dodała, wciąż się uśmiechając. Nie wytrzymałem tego. Uderzyła w najczulszą strunę jaką tylko mogła.

– Mamo?! – krzyknąłem. – Miałem kiedyś mamę, ale ją zabiłaś – nie umiałem się opanować. Policjant musiał wszystko słyszeć. Siedział bowiem za otwartymi drzwiami krok ode mnie.

– Nie wiem, dlaczego to powiedziałeś. Nie chcesz to tak nie mów, ale dlaczego wykrzykujesz takie bzdury? – próbowała odpowiadać spokojnie, ale na jej twarzy pojawiło się zdenerwowanie.

– Bzdury? – powiedziałem ciszej, ale z gniewem. – Powiem coś i nie będę powtarzał. Wiem, że ją zabiłaś i wiem, kto brał w tym udział. Mogę obalić twoje alibi i podważyć wiarygodność wspólnika. Chyba, że… – zacząłem negocjacje, już zapomniałem, że zaczynałem rozmowę od mówienia na pani.

– O czym ty mówisz? Przykro mi, że twoja matka nie żyje, ale musisz sobie z tym poradzić. Nie możesz obwiniać wszystkich naokoło – mówiła spokojnie, ale widziałem, że się martwiła.

– No dobra. Zagram w otwarte karty – zapowiedziałem. – Wiem, że nie oglądała pani tego dnia „Zmienników" i dowiodę tego, chyba, że… – znowu urwałem. Miałem nadzieję, że w końcu się zainteresuje.

– Załóżmy, że masz coś, co mogłoby podważyć moje zeznania i zaczęliby mnie podejrzewać. Co jest tym „chyba, że”? – zapytała ostrożnie. Nie liczyłem jednak, że przyzna się tak łatwo.

– Powinnaś mi zapewnić jakąś większą sumę, żebym się nie przepracowywał. Na początek możesz przynieść mi jakieś drobne. Powiedzmy tysiąc złotych w geście dobrej woli i chęci współpracy. Wtedy omówimy całość. Niech będzie o północy kilometr w las drogą od krzyżówki – zacząłem grę w szantaż. Czekałem tylko aż zgodzi się w nią zagrać.

– Dobra. Przyniosę pieniądze i pogadamy – przystała na warunki.

– Do zobaczenia zatem – pożegnałem się, ale zanim zamknęła drzwi, podeszła do nas Ala.

– Jurek, dlaczego krzyczałeś, że moja mama zabiła twoją? Jesteś jakiś psychiczny? – krzyknęła na mnie. Widocznie słyszała tylko tyle – Zabieraj ten pierścionek – rzuciła nim we mnie i zatrzasnęła drzwi, płacząc. Gdyby słyszała całą rozmowę nie zrobiłaby tego. Wiedziałaby, że mam rację, a jej matka pozwala się szantażować. Skończyło się jednak w ten sposób. Zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Policjant czuł się niezręcznie.

– Słyszałem aż za dużo – powiedział tonem nie chcącym mnie zdenerwować.

– Nieważne. Musimy tylko to dokończyć. Macie do zrobienia tylko dwie rzeczy i zróbcie je dobrze – powiedziałem, tłumiąc gniew. Wsiadłem w samochód i pojechałem do lasu. Zostawiłem samochód na końcu drogi, gdzie później miałem się spotkać z matką Ali. W domku byłem dwadzieścia pięć po ósmej. Byłem wściekły na tyle, że aż chciałem się cofnąć w czasie i zrobić to, co początkowo planowałem. Wiedziałem jednak, że nie

powinienem i że jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to sprawiedliwości i tak stanie się zadość. Ala pewnie wróciłaby do mnie, gdybym dowiódł swojej racji. I chciałem widzieć, jak zamykają morderców mojej matki. Uspokajałem się jakieś pięć minut zanim uznałem, że jestem gotów zobaczyć profesora. Do eksperymentu zostało jeszcze pół godziny, ale nie chciałem siedzieć na górze do tego czasu. Użyłem dzwonka i czekałem aż wpuści mnie na dół. Jednak po parunastu sekundach zobaczyłem wychylającą się inną głowę. Należała do zarośniętego człowieka w wieku mniej więcej po środku między moim a profesora.

– Pan jest Nowak? – zapytał mnie.

– Tak. Kim pan jest? – spytałem go zaskoczony, że widzę inną twarz niż profesora.

– Jestem Kowalski. Pracuję z profesorem – odpowiedział mi spokojnie. Nie mam pojęcia, czy nazwisko było prawdziwe. Był to więc jeden z tych tajemniczych ludzi profesora. Co tu robił?

– Przyszedł pan na eksperyment? – zapytałem, uśmiechając się.

– Nie. Przyjechałem tu z maszyną. Jednak okazało się, że profesor nie żyje – odpowiedział i zaskoczył mnie zupełnie. Wystraszyłem się i nie mogłem nic powiedzieć.

– Powiedział wcześniej, że może pan raz skorzystać z wehikułu. Wie pan jak, więc proszę – poszedłem za nim do podziemia. W pokoju nie było ciała profesora.

– A gdzie jest profesor? – spytałem, wciąż nie będąc spokojnym.

– Zabraliśmy zwłoki. To nie pana problem – uspokoił mnie, ale nie martwiłem się o jego ciało. Zwyczajnie się zdziwiłem, że go nie ma.

– Aha – wydusiłem z siebie.

– To jak? Jest pan gotowy do podróży w czasie? – zapytał

wesoło. Widząc, że nie dotarło to do mnie, powiedział: – Wrócę tu jutro po południu i zabiorę sprzęt do zniszczenia, a tę jedną część odesłałem już na miejsce. Do tego czasu może pan odbyć podróż – powiedział i poszedł sobie. Byłem otępiały. Profesor Poraziński był martwy, a ja dostałem wehikuł czasu na kilkanaście godzin. Nie miałem zamiaru go użyć. Chociaż… Mógłbym skoczyć o kilka godzin do przodu i zobaczyć czy działa. Tylko po co? Tylko po to, żeby zobaczyć? Mogłem skoczyć, żeby nie czekać na północ, ale zdecydowałem się zdrzemnąć. Ustawiłem budzik na za piętnaście dwunasta. Miałem iść na parter, ale zaczęło padać i to naprawdę rzęsiście, więc zasnąłem w podziemiu, gdzie żadne dźwięki nie mogły zakłócić mojego snu. Denerwowałem się więc nie spałem dobrze. Budzik wyrwał mnie ze snu, kiedy złapałem w nim wreszcie jakiś rytm. Wszedłem na górę, ale nie zamykałem włazu. Nie umiałem go otworzyć od góry. Wyszedłem na spotkanie. Wziąłem jakiś parasol i doszedłem na miejsce spotkania pięć minut przed czasem. Denerwowałem się okropnie. Wszystko miało się zaraz skończyć. Miała się przyznać przy przekazaniu pieniędzy. Wiedziałem, że to zrobi. Nie sądziła, że mam jakiś dowód, który byłby wystarczająco mocny i pewnie zaczęłaby mnie wypytywać, a ja doprowadziłbym do tego, żeby się zdradziła. Rozejrzałem się. Nie widziałem nikogo. To było dobrze i źle. Dobrze, bo nikogo nie było widać i źle, bo nikogo mogło nie być. A potrzebowałem policjanta. Zaraz zobaczyłem, jak zbliża się matka Ali, a gdy się zbliżyła powiedziałem:

– Wiedziałem, że przyjdziesz. Tysiąc to niewielka cena. Jak się kogoś zabija, trzeba być gotowym na zapłatę.

– Nie marudź. Co takiego masz, że mnie szantażujesz? – zapytała gniewnie.

– Wiem, że mój ojciec nagrał wtedy „Zmienników”, żebyś ich obejrzała dla pewności alibi. I mam to nagranie. To podważa zeznania was obojga – powiedziałem wyniośle.

– To ma być dowód? W sądzie powiedzą, że sam mogłeś to przypadkiem nagrać. Nie żartuj sobie ze mnie. Jesteś beznadziejnym szantażystą – zaśmiała się. Rzeczywiście, źle to rozegrałem.

– Ale to nie wszystko – zacząłem blefować. – Ktoś widział cię z magnetowidem pod twoim domem parę godzin po zgłoszeniu morderstwa. Tym razem może to zeznać. Na razie nie wie, że to ważne. Ale mogę to świadkowi uświadomić – uśmiechnąłem się zawadiacko. Jeżeli mnie przejrzała, to nic z tego, ale to mogło chwycić.

– Kłamiesz – powiedziała zdecydowanie. – I to strasznie głupio. Nie sądzisz chyba, że niosłam go tak, żeby było go widać – przyznała się. Miałem dużo szczęścia. Gdyby skończyła na zarzuceniu mi kłamstwa, plan spaliłby na panewce. Zaśmiałem się.

– Nagrałem naszą rozmowę. Wielkie dzięki za zeznanie – wyciągnąłem telefon i pomachałem jej. Niestety ona wyciągnęła pistolet. Rzuciłem się do ucieczki. W ciemnym lesie nie było łatwo biec, ale też nie łatwo było trafić w ruchomy cel. Miałem jednak tylko pięć metrów przewagi i musiałem biec często chowając się za drzewa, żeby nie dać się zabić. Byłem przerażony. Nie wiedziałem, czy mam wsparcie. Biegłem więc ile sił w stronę domku. Schowanie się w podziemiu mogło mnie uratować. Uczepiłem się tej nadziei i biegłem mimo zmęczenia. Jeszcze tylko trzysta, dwieście pięćdziesiąt, dwieście… odliczałem mniej-więcej odległość do azylu. Sto… Zobaczyłem w oddali domek. Chciałem przyspieszyć, ale nie miałem na to siły. Usłyszałem świst koło ucha. Wystraszyłem się jeszcze

bardziej i zacząłem biegać zygzakiem. Traciłem jednak przez to swoją przewagę więc zarzuciłem ten sposób. Niestety przez tę decyzję naraziłem się na łatwiejszy ostrzał. Poczułem silny ból w lewym ramieniu. Nie miałem czasu się zatrzymać, ale czułem, że krwawię. Dopadłem do domku. Wpadłem do środka i rzuciłem się do włazu. Nie zdążyłem. Strzeliła mi jeszcze w plecy. Wpadłem do podziemia, ale szczęśliwie zatrzasnąłem właz za sobą. Nie mogła mnie dobić. Jednak spadając coś sobie zrobiłem w nogę. Na tyle poważnie, że nie mogłem wstać. To jednak nie było aż takie najgorsze. Czułem, że postrzały są naprawdę poważne, szczególnie drugi. Nie miałem szansy na wyjście i moją jedyną nadzieją było, że dożyję przybycia Kowalskiego. Czułem, że to się nie uda. Wpadł mi do głowy pomysł. Mogłem cofnąć się w czasie na tyle, żeby uratować się przed postrzałem. Wystarczało dziesięć minut. Wehikuł stał dwa metry ode mnie. Wystarczyło się do niego wtoczyć. Było tylko jedno „ale". Gdybym cofnął się w czasie, w tym stanie nie dałbym rady się uratować. Byłem skazany na śmierć. A nie byłem na nią przygotowany. Nie chciałem umierać. Wiedziałem, że wszystko miało się ułożyć. Policja musiała już złapać matkę Ali. Ona sama wróciłaby do mnie. To nie był dobry czas na śmierć. Czułem się przegrany, ale wpadłem na pomysł. Przypomniałem sobie jedną rzecz, którą profesor wykorzystał we wcześniejszym eksperymencie. Pamiętałem mniej-więcej jaki guzik wcisnął. Musiałem tylko podnieść się na tyle, by go sięgnąć. Zawyłem z bólu kiedy wstawałem. Wiedziałem, że długo nie ustoję. Opadłem na konsolę. Znalazłem guzik i wcisnąłem. Osunąłem się na ziemię. Zobaczyłem jak część ściany się rozsuwa. Jednak słabłem. Półświadomie słyszałem krzyki: „Halo, gdzie jesteś?" oraz „Panie kierowniku". Powoli odpływałem. Prosiłem Boga, żeby istniał. Tracąc przytomność

słyszałem, jak krople spadają z nieba.

XIII

„Po sprawie”

Obudziłem się w piżamie i czystej pościeli. Po paru minutach dotarło do mnie, że jestem w szpitalu. Przypomniałem sobie, jak tam trafiłem i uśmiechnąłem, że udało mi się przeżyć. Zobaczyłem Alę drzemiącą na krześle pod ścianą. Podniosłem się do półsiadu i to ją obudziło. Zobaczyła, że jestem przytomny i ucieszyła się. Spojrzałem na nią, a potem na szafkę, na którą spojrzała pierwsza. Leżał tam pierścionek zaręczynowy, którym we mnie rzuciła.

– Dlaczego nie masz go na palcu? – zapytałem.

– Bo go zdjęłam i mogę go założyć dopiero jak mnie znowu poprosisz – wyjaśniła i usiadła obok mnie.

– Nie wygłupiaj się. Zakładaj. Ja nigdy nie wycofałem swojej propozycji – machnąłem ręką i mnie zabolała. Syknąłem i zaraz spytałem – Dlaczego jesteś na czarno? – zauważyłem, bo zazwyczaj miała na sobie więcej kolorów.

– Wiesz, wtedy kiedy rzuciłam pierścionkiem. Parę godzin później zginęła moja matka – powiedziała poważnie. – Zastrzelili ją, bo próbowała cię zabić, ale to moja matka – tłumaczyła się i zaczęła płakać. Złapałem ją za rękę.

– Ojciec się załamał. Nie miał pojęcia. Tak się wstydzi, że nie wychodzi z domu. Nawet niektórzy mówią, że wtedy sam zatuszował sprawę – płakała jeszcze mocniej.

– Wyjdzie z tego. To silny człowiek – pocieszyłem ją. Naprawdę tak myślałem. Otarła łzy i podała mi kartkę. Zacząłem czytać i zdziwiłem się, że mi ją dała.

– Ja to napisałem. Po co mi to dałaś? – spytałem i chciałem jej

ją oddać.

– To kopia. Twój list jest w prokuraturze – pokręciła głową płacząc głośniej.

– W prokuraturze? – nie rozumiałem.

– Twój ojciec się zabił. Ten list leżał obok tego, który on napisał – podała mi drugą kopię. Przeczytałem ją. Była jakby odpowiedzią na mój list. Czułem się z tym źle, że się zabił, ale przecież nie byłem winien jego śmierci. Myślę, że słusznie tak uważam. Oto treść mojego listu:

Tato!

Wiem, że razem z Mariolą Kwaśniak zaplanowałeś zabójstwo mamy. Przez to całe życie spędziłem na marzeniach, jakby to było, gdybym ją uratował. Zabrałeś mi zwyczajne dzieciństwo i, prawdę mówiąc, poza finansami byłeś kiepskim ojcem. Ale to mi nie przeszkadza. Boli mnie, że zabiłeś mamę i tak po prostu możesz z tym żyć.

Jurek

Fakt, że było to bardzo ostre, ale nie namawiałem go do samobójstwa. O napisał z kolei:

Jurku!

Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Żałuję tego od samego początku. Już dawno odebrałbym sobie życie, ale brakowało mi odwagi i czułem się za Ciebie odpowiedzialny. Jak potworna nie byłaby moja zbrodnia, kocham Cię jednak i zapewniałem Ci, co tylko mogłem. Poza tym najważniejszym. Zreflektowałem się za późno. Cofnąłbym jednak czas, gdybym mógł i dał Ci życie w rodzinie jakiego przeze mnie nie miałeś.

Twój ojciec.

Rzeczywiście za późno. Byłem smutny. Ojciec nie był zły do

szpiku kości. Przerażające było to, że tak łatwo namówił do morderstwa. Może gdyby chciał zabić osobiście, powstrzymałby się. Kto wie? To było już bez znaczenia. Nie mogłem temu zapobiec.

– Ile już tu jestem? – zapytałem Alę, podnosząc wzrok znad listu.

– Dwa dni – odparła krótko. Czyli nie mogłem cofnąć się w czasie. Chyba. Przecież otworzyłem ścianę i policja znalazła tajne laboratorium. Wehikuł czasu mógł się dostać w niepowołane ręce. Wystraszyłem się. Nagle opanowało mnie wielkie wzruszenie. W pokoju pojawił się Kowalski.

– Nieźle nas pan urządził – pokręcił głową.

– Przepraszam. Inaczej bym zginął – usprawiedliwiałem się. Kowalski popatrzył na Alę.

– Przepraszam, ale musisz wyjść. Nie możesz wiedzieć o czym będziemy rozmawiać – poprosiłem ją.

– Niby dlaczego? Jestem twoją narzeczoną. Mogę chyba wiedzieć – zaprotestowała.

– Panie Kowalski, proszę jej zaufać. To nie pójdzie dalej – zapewniłem.

– No dobra – westchnął. – Musiałem się zakraść i wszystko spalić, zanim ktoś by się połapał, co tam było. Na szczęście w nocy była burza i uwierzyli, że wywołała pożar. Wszystko załatwiłem. Proszę zdrowieć w spokoju. Tylko tyle chciałem powiedzieć – pomarudził i wyszedł. Był niezwykle tajemniczy i ostrożny. Ale czy pomagał profesorowi za pieniądze? Może jednak stała za tym jakaś idea? Nie dowiedziałem się.

– Tak to powiedział, że i tak nic nie wiem – żachnęła się Ala.

– Kiedyś ci to opowiem. I tak mi nie uwierzysz – powiedziałem wesoło i pocałowaliśmy się.

W grudniu udało mi się uniknąć więzienia w Wielkiej Brytanii. James Halisbury nie krył rozczarowania, kiedy skończyło się na zawieszeniu. Dla mnie to i tak była kara i nie mogłem liczyć na pracę na uczelni. Ale to nie było takie ważne. Dalej pracowałem z Igorem w warsztacie i pomału odkładałem pieniądze na przyszłość. W naszej okolicy było głośno o całej sprawie morderstwa do końca roku. Po tym czasie ucichło i ojciec Ali zaczął dochodzić do siebie. W czerwcu wzięliśmy ślub. Kościelny też. Zdecydowałem, że mogę się na to zdobyć. Nie miałem pojęcia czy Bóg istnieje, ale wiedziałem, że nigdy nie będę miał. Nie mogę powiedzieć, że po tym, jak udało mi się przeżyć, nawróciłem się. Przyznałem jednak, że lepiej byłoby, gdyby śmierć nie była końcem wszystkiego. Poza tym i tak miałem w sobie jakieś poczucie moralności podobne do chrześcijańskiego, jak powiedział proboszcz. I chyba zrobiłem dobrze. A tego dnia, kiedy stanąłem przed ołtarzem w garniturze obok mojej ukochanej w pięknej sukni, krople spadały z nieba. Chyba inaczej nie umieją.